

Monitum

J A N O W I.

Kochany Janie!

Zapisuję imię twoje na pierwszej stronie tej powieści, nic ci dziś więcej dać nie mogąc, nad ten dowód pamięci serdecznej. Niech ona zostanie jako świadectwo nie tylko mojego przywiązania do ciebie, ale twój synowski miłości dla mnie, której tyle odebrałem dowodów. Szlę ci za nią i podziękę i błogosławieństwo na życie pracy, bogdaj szczęśliwe!... a niech ci dzieci twe oddadzą sercem i miłością twoją dla mnie serce i miłość.

Przywiązany ojciec.



106312

Morituri vos salutant.

W roku 1850, na przedmieściu miasta Lublina zwaném Winiarami, wznosił się jeszcze dom mурowany, którego dziś niéma i śladu. Nic dziwnego, albowiem wówczas już dziwić się można było iż mury te się trzymały i mieszkańca jakiegoś w sobie mieścić mogły. Zdawało wyglądało to na opuszczoną ruinę, zwłaszcza że resztki dachu od czoła zasłonięte były starą wystawką, na kształt tej, która przystrajała boki dawnych Sukiennic. Poza tą zębioną, z tynków odartą ścianką, trzymało się jednak na krokwiach przegniłych odwieczne pokrycie; które różne przechodziło koleje, nosiło bowiem szczątki dachówek, gątów a ostatecznie pozatykane słomą, porosłe zostało rodzajem darniny i korzonkami składających ją roślin więcej się zachowywało, niż pozostałościami starymi. Prząd

tęj kamienicy, która niewiedzieć dla jakiej tradycyi zwała się *Firlejowszczyzną*, równie nędznie jak dach wyglądał i tynk pooblatywał z niej, świeciły odarte cegły, choć miejscami odarcia z ciosu świadczyły iż starannie wzniesioną niegdyś została, ale kilkaset lat doprowadziły ją do tego stanu zgrzybiałości. Ślady przeszłości nietylko w obramowaniach okien i drzwi istniały jeszcze, ale w zaklepanych tynkami i pobiałą nadpsutych rzeźbach, które słota i deszcz poobnażał później kawałami. Wielka część dolnych mieszkań tak osuta była narosłą dokola ziemią, iż kupy jej prawie do okien sięgały, a drzwi znajdowały się w rodzaju wyłobienia wąską do nich prowadzącą ścieżyną. Dotykający ogród niegdyś murem otoczony, gdy go powoli częściami rozebrano i rozwalono, obwarował się chrusciany płotem, niezgrabnie popryczepianym do szczątków cegieł i kamieni. W ogrodzie tym zostało parę drzew bardzo starych, poobrąbywanych nielitośnie, w kącie trochę zarosli, reszta obrócona na warzywny sad, naga, poprzerzynana grzędami, rozdzielona na kilka części, wydzierżawiona znać być musiała sąsiadom.

W oknach górnych piątr domu były tylko stare drewniane okiennice, w niższych trochę szkła napół z deskami, na dole szyby gdzieniegdzie błoniaste w ołowiu, nowe w ramach, a wiele zabitych łupanem łuczywem. Obraz to był opuszczenia i nędzy. Odsunięta nieco od porządniejszych trochę

domów żydowskich, Firlejowszczyzna stała otoczona pustkowiem jakby na wygnaniu.

Pomimo tej nędzy, wydawała się jak ów żebrak Hiszpan, przez którego płaszcza dziury duma wyglądała; miała w sobie coś pańskiego, znać w niej było zgruchotaną jakąś wielkość i przeszłość lepszą a ciekawą. Każdy przechodzień, który pierwszy raz zapędził się na Winiary, spoglądał na nią z podziwieniem, dlaczego tak długo stała i co wśród świata żywych nieboszczka ta robić mogła. Ciekawość też budził zagadkowy właściciel, który posiadając te mury ani ich zrzucić, ani poprawić i mieszkalnemi uczynić nie chciał. Żydzi posiadacze pobliskich domów i sklepów, pytani o niego, ruszali ramionami, soplowali i niechętnie objaśnień udzielali. Że jednak kamienica pustką całkowitą niebyła, świadczyła i wydeptana do niej ścieżyna, i komin jeden, z którego się czasem kurzyło i dwa okna w stanie prawie przyzwoitym utrzymane, których szkło nawpół było przezroczyste. Z poza szyb widać w nich było coś nakształt firanek. Firlejowszczyzna groziła jednak ruiną, bo mury boczne z góry do dołu spękane, ogromnemi otwierały się szparami; jedną ścianę zdawna miała kłocami grubemi do belki przytwierdzonemi podpartą, i róg jeden, z którego się dach osunął, przegniwszy, opadł na ziemię. Kupa gruzu powstała ztąd, na rosnać już trawą czas miała i nikt jej nie ruszył. Sąsiedzi znali dobrze właściciela Firlejowszczyzny,

który przed laty trzydziestą nabywszy ją z publicznego targu bardzo tanio, w wyjątkowych jakichś okolicznościach, połatał tyle, by mu się na głowę nie obaliła, zamieszkał w niej i, mimo późniejszych, stosunkowo dosyć korzystnych ofiar, odprzedać już nie chciał. Był to dumny, jak mówiono, oficyalista książąt Brańskich, który, czy się sam od nich odprawił, czy odprawionym został, i nigdzie już nowój nie przyjmując służby, żył z zagadkowych jakichś spekulacyj. Uchodził on zrazu za ubogiego, nikt i dotąd o stanie jego kieszeni dobrze nie wiedział, żył jak nędzarz, lecz od lat piętnastu ludzie z początku domyslać się w nim zaczęli bogacza i lichwiarza, potem przyszli zwolna do tego przekonania, iż bajeczne posiadać musiał skarby. Nie było na to żadnych oznak i powodów, lecz raz powzięty domysł zmienił się koleją czasu w niezachwianą pewność. W istocie pan Leon Zembrzyński, człek niewiadomego pochodzenia, gdyż jedni go mieli za zbiegłego chłopca, drudzy za szlachcica, niektórzy za przechrzłą, a nadobitkę znajdowali się i tacy, co go o pochodzenie i krew tatarską posądzali—w okolicy żadnych nie miał stosunków i interesów nie robił, nie wiedziano czém się zajmował: czasem tylko wycieczki czynił, po kilka tygodni się gdzieś włóczył, wracał i ludzie do niego nieznajomi zajeżdżali. Nie było najmniejszego powodu o cós go niegodziwego podejrzewać, ale to życie zakryte dziwnie

jakoś wyglądało. Z ludźmi dokoła albo nie żył wcale, lub w takich stosunkach, iż się one ledwie znajomością daleką nazwać mogły. Człeczek ten wyglądał ni z pióra ni z mięsa, mały, przygarbiony, chuderlawy, kaszlący, pokornie, ubogo i milcząco. Nosił się zwykle w szaraczkowej kapocie, w której głębokich kieszeniach ręce zwykł był nosić, jakby się bał żeby mu kto w nie nie zajrzał. Ludzie co wszystko wiedzą, szczególnież zamieszkujące parę dworków starych dewotek kilka, zaprzysięgały iż nigdy noga jego nie postąpiła w kościele, i że nawet na Wielkanoc się nie spowiadał. Widziano go też w Wielki piątek kupującego mięso... a w niedzielę łupiącego drzazgi przed domem, bo ów mniemany bogacz tak sam sobie służył, jak najuboższy z ludzi. Jedna podżyła już bardzo kobieta, zwana Stroczychą, od lat przeszło dziesięciu jeść mu gotowała, i na płotach widywano poszarpaną bieliznę, którą prała znać dla jegomości. W piątek gdy pospolicie żebracy się po miastach włóczyć zwykli, nie mijali tutejsi Firlejowszczyzny, gdyż każdy trzeźwy po groszu dostawał. Ani mniej ani więcej żadnemu nie dano, nikogo też próżno nie odprawiono, chyba by nietrzeźwym się okazał. Jałmużnę rozdzielała Stroczycha we drzwiach, i pamiętała tak dobrze komu grosz dała, iż się żaden dwa razy przyjść nie ważył, bo ten co się dopuścił nadużycia, już następnych piątków nie miał i mógł nie powracać.

Sposób życia Zembrzyńskiego naturalnie ciekawość obudzał długo, śledzono go, domysłano się, w ostateku powiedziano sobie że musi kradzionemi rzeczami frymarczyć, albo gdzieś na lichwę pożyczać, ale znać, jak wilcy, do koła gniazda szkody nie robi, aby mu nie zakłócono spokoju. Ta fama sknery i bogacza sprowadzała nieraz do Firlejowszczyzny różnych ludzi naciskanych pieniężną potrzebą; często bardzo korzystne interesa ofiarowano Zembrzyńskiemu, nigdy się na żaden nie spokusił. Gdy go tak napastowano, ręce obie podnosił do góry, za głowę się chwycił, spuszczał twarz ku ziemi i cicho a krótko odpowiadał.

— A dajcież mi święty spokój—złamanego talerza nie mam—dajcie wy mi święty spokój!..

I za drzwi tak co prędzej wyprawiał.

Jeden z najmajętniejszych kupców starozakonnych na Winiarach, Zelmanowicz, człowiek uczciwy i powszechnie szanowany, raz go przecież na ulicy pochwycił, zagadnął i przytrzymawszy do dłuższej nieco rozmowy przymusił. Okazało się z niej, że Zembrzyński tylko do handlu lnem i konopiami się przyznał. Ale nikt temu nie wierzył a Zelmanowicz mniej niż inni. Gdyby handlował lnem i konopiami, pocóżby się z tem miał taić tak bardzo?

Powoli z latami pewne światło na tajemnicę pokątnych krzątów Zembrzyńskiego padać zaczęło. Szło ludziom o to, aby wiedzieli, z kim do czynie-

nia mieli. Zaczęto więc śledzić tych co się tu czasem zjawiali, przyjeżdżając do niego i jeden szlachcic, jak utrzymywano, przyznał się że Zembrzyńskiemu do frymarków dobrami i pożyczania na lichwę pomagał. Ale ktoby napilemu wierzył? Mogło być w tém coś prawdy, nikt nie wiedział wiele. Gdy się wreszcie ustaliło mniemanie, iż pieniądze miał i robił a szachrował niemi pokątnie — dano mu pokój. Raz tylko pod niebytność w domu, złodzieje się nocą wrąbali do niego, związali i zakneblowawszy Stroczychę, poszli szukać skarbu po całym domu, przetrzęśli wszystkie zakomarki i nic nie znalazłszy, poszli zawiedzeni. Stroczyśże grożono aby im powiedziała gdzie stary pieniądze chował, i byłaby może na mękach wydała wszystko, gdyby cokolwiek wiedziała. Gdy Zembrzyński potem z podróży wrócił, a dano mu znać zawczasu o wypadku, nim się jeszcze do domu dostał, nie zląkł się wcale, ramionami ruszył i pośmiał się ze zbójów, głośno wyrzekając, że u niego kraść nie było co. Nikt temu wszakże nie uwierzył, a Zelmanowicz utrzymywał iż w takim starym domu o bezpieczną kryjówkę było łatwo. Stroczycha, odchorochawszy strach, przeleżawszy u S. Ducha, w kilka tygodni do pracy wróciła, Zembrzyński zaś, jakby na potwierdzenie tego co mówił, wprędę w nową puścił się podróż, dom zostawiając na łasce Bożej. Już go też drugi raz

złodzieje nie próbowali; omijano dom nawet z pewnym wstrętem, jako gniazdo bezbożnika.

Tak rzeczy stały w roku pańskim 1850, gdy dnia jednego w lecie, mężczyzna bardzo porządnie ubrany i lepiej wyglądający od tych, którzy Zembrzyńskiego nawiedzać byli zwykli, zapytał przechodzącego Zelmanowicza o Firlejowszczyznę. Stary kupiec, bardzo zresztą zacny człowiek, był nieco ciekawym, a wiek uczynił go gadatliwym. skorzystał więc ze zrzeczności aby się coś od nieznanego dopytać o nim samym i o interesie który go tu sprowadzał, a i o panu Zembrzyńskim.

— Pan się pyta o Firlejowszczyznę Zembrzyńskiego? odezwał się z uprzejmym pozdrowieniem, wpatrując się pilno w obcego przybysza; no, czemu nie! znam! wiem! czemu nie! to niedaleko odemnie, ja jegomości przeprowadzę—to po drodze.

Firlejowszczyznę i drogę wiodącą do niej doskonale ztąd widać było, nie potrzebował podróżny przewodnika, wszelako Zelmanowicz mu jej nie pokazał i prosił z sobą. Szli powoli.

— A jakże, znam pana Zembrzyńskiego, dodał, to jest mój sąsiad, szkoda tylko że tak swój dom opuścił. Pan do niego ma interes? on to żadnych z nami nigdy nie ma interesów. Pan go zna? — hm! to dobry człowiek, inaczej nie można powiedzieć, ale bardzo osobliwy.

Nieznajomy się uśmiechnął.

— Znam go mało, rzekł — ale potrzebuje się z nim widzieć.—Czy znajdę w domu, tego pewno nie wiécie?

— Czemubym nie miał wiedziéc? odparł Zelmanowicz, — choć on to z nikim nie żyje, ale go codzien widujemy. Siedzi w domu, albo jeździ gdzieś daleko, w miasteczku żadnych interesów nie ma. Mówię panu to jest osobliwszy człowiek.

Podróżny pokręcił wąsa, aby ukryć pół uśmiechu.

— Wczoraj, co pewna, rzekł Zelmanowicz, był u siebie w domu, widziałem jak w starym szlafroku, podwiązany rzemieniem i w czapeczce, łuczynę sobie łupał, bo już Stroczycha nie zdąży wszystkiego zrobić... Chybaby dziś wyjechał rano, ale gdyby miał jechać, tobyśmy o tém wiedzieli, bo idzie za Grodzką bramę szukać sobie fury, a potém fura po tłumoczek zajeżdża przed Firlejowszczyznę, a potém gospodyni mu kobiałkę z jałdlem wynosi... No, a tego wszystkiego nie było, to go pan pewnie w domu znajdzie.

— Daleko ztąd? zapytał podróżny.

Stali o kilka kroków, ale Zelmanowicz, który zawsze jeszcze miał nadzieję czegoś jeszcze się dowiedziéc, nie pokazał domu, tylko odpowiedział:

— O! to jest bardzo blisko... a pan nie tutejszy? z daleka? Może jegomości służyć można kwaterą? U mnie o trzy kroki bardzo porządny pokój dla podróżnych... i nie drogo! U Zembrzyńskiego pan

nie może stanąć, bo ani koniom, ani człowiekowi niema gdzie się pomieścić, choć dom duży.

Czekał odpowiedzi, lecz nieznajomy potrząsnął głową i dodał:

— Ja mam już kwaterę na mieście...

Widocznie do żadnych poufnych zwierzeń ochoty nie miał i Zelmanowicz, wyczerpawszy wszelkie środki, musiał mu w końcu owę Firlejowszczyznę, od której stali o kilka kroków, pokazać. Oczy nieznajomego chciwie się na nią zwróciły, przypatrywał się jej bacznie, długo, ramionami poruszył i uśmiech mu po ustach się plątał, co nie uszło baczności Zelmanowicza. Na ostatek, jakby wychodząc z zadumania, pokłonił się dziękując Żydowi i szybkim odszedł krokiem! Zelmanowicz widział go przyglądającego się jeszcze domostwu, kroczącego powoli, wsuwającego się wreszcie do drzwi obwarowanych kupami śmieci i znikającego we wnętrzu zagadkowej Firlejowszczyzny, przez której próg oddawna żaden z sąsiadów nie przeszedł. Nie miał już potem ani czasu, ani ochoty stary kupiec śledzić dalsze jego kroki i do wieczora o wszystkim zapomniał.

My jednak zmuszeni jesteśmy wniść razem z owym podróżnym do zaklętego domostwa. Próg jego kamienny, wyłobiony latami, trzymał się jeszcze wyżej od zakłęsłej posadzki sieni, złożonej z potrzaskanych niegdyś kosztownych taffli, także kamiennych. Błota na nich jednak narosło miej-

scami dużo i trzeba było postępować z wolna, aby we mroku znaleźć drogę. Przodem obszerny roz-
 twierał się korytarz, który dawniej wieść musiał
 na paradne wschody do pierwszego piętra domu,
 teraz go wszakże kawałem płotu zagrodzono i ma-
 ła chróściana furtka mogła do środka przepuścić,
 a ta była na kłódkę zardzewiałą zamknięta. W pra-
 wo i w lewo dwoje drzwi głęboko w mur wpu-
 szczonych, do których trzeba się było dostawać po
 kilku wschodkach, prowadziły do dolnych miesz-
 kań. Z tych prawe ogromnym, w mur wyciosany
 niezgrabnie wpuszczonym drągiem zaparte się zda-
 wały na wieki, lewe miały kłamkę i zamek. Do
 tych nie próbując dostał się podróżny i dopa-
 trzywszy klucza w zamku, otworzył je nie bez
 trudności, bo kłamka była zardzewiała i chodziła
 ciężko. Wszedłszy wewnątrz, nie znalazł nikogo.
 Rodzaj przedsieni sklepionej, pustej zupełnie, z za-
 murowanym kominem olbrzymim rzeźbionym, wy-
 łożonej płytami równie zabrukanemi jak wni-
 jście, miał znowu drzwi dwoje w głębi, jedne
 wprost, drugie na prawo. Na skrzypnięcie podwoi-
 znać obudzony ledwie ruszył się, drzwi naprzeciw
 wnijscia przetwarły się ostrożnie, mała głowa
 w czapeczce ciekawie wytknięta, popatrzyła na
 przychodnia, który stał i rozglądał się także. Na-
 głe roztwarto szérzėj... człowieczek mały w szla-
 froku podpasanym rzemieniem wybiegł do przed-
 sieni i zawołał schrzyplym głosem:

— A! pana mecenasa! wszak pan mecenas! a! to pan! cóż to go przyniosło?...

Człowiek witający przybyłego temi słowy drobny był, skurczony, żółty i minę miał wielce zakłopotaną, chociaż ożywioną jakąś ciekawością razem.

— Mój Boże! jakże ja tu w tój pustce pana mego przyjmę, dodał, ręce łamiąc.— Widzi pan, to czysta ruina! ale czy to człowiekowi na starość wiele potrzeba! byle dach... byle dzień do wieczora!... Nie chciało mi się, widzi pan, wziąć do reparacyi tych gruzów, bo toby nie wiedzieć wiele kosztowało, a co mnie potem! co mnie potem?

Nagle uciał zakłopotany gospodarz... przybiegł do mecenasa, którego w ramię pocałował, chciał go prowadzić do wnętrza, zawahał się, poskrobał w głowę i ręce załamał.

— Jakże ja tu pana mego przyjmę! a! bo to panie ruina!

Nieznajomy jakby z politowaniem się uśmiechał.

— Ale cóż znowu za ceremonie, rzekł nieco rubasznie.—albo to tam na moje przyjęcie co potrzeba, byle na czém usiąść było a pogadać, bo są ważne rzeczy...

— A! ważne! ważne rzeczy! zawołał gospodarz i ściśnioną w kulak rękę włożył w usta. No—ale usiąść toż przecie będzie na czém... dodał—choć mi wstyd. Widzi pan, mnie na nic wygody nie po-

trzebne—ja—ja nawykłem do biédnego życia, bo to się dorabiało, dobijało... z niczego.

To mówiąc, otworzył drzwi do izby z której wyszedł i ukazało się jej wewnątrz dwoma oknami najlepszemi w całym domu oświecone. Była ona obszerna sklepiona, a tak prawie pusta jak sień. W rogu stało łóżko podobne do zakonniczego, a raczej tapczan na czterech chudych nóżkach z siennikiem, skórzaną poduszką i kołderką wełnianą, której barwy rozeznac już nie było podobna... W głowach stół prosty nie bejcowany z szufladką, zrzynkami papieru był usiany, miał kałamarz drewniany z zatyczką na sznurku i parę piór fantastycznie powykrzywianych od długiego znać leżenia beczynnie. W jednej ze ścian była wpuszczona szafka, niegdyś biało malowana, dziś brudna tylko. W rogu znajdował się jeszcze kominek marmurowy, na którym w butelce stał ogarek świecy, przy nim wiadro z wodą i kubek... Na podłodze parę misek glinianych i cynowa łyżka na nich, świadczyły że niegdyś ktoś się tu czemś pożywiać musiał. Okruszyny kartofli i chleba dozwalały nawet odgadnąć czem się karmił. W papierku wydartym z książki leżała szczypta soli, na drugim rozkrojona cebula... Dodawszy do tego sprzętu półokrągły sepecik niegdyś skórą cielęcą obity, wytarty, z popodnoszonemi od zamków kłapkami, który nudził się sam jeden w ciemniejszym kącie, będziemy mieli obraz dokładny salonu pana

Zembrzyńskiego. Był to w istocie salon dla niemnogich gości, sypialnia, jadalnia, kancelarya, wszystko, a reszta ogromnego domu, z wyjątkiem izby Stroczychy, która za kuchnię i spiżarnię służyła—stała pustką i gospodą dla szczurów, nietoperzów, myszy i wszelkiego rodzaju nieproszonych gości.

Wprowadzając mecenasa do nędznej izby tej, w której oknach łąchmany białe wytarte niby zasłony czy firanki reprezentowały, Zembrzyński się zarumienił na chwile, lecz wprędce bardzo blada twarz jego odzyskała barwę zwyczajną. W pokoju jedno było tylko słomą wyplatane krzeselko, to żwawo podsunął gospodarz przybyłemu.

— Niech-no pan siada bez ceremonii—rzekł—ja mam miejsce na tapczanie—niech no tylko pan siada...

Mecenas musiał się czegoś podobnego do tego co tu zastał spodziewać, nie okazał bowiem najmniejszego podziwienia, wziął podane krzesło, nie oglądając się nawet bardzo po izbie, i siadł naprzeciw tapczana, na którego rogu mały człeczek w szlafroczku przycupnął, oczy płowe, ciekawe wlepiając w mecenasa.

Mecenas Hartknoch był mężczyzną w sile wieku, dobrze zbudowanym i cała jego powierzchowność zdradzała człowieka, który oprócz kancelaryi i izby sądowej obcym nie był nawet salonom stolicy. Ubrany nie zbyt okazało, skromnie lecz

wykwintnie i ze smakiem, poruszał się z wielką swobodą i pewnym staraniem o swą powierzchowność. Twarz ogolona świeżo, kształtna, z wąsikami nie bez pretensyi wymuskanym, wyraz miała pojętny, dowcipny i życia pełen. Znać w nim było inteligencyą samoistną, dzielną i nawykłą do stykania się z najrozmaitszemi rodzajami ludzi, dlatego nie potrzebował śledzić zbytecznie człowieka, którego dom i otoczenie już mu starczyło do wyciągnięcia potrzebnej dyagnozy. Usiadłszy swobodnie naprzeciw pana Zembrzyńskiego, powiódł raz tylko oczkiem po izbie i zwrócił wzrok na skurczonego, zwitego niemal w kłębuszek gospodarza.

— Cóż tam, mój mecenasie dobrodzieju — ozwał się on po westchnieniu, które za wstęp służyć miało — już to nie bez kozery kiedy pan mecenas do mnie się sam fatygować raczył, tyle mając interesów na głowie. Ale nie lepiej-że było mnie wezwać słówkiem, jabym siadł na furkę i przyleciał.

— *Periculum in mora*, ozwał się mecenas, zrozumiesz mnie waćpan boś pono do szkół jezuičkih chodził. Potrzeba się nam było rozmówić koniecznie, a że i drugi jeszcze interes pilny miałem w tych stronach, myślałem że nienarażając pana na koszta zbyteczne, lepiej zrobię, gdy sam przyjadę.

Na wzmiankę o kosztach lice Zembrzyńskiego rozjaśniło się, westchnienie, jakby mu ciężkie

brzemie spadło z piersi, z ust się wyrwało—złożył ręce gdyby do modlitwy i rzekł rozczulony:

— A pan to jesteś nieoceniony mój dobrodziej, rozum i trafność i serce... czém się tu wywdzięczyć! Wyrazów mi braknie na wypowiedzenie tego co czuję.

— Dajmy pokój sentymentom, gdy rzecz o interes idzie—przerwał, śmiejąc się, mecenas — do rzeczy, panie Zembrzyński, do rzeczy, pan się powinienes domyślić co mnie sprowadza.

— Ale się nie umiem i boję domyślać, szepnął, kurcząc się, gospodarz—no—naturalnie te sprawy Brańskich... ale... jakże to tam stoi?

— Według życzeń waszych coraz lepiej, coraz lepiej — rzekł mecenas, a właściwiejby było powiedzieć—coraz gorzej, coraz gorzej.—Piędędzy ciągle potrzebują, hipoteka się obciąża i wywłaszczenie bardzo wprędce nastąpić musi... Jeszcze sto tysięcy dać potrzeba... a potem już dosyć, procenta nieopłacone ich dojedzą...

— Dojedzą! powtórzył Zembrzyński, wzdychając. Gdyby téż to raz tego końca, tego dnia sądu i sprawiedliwości doczekać...

— Przyjdzie, przyjdzie, bo nieuchronny jest jak dzień sądu ostatecznego, rzekł mecenas—a myślę że nawet wprędce. Zresztą to od waćpana zależy... zechcesz, pozwiemy o długi, nie będzie sposobu wyratowania się, dobra na licytacją wystawione zostaną, a że pan na nich masz wszystko co

tam cięży, ze najróżniejsze długi ponabywałeś w końcu tak, że nie będziesz miał współzawodnika; niema wątpliwości iż się przy majątkach utrzy-
masz.

Gospodarz zatarł ręce, oczy mu błysnęły, ale wprędce jak ślimak do skorupy wrócił do swego skulenia i zbiędzenia.

— Więc—powiada pan? przerwał.

— Trzeba na dobiecie prędsze sto tysięcy... do-
dał mecenas. Zwykłym sposobem da je ktoś trzeci,
podstawiony *ad hoc* i natychmiast dług ten panu
przeleje... To moja rzecz... W najszcześniejszym
razie, tak jak stoją rzeczy, mogą trwać najdłużej
rok, potem...

— A czy *on* rok pożyje? spytał niespokojnie
gospodarz...

— Kto—on—szambelan? — rzekł mecenas, al-
boż panu nie jedno po nim, czy po synu wzięc
majątki?...

Chwilę trwało milczenie, Zembrzyński wahał
się, jakby mu ciężko słowo potrzebne wymówić
przychodziło.

— Otóż—nie jedno mi—niejedno! szepnął z wy-
razem dziwnym.... mnie trzeba.... jabym chciał—je-
go... jego... widzieć na takim tapczanie, na jakim
ja życie moje przeleżałem.

Mówiąc to, rozgrzewał się mimowolnie—mece-
nas, słuchając go, zdawał się ciekawe czynić stu-

dyum psychologiczne, tak oczy weń wlepił błyszczące... Ale Żembrzyński się hamował.

— Mów pan otwarcie—podał mecenas—bez ogródki...

— Pan mnie i bez tego zrozumiesz—mruknął pierwszy, więcej ja mu mówić nie potrzebuję... Szambelan urodził się w r. 1770, niech-no pan obrachuje, ma teraz lat osiemdziesiąt, a choć twar-da natura i chuchają tam na niego, to wiek w którym i za rok ręczyć trudno.

— Wszakże i roku, gdy zechcesz, a pilno ci tak, czekać nie potrzebujesz—odparł Hartknoch.—To od waćpana zależy.

Gospodarz milczał a ważył.

— Szanowny mecenasie, dobrodzieju mój najobsobliwszy, rzekł—gdy się na co długo, długo czekało a przychodzi uczynić krok stanowczy, należy się tak wyliczyć, aby fałszywego nie zrobić kroku. Czy pan wiiesz—ale pan to wiiesz tak dobrze jak ja, że rodziny stare a możne nie upadają łatwo... Mają krewnych, koligatów... mają resursa... mają protekcyę, mają środki wszelkie, których ja—jestem pozbawiony.

Przysunął się bliżej do mecenasa, zajmując już zaledwie sam rożek tapczana.

— Niech-no pan mnie posłucha—ja nie nawykłem do gadania, to może się źle wyrażam. Człowiek siedzi ciągle sam, oto tu w czterech ścianach zamknięty, jak więzień, to się mówić oducza. Wi-

dzi pan—trzeba wszystko dobrze rozważyć. Czyż to może być ażeby oni, oni, co im tam przecie na rozumie nie zbywa, nie wiedzieli tego iż nad przepaścią stoją? Wnoszę ztąd że coś na obronę swą chować muszą, że mają jakieś środki ratunku skryte, dla mnie niedostrzeżone, które nagle wystąpią, aby całą moję zburzyć robotę.

Mecenas poruszył się na krześle, jakby coś chciał powiedzieć, Zembrzyński schwycił go za rękę i mówił dalej.

— Szambelan ma familią, nie licząc pana Hugona, którego majątek stopniał dawno; jest tu sufragan, a ten musi mieć pieniądze, są dalsi krewni.

— Ale waćpan wiesz—przerwał mecenas, że sufragan co tylko miał i mógł zebrać, na ratunek interesów brata poświęcił, ba nawet i długi pozaciągał...

— Wiem, wiem—dodał gospodarz—ale duchowny, ma dochody... Kto go tam wie, na złą godzinę musi coś chować... i jak przyjdzie zła godzina dobędzie z kryjówki. Są dalsi krewni... możni i kto tam zresztą zgadnie?.. To pewna że ja—ja się boję, ja muszę być ostrożnym.

— Ale o cóż waćpanu idzie? zapytał mecenas żywo, w żadnym razie tego co włożyłeś stracić nie możesz, jesteś prawie ubezpieczony.

— O co mi idzie? gorąco i jakby mimowoli zawołał Zembrzyński, o to mi idzie, aby nędzę cier-

pieli... aby padli, aby doznali upokorzenia zasłużonego....

Nagle wstrzymał się, jakby zawiele wygadał, spojrział bojaźliwie na mecenasa i znowu porwał go za rękę.

— To jest, dodał—złe się może wyraziłem—złe, pan-by mnie mógł o jakąś chęć zemsty posądzić—tak nie jest. Za cóżbym ja się miał mścić? mnie idzie, tak, mnie idzie tylko—o ich majątek.

— To rozumiem, odparł przybyły, mierząc go oczyma bystremi—a majątku możesz pan być pewnym...

— Ale jeszcze rok czekać! westchnął stary.

Po krótkim milczeniu, Zembrzyński wstał z tapczana i zrobił kilka kroków ku stolikowi.

— Jeśli tam tych sto tysięcy jeszcze potrzeba—odezwał się cicho—no—to dam asygnacją do bankiera. Nie mogę się już cofać—ale,—jak się panu zdaje? czyż to być może aby oni swojego niebezpieczeństwa nie widzieli, ratunku nań nie szukali i tak lecieli ślepo na zgubę?..

— Mój panie Zembrzyński—począł mecenas, uśmiechając się,—jakkolwiek pan tu odludnie siedzisz i mało ze światem obcuje, znasz pono ludzi i świat tak dobrze jak i ja, znasz nadewszystko ten ich świat, albo go odgadujesz. Wielokrotnie miałem się o tём zrećzność przekonać. Wiesz więc jak to tam idzie. Nadzieja w najrozpaczliwszym położeniu nie opuszcza człowieka do końca. Ra-

chują i oni — szczególnie na małżeństwo księcia Roberta, na bogatą jakąś dziedziczkę, która miliony wniesie i rodzinę ocali.

— I taką gotowi znaleźć! krzyknął Zembrzyński, gotowi znaleźć!! Tytuł książęcy! Pan rotmistrz ma nie więcej nad lat czterdzieści, wygląda młodo, człowiek piękny, nie można powiedzieć aby się i podobać nie mógł i...

— Sameś waćpan powiedział że ma lat czterdzieści—roześmiał się mecenas, od lat dziesięciu szuka tej żony, z lada kupcówną, jakinni, nie ożeni się... wybrédny on jest, a ojciec i rodzina jeszcze więcej. Zresztą, mój panie Zembrzyński, dodał mecenas, to są rzeczy uboczne... to nie moja sprawa... ja robię co mogę i umiem, abys dobry zrobił interes, reszta do mnie nie należy.

Gospodarz, jak gdyby się już zanadto wygadał, umilkł, zagryzając wargi, kiwnął głową i zbliżył się ku stolikowi—ręce, które ku piórom i kalamarzowi wyciągnął, widocznie mu drżały. Hartknoch nie chcąc przerywać milczenia, rozpatrywał się po nędznej izdebce, interes z którym przybył już został załatwiony, ale ciekawość znać budziła się w człowieku na widok mieszkania i tego co Zembrzyńskiego otaczało. Gospodarz zdawał się śledzić ruch każdy gościa swojego i odgadywać jego myśli.

— Hm! szepnął, pan się może dziwi, patrząc na mnie i na dom, że ja tak nędznie żyję, choćby się

tam może znalazło za co wygodniej? Ale do czego to? do czego? Jam nawykł, mnie to wszystko jedno. Czy pasztetem, czy chlebem razowym dzień przebędę—różnicy mi nie robi. Los mnie nie pieścił, mnie tu dobrze.

— A po cóż zbierasz pieniądze, spekulujesz, gromadzisz? śmiejąc się zapytał mecenas, a tobie one niepotrzebne, zostawić nie masz komu...

— A no, a no—znajdzie się, o to kłopotu nie ma, zawołał Zembrzyński... o! o! sukcesorów jeszcze nikomu nie zabrakło!

— Dom ci jeszcze kiedyś na głowę upadnie,—przerwał mecenas.

— E nie! on nas obu przestoi — odparł gospodarz... porysował się, połupał, to prawda—ale dawniej nie tak budowano jak dzisiaj. Co pan myśli? czybym ja miał chwilę spokoju, gdyby ludzie wiedzieli że coś mam, a dom inaczej wyglądał?

— Przecież domyślają się że ciulasz i że nie jesteś bez grosza.

— Tak, ale też wiedzą, że gdy sobie żałuję, drugim też pewno dawać nie będę miał ochoty. I ot, tak jestem spokojny! machnął ręką.

— Bądź co bądź—panie Zembrzyński, odezwał się poufnie mecenas; nie mogę powiedzieć żebym was rozumiał, choć szczycę się zaufaniem waszém, W tém wszystkiém jest na dnie jakaś tajemnica.

Gospodarz rękami strzepnął żywo, jakby pośpiesznie to chciał oddalić.

— Co za tajemnica? jaka? zkąd? najprostsza rzecz w świecie, zawołał — jestem chciwy, skąpy, zapragnąłem z bogacić się i po wszystkiém. Przecież ani rozbijam, ani kradnę, a że, z pomocą swego dobrodzieja, używam wszelkich godziwych środków aby na swoim postawić, no to co?

— Godziwych? począł przerywając mecenas — tak! prawnie oba nie mamy sobie nic do wyrzucenia, a raczěj nikt nas nie złapie na nadużyciu — ale w środkach nie przebiéramy... nie!

— A gdzież się inaczej dzieje, mój łaskawco? pochwyił Zembrzyński, gdzie? każdy się dobija i broni takim orężem, jaki pochwyi. Nieuczciwego w tém niéma nic, a serdeczności w interesach szukać — to trudno, to trudno. Zresztą, panie mecenasie, łaskawco mój, ani ja ani pan obowiązków względem téj familii nie mamy.

Ruszył ramionami.

— Idzie tedy o sto tysięcy? he? prawda? ciągnął dalej, już na stoliku się oparłszy — o ostatnie sto tysięcy? Dam — dam! kogoś zapewne splącimy. Co pan ceni ich majątki? jak się mecenasowi zdaje... dużo im zostanie, jeśli na subhastacyą pójdą?

— To wyrachować trudno.... rzekł Hartknoch, majątki mogą się sprzedać drożej lub taniej, od tego zależy co im pozostanie, w każdym razie niewiele. Jest dług towarzystwa, są legata, są sumki drobne, są zaległe procenta....

Oba zamilkli i oba liczyć się zdawali.... Zem-

brzyński pochylił się nad stołem i coś na papierku kręślił, podniósł się potem... zadumał... z za szlafroka dobył kluczyka i śpiesznie wyszedł z nim do drugiego pokoju, to jest do pustej sieni.

Mecenas został sam. Wstał z krzesła i począł się przechadzać po nędzném mieszkaniu swojego klienta, który znikł i chodu jego nawet ani otwierania drzwi dalszych słychać nie było. Dla nawykłego do najwykwintniejszego życia, mieszkania, powietrza i sprzętu człowieka, pobyt nawet w tej izbie krótki musiał być przykrym. Znać to było w twarzy mecenasa, który chodząc unikał, dotknięcia tych brudów, niektórym sprzętom przyglądał się z dziwnym uśmiechem i znowu ramionami ruszając chodzić począł. Przez szyby, któremi na przedmieście chciał spojrzeć, od kopcium i pyłu odwiecznego osmolone a grubą warstwą pleśni okryte, nic prawie widać niebyło. Ściany miały tę barwę nautralną, nieokreśloną, jaką wiek i wilgoć nadawać zwykły; pył okrywał wszystko co niedotknięte życiem powszedniem pozostać mogło... nędza, a raczej zaniedbanie osobliwsze i dobrowolne patrzyły zewsząd. Jeszcze się przechadzał mecenas, gdy zwolna drzwi się otworzyły i powoli wsunęła się postać kobięcia, która na widok obcego, pozostawionego sam na sam w izbie gospodarza, stanęła niema i jakby osłupiała.

Była to Stroczycha... baba pięćdziesięcioletnia, wrodzieży ubogiej, zbrukaniej, z licem zwiędłym

i bezmyślném. Na twarzy jęj Hartknoch nie wyczytał nic więcej nad kwaśne znużenie życiem. Żółta pomarszczona skóra okrywała policzki zapadłe—włos rozrzucony, siwiejący spadał po skroniach i czole. Siwe oczki, głęboko w jamach zakłęśłe, patrzyły obojętnie, ze zdziwieniem jakimś ospałym... Chciała się może spytać przybysza co tu robi, usta jęj poruszyły się już, ale pomiarkowawszy wstrzymała się i chwilę pozostawszy bez ruchu, schyliła się po miski i łyżki na ziemi przy kominie, podniosła je, pomruczała coś niewyraźnie i znikła.

Prawie w tęgże chwili powrócił Zembrzyński; widocznie zmieszany tęg, że gospodyni jego niepotrzebnie się gościowi przedstawiła; rzucił okiem na mecenasa i niosąc sznurkiem owinięty papierów pęczek, żywo do stołu przystąpił.

Hartknoch poszedł za nim, usiedli jeden na krzesle, drugi na tapczanie i rozpoczęło się nieme przezięranie przyniesionych papierów, które gospodarz podawał z kolei, a mecenas pobieżnie przeglądał i odkładał. Nie potrzebowali wzajemnych objaśnięć, gdyż interes o który chodziło, obu był dobrze znany. Kilkanaście minut trwało rozpatrywanie dokumentów, kilka z nich mecenas odłożył do zabrania.

— A więc, mój łaskawco—odezwał się pociachu Zembrzyński, pojedziecie do Brańska... pojedziecie?

— Prosto ztąd—rzekł Hartknoch. Muszę być sam, ażeby interes ten załatwić, a przyznam się wam, że dość rad jestem iż ten dom zobaczą...

— A no, wierzę—szepnął gospodarz—tylko, na miłość Bożą, nie daj się im pan obalamucić. Ci ludzie czary doprawdy rzucać umieją, gdy chcą... O! o! a niema człowieka coby się im oprzeć potrafił.

Hartknoch śmiać się począł.

— Tak, tak! dodał Zembrzyński — ja ich dawniej znałem, ja ich znam i teraz, bo to się tam nic nie zmienia.... Stary Norbert, ten nikogo nie pozyszcze... bo o nikogo nie dba... prosto z panem Bogiem rozmawia, a reszta świata zdaje mu się że do jego kolan nie dorosła—to jeszcze złomek z innych czasów, gdy się ludzie na różne gatunki lepsze i gorsze dzielili! Cha! cha! Straszny jest, choć już mu siła z rąk wypadła. Ten nie obalamuci nikogo — ale syn... ale córka... ale choćby księżę Hugon... Przyznam się wam—dorzucił cicho—bardzom ciekaw jakie oni na was uczynią wrażenie... ale wy, wy tędy już powrócić nie możecie.

— Nie mogę i nie będę—rzekł mecenas, czas mi drogi podaję prosto do Warszawy.

— To może ja u was tam będę—trochę później—dodał cicho Zembrzyński, nie zawadzi pomówić jak się dalej te rzeczy prowadzić mają. Mój łaskawco... nie dziwujcie się, człek im bliżej końca, tēm się więcej niecierpliwi...

Mecenas wstał z krzesła.

— Już jedziecie? zapytał niespokojnie Zembrzyński— a no— poczekajcież— ja was do miasta przeprowadzę... tylko, tylko się ogarnę... dopędzę was na drodze... natychmiast...

To mówiąc, podali sobie obie ręce.

— Mój łaskawco, dorzucił bojaźliwie gospodarz — jabym was tu przyjąć powinien— ale sami widzicie jak żyję— nie mam nic... W usta byście wziąć nie mogli tego, czém się ja karmię... Jam do tego nawykł, mnie to wszystko jedno— wszystko jedno... dodał gorączkowo— ja o wygody nie dbam.

Mecenas, skłoniwszy się tylko, conajśpieszniej z dusznej i zatęchłej atmosfery téj chciał się wydostać! Zembrzyński poprowadził go aż do sieni— spojrzał jeszcze za wychodzącym i prawie biegiem poszedł się przedziać, aby swemu gościowi do miasta towarzyszyć.

Nazajutrz ku wieczorowi, bryczka pana mecenasa Hartknocha, zaprzężona tęgiemi czterema końmi najętymi w Lublinie, zbliżała się ku małej miścinie, na skraju lasów położonej. Zdala widać było na tle ich ciemnym wieżycę białą kościoła, mury i czerwone dachy i szereg porozrzucanych domostw wśród sadów. W bok od osady téj w drzewach starych przeglądały zakryte niemi mu-

ry, w których domyślać się było można pańskiej rezydencji. Woźnica najęty zwrócił się do mecenasa i wskazując biczyskiem miasteczko, ozwał się z tryumfem:

— Widzi pan—jeszcze słońce nie zaszło, a oto za kwadrans na miejscu będziemy, jak mówiłem... Żeby nie te szelmowskie piaski w borze, jużbyśmy byli od półgodziny stanęli. Czy pan każe wprost do pałacu?

Hartknoch się zamyslił.

— Najprzód w miasteczku do zajezdnego domu, muszę się przebrać — potem, jeśli nie będzie za późno... zobaczymy.

— Dlaczego ma być późno? rzekł woźnica. Jeszcze słońce nie zaszło. Toć książęcy dwór, proszę pana; u nich się życie zaczyna gdy kury spać idą. Tam jeszcze będzie zawsze czas, choćby do północy.

To mówiąc, konie podpedził i nie zważając na rozpoczynającą się groblę dosyć wybitą i jam pełną, ku miasteczku pośpieszał.

Mecenas ciekawie przypatrywał się okolicy. Mieścina niepozornie wcale wyglądała, lecz była podobną do mnóstwa innych w kraju naszym, od wieków na jeden wzór się kształtującym. Życie i warunki jego jednakie, w ten sam zawsze sposób wyrażać się muszą. Długa grobla, ponad którą stały młyny czarne i stare, prowadziła do głównej ulicy miasta, zastawionej niskimi chatami, podo-

bniejszemi do wieśniaczych, niż do domków miejskich. Gdzieniegdzie tylko wznosił się porządniejszy, obielony, a nad drzwiami jego lub oknem znak rzemiosła albo czarna z napisem tablica; gdzie-niegdzie ocalala wierzba obcięta, grusza z gałęzmi poobijanemi, lub szeroko ocembrowana studnia z żurawiem wiejskim. Zbliżając się do rynku aż nadto szeroko rozłożonego, dla targów niedzielnych i świątecznych — domki coraz były porządniejsze, a między niemi coraz gęstsze zajazdy i gospody. Szereg ich otaczał dokoła targowicę, przerwany tylko w jednem miejscu parkanem parafialnego kościoła, dalej bramą wiodącą w lipową aleję, ciągnącą się znać ku rezydencyi. Z karczem parę było wcale czysto wyglądających, a szyldy świadczyły że się zwały hotelami. W samym środku targowicy, naprzeciw bramy kościelnej, murowana figura w stylu gotyckim, ze smakiem pobudowana, obwiedziona kratą żelazną, osadzona topolami brzożami i różami, wykwintnością swą dziwnie się sprzeczała z niepozornemi domostwy, stojącemi dokoła. W niszy piękny posąg Bogarodzicy z kamienia kuty, z wieńcem gwiazd u czoła, miał napis — Zdrowaś Maryo!... równyż smak i staranie widać było około kościoła i podwórca. Sztachety, wrotka, krzyż żelazny na cmentarzu, utrzymane były z pobożną troskliwością. Zielone drzewa bujno rozrosłe osłaniały ten cichy kątek.

Woźnica pana mecenasa, któremu miejscowość

znaną była, bez namysłu zajechał, nie pytając, do hotelu noszącego tytuł Warszawskiego, sądził bowiem że Warszawianina nigdzie właściwiej nie potrafi umieścić. Oprócz tego utrzymujący zajazd chrześcjanin, właściwiej przechrzta, był mu osobiscie znanym. Bryczka, mocno stuknąwszy w próg wyniosły, wtoczyła się do szopy, starym obyczajem połączonej z mieszkalną budową. Mecenas żwawo wysiadł i służąca nadbiegająca wskazała mu numer opróżniony, w którym przebrać się było można. Rad się był jednak przybyły dowiedzieć nieco o obyczajach dworu, do którego jechał, aby tam nie wpaść w godzinę niewłaściwą, i poprosił o gospodarza. Życzenie to wprędce spełnionem zostało. Otyły, biały, czarno zarastający, przystojny mężczyzna, bez chustki na szyi i w fartuchu pod surdudem narzuconym na prędcie, poważnie wtoczył się do pokoiku. Skłonił się, bacznie obrachowywując, aby zbyt niskiej nie okazać uniożności i czekał na zapytanie.

— Powiedz mi pan, odczwał się przybyły— czy mogę jeszcze nad wieczór być we dworze? mam interes...

— Dlaczego nie, jeśli pan ma interes— rzekł gospodarz z namysłem, a po chwili dodał: tylko ja nie wiem do kogo pan ma interes, bo tu u nas do interesów jest plenipotent, a co się tyczy państwa...

— Przepraszam cię, panie gospodarzu, przer-

wał Hartknoch, muszę prosić o małą informacyą. Któż tu właściwie zajmuje się interesami? Młody ksiązę, czy stary? czy...

Oberżysta głową pokiwał, jakby dawał do zrozumienia iż to tu nie tak łatwo trafić było i zorientować się, jak sobie naiwny przybysz wyobrażał.

— Proszę pana dobrodzieja—rzekł z akcentem izraelskiego pochodzenia—tu u nas... to wielki dwór... wielkie państwo... przystęp niełatwy i trzeba wiedzieć z jakim kto interesem przyjeżdża. Plenipotent i rządzca dóbr, pan Gozdowski, najlepiejby pana zainformował, a mnie się zdaje, że taki od niegoby zacząć wypadało... i z nim się porozumieć.

— A mieszka we dworze? spytał Hartknoch.

— Chce pan mówić w pałacu—poprawił oberżysta—nie—ale ma dwór swój osobny przy folwarku... bo to tu, proszę pana, wielkie państwo... ksiązęca rezydencya....

Mecenas się usmiechnął.

— Zatem, bylebym drogę wiedział, pojedę do pana Gozdowskiego, dodał. Tak będzie najlepiej.

— Najlepiej — pochwalił gospodarz... a trafić do pana plenipotentą łatwo, ino aleją wciąż i w prawo, pominąwszy pałace, to tam ludzie pokażą. Dwór porządny z ogrodem, co się zowie..

— A jest ten pan w domu? spytał mecenas.

— Pewno jest... nie wyjeżdża nigdzie.

Podziękowawszy za tę pierwszą wskazówkę, Hartknoch ubierać się zaczął. Kawał dobry drogi było jeszcze od miasteczka do rezydencyi, musiał więc, koni nie każąc wyprzegać, siąść znowu do bryki i jechać szukać pana Gozdowskiego.

Tu woźnica, człek bywały i znający miejscowość, wielką stał się pomocą. Trafił od razu aleją na drogę do dworu rządzcy prowadzącą i zajechał śmiało przed ganek. Mieszkanie plenipotenty jak porządny szlachecki dwór wiejski wyglądało, porządniejsze tylko było od wielu starych naszych domów wiejskich. Otaczał je sad, i drzewa, i kłąby, a w nich kwitły całą krasą letnią starannie utrzymywane rośliny... W ganku służący w szaraczkowej liberyi się znalazł i wskazał w lewo mieszkanie pana Gozdowskiego, który szczęściem był w domu. Salonik, do którego wszedł z sieni pan mecenas, tak był poważnie piękny i smakownie przybrany, jakby majętnemu służył obywatelowi; w każdym razie powziąć z niego było łatwo wielkie wyobrażenie o dostatkach państwa, których pełnomocny rządzca tak wytwornie mógł się urządzić.

Prawie równocześnie z mecenasem z drugiego pokoju wyszedł przeciwko niemu mężczyzna niemłody, słuszny, pięknej postawy, wyglądający pańsko, który go dość zimno zdaleka pozdrowił. Był to pan Maurycy Gozdowa Gozdowski, z dawnych lat przyjaciel domu i pełnomocny rządzca

dóbr i interesów książąt Brańskich. Patrząc na jego jasne a niezachmurzone czoło i pogodny wyraz oblicza, można było sądzić iż sprawy, których pieczę miał sobie powierzona, w najświeższym znajdowały się stanie. Najmniejsza troska nie zakłóciła tej fizyognomii dziwnie spokojnej i wewnętrzne zadowolenie malującej wymowie. W ruchach i obejściu znać było człowieka, który nawykł po ufale w najwykwintniejszym żyć społeczeństwie i sam nabral w niem jego tonu, ruchów i oglady.

Pan Gozdowski siwy już, ale czerstwy, z włossem postrzyżonym krótko, ubrany wykwintnie, podobniejszym był do pana, niż do skromnego urzędnika w pracowitych znajdujacego się usługach. Ogromny sygnet z krwawnikiem herbowym na palcu oznajmywał dbałego o swój klejnot szlachcica, który za plebejusza ani chwilę uchodzić nie chce.

— Mam honor przedstawić się panu dobrodziejowi — odezwał się, kłaniając, mecenas — jestem prawnikiem, imię moje może nie będzie mu całkiem nieznanem. Hartknoch... przybywam tu w interesie...

— A! Hartknoch, tak—odparł podając krzesło Gozdowski—w istocie, imię pana mecenasa obcém nam nie jest i interesu nawet mogę się domyśleć ale niech-że pan dobrodziej siada.... Bardzo mi miło.

Ostatnie słowa, precedzone przez ściśnięte

usta, przy nagle zmienionym wyrazie twarzy, mogły wprost oznaczać coś przeciwnego temu co mówiły. Zakłopotanie pana Gozdowskiego, rodzaj zniecierpliwienia krótkiego, ustąpiły natychmiast wracającą pogodzie i uśmiechowi.

— Niech-że pan dobrodziej siada, powtórzył. Pan dobrodziej z drogi, może mu czém służyć mogę.

— Bardzo dziękuję—bardzo dziękuję—zaczął mecenas; czasu mam mało i jeśli pan pozwoli, radbym natychmiast przystąpić do interesu...

— A tak—więc przystąpmy do interesu! sucho lecz grzecznie rzekł, siadając naprzeciw Hartknocha, pan Gozdawa Gozdowski i oczyma bojaźliwymi starając się zbadać z kim miał do czynienia. Jest to interes, jak się domyślam... z Horkiewiczami.

— Tak, tak jak wiadomo panu, mówił Hartknoch, egzaminując również fizyognomią przeciwnika. Horkiewiczowie potrzebowali i potrzebują koniecznie zwrotu swojego kapitału.

Gozdowski ruszył ramionami.

— Kapitał ten, ciągnął dalej mecenas, wypowiedziany w terminie, spleconym być musi, inaczej byliby zmuszeni do kroków...

— Rozumiem, proces, sprzedaż z publicznego targu i tam dalej, dodał Gozdowski—lecz..

— Za pozwoleniem pana, w krótkich słowach rzecz całą skończę, bom nie dopowiedział—rzekł

Hartknoch. Następstwa te, dla obu stron nieprzyjemne, przyszłyby niechybnie, gdyby nie znalazł się środek uniknięcia i ich, i wielkiego kłopotu... w sposób dla stron obu dogodny.

— Jaki? jaki? przerwał niespokojnie plenipotent. Z dóbr wyzuwać się nie możemy—to mówię z góry.

— I, nateraz, nie potrzebujecie państwo, kończył mecenas powoli, wpatrzony w zmieniającą się od wrażeń nadaremnie ukrywanych twarz plenipotentą. Oto znajduje się nabywca długu tego Horkiewiczów, który ich spłaci, a sam w prawa ich wstępuje...

Gozdowski odetchnął lżej, oczy mu się uśmiechnęły, wyciągnął rękę nieco drżącą ku mecenasowi.

— Także pan mów! zawołał—wysmienicie! My nic więcej nateraz nie potrzebujemy, nad odroczenie wypłaty, które w ten sposób właśnie osiągniemy. Dla nas wierzyciele nie są straszni, czas tylko strasznym być może...

— Idzie więc o przelanie długu na osobę, która się ofiaruje spłacić Horkiewiczów i dla spełnienia tej formalności właśnie przybyłem...

Gozdowski aż się porwał z krzesła z licem rozweseloném.

— No, to chwała Bogu! chwała Bogu!—odezwał się przejęty radością—nie będę panu dobrodziejowi tań, iż termin dla nas był wielce uciążliwym. Od-

roczenie go przez to ustępstwo bardzo mi na rękę ucieszy to księcia Roberta, uspokoi tych czcigodnych ludzi... Lecz... są zapewne jakieś warunki? dodał bojaźliwie.

— Żadnych szczególnych — rzekł mecenas, żadnych, któreby mogły zaciężyć — przejmujemy należność, Horkiewiczze kwitując i rzecz skończona... co się zaś tyczy procentów....

— My zaległe od Nowego roku opłacimy niezawodnie — dorzucił plenipotent — ale któż nabywca?

Mecenas chwilę się zawahał.

— Pan Dawid Salomson z Warszawy, rzekł powoli.

— A! Dawid Salomson!... Dawid Salomson... tak! tak! chmurząc nieco brew począł powtarzać plenipotent... Jestto osobistość nam nieznana jakaś... a przyznam się panu, tą tajemniczością swą wydaje się nam groźną... Ten p. Dawid Salomson wciąż nabywa rozmaite wierzytelności na dobrach księcia... ma w tém zapewne zamiar jakiś. Tacy ludzie nie czynią nic bez planu i myśli. Znaczne już summy, lokowane na dobrach naszych, przeszły na jego imię.

Mecenas ruszył ramionami.

— Jest-to spekulant, rzekł nie jestem jego powiernikiem, prawnikiem tylko jestem, nie należy więc do mnie badanie zamiarów klienta. Mając znaczne kapitały uruchomione, a przekładając hy-

potekę ziemi i dóbr nad papiéry, jako większą dającą rękojmię i pewność, pan Salomson nabywa wierzitelność—cóż w tém dziwnego?

— Tak... nie byłoby w tém nic dziwnego, odezwał się Gozdowski—gdyby... gdyby Salomson inne téż tego rodzaju interesa robił, lecz to szczególne przywiązanie się do dóbr książęcych...

— Zapewne większą tu widzi dla siebie pewność przerwał Hartknoch, nietylko bowiem dobra są hypoteką, ale i charakter ich dziedziców.

Gozdowski skłonił się, dziękując za ten komplement, ale westchnął.

— Bądź co bądź, my—dodał—nie możemy temu ani zapobiedz, ani się sprzeciwić—dla nas to chwilowo jest dogodném.. Pozwoli tylko pan dobrodziej, ażebym o tém z księciem Robertem pomówił. Wiadomo zapewne panu, iż książe s zam-belan, ojciec, który już w czerstwém zdrowiu dochodzi lat osiemdziesięciu, dla samego wieku nie może się zajmować swemi interesami, zdał je więc całkowicie na syna, księcia Roberta. Książe zaś szczyca mnie zupełném zaufaniem, wszelako sama forma wymaga, by wiedział i apróbował co się czyni.

Hartknoch się skłonił tylko, a Gozdowski ciągnął:

— Pan dobrodziej, chociaż, jak mi to oznajmiles, mało masz czasu, już dziś, przy nadchodzącej nocy, nie zechcesz się wyrywać.... jutro skoń-

czymy wszystko w kilku słowach. Gdyby to mu nie czyniło subiekcyi, wniósłbym o spędzenie wieczora z nami w pałacu. Oznajmię tylko przybycie pańskie księciu Robertowi, a potem pojedziemy razem i będę miał przyjemność zaprezentować go czcigodnej rodzinie książąt, której poznanie pewnie mu będzie miłym. Mało już takich w kraju domów mamy. Dziś właśnie, choć zwykle żyjemy bardzo odosobieni, mamy całą rodzinę zgromadzoną, dla obchodzących w ścisłym kółku rodziny imienin jmc. ks. sufragana, brata pana naszego, który tu zjechał wedle zwyczaju, aby wraz z księciem Hugonem i naszym panem dzień ten przepędzić. Braknie nam tylko siostry księcia w ścisłym zakonie pp. brygidek życie wiodącej, aby cała czcigodna i zasłużona familia połączoną była.

To mówiąc, westchnął Gozdowski.

— Ale to właśnie przyczyna — rzekł mecenas, abym się państwu w takim dniu nie narzucał — nie chcę sam jeden obcy być nutą dysharmonijną!

— Ale bynajmniej, bynajmniej — zawołał Gozdowski — u nas tu wielki świat, choć na wsi, nigdy na obcych i łaskawych nie zbywa. Będą panu radzi, jak są wszystkim. U nas tu jeszcze staropolska panuje gościnność. Przed chwilą wstaliśmy od obiadu — teraz pobiegnę do pałacu oznajmić pana, a wcześniej go zapraszam na herbatę i wieczere...

To mówiąc, plenipotent podał gościowi cygara i śpiesznie, zostawując go samego, pobiegł do pałacu, do którego od dworku przez ogród umyślna prowadziła ścieżka. Pozostawszy sam, mecenas miał się czas rozpatrzeć w tém co go otaczało, najprzód w domu plenipotenty, urządzonej z wielkim komfortem, potem przez okna ogrodowi i rezydencyi. Wszystko to niezmiernie było pańskie i na ogromną skalę, a dziwnie się nie godziło z tém, co pan mecenas wiedział o stanie majątkowym ks. ks. Brańskich. Groził on rychłą ruiną, której tu ani się było można domyślać, owszem dostatek i zamożność widać było wszędzie, choć przypatrzwszy się zblizka, dostrzedz też mógł że przeszłość zostawiła po sobie co było najpokazniejszego, a terażniejszość trochę się opuściła już i zaniedbała. Zaniedbanie to dopięro staranniejszy rozbiór wykrywał, gdyż pokryte było i niewidoczne. Szczątki dostatków mogły jeszcze olśnić oko niewprawne.

Wyczekawszy z pół godziny na samotném rozmyślaniu, Hartknoch doczekał się nareszcie razem ze świecami, które służący wniósł w srebrnych staroświeckich lichtarzach, powrotu plenipotenty, oznajmującego uprzejmie, iż księżę Robert i całe towarzystwo oczekuje pana mecenasa. Herbata miała być razem z wieczerzą około ósmej, godzina ta się zbliżała, a wieczór był piękny i pogodny. Gozdowski zaproponował małą po ogrodzie prze-

chadzkę. Wyszli tedy. Tuż za dworkiem ozdobna furtka w murze, od której klucz miał plenipotent, wprowadziła ich do rozległego, napół francuzkiego, pół angielskiego pałacowego ogrodu, pełnego szpalerów, przepysznych starych drzew i cieniu... Ztąd już tylną facyatę pałacu, przerobionego za czasów Stanisława Augusta, widać było. Wznosił się on na wzgórzu, z kolumnadą wspaniałą, galerjami, posągami i wazonami na szczytach, patrząc na zieloną łąkę rozścielającą się u stóp jego, a dalej na ogromny i piękny staw, poza którym ciągnął się jeszcze park później założony, z wcielonym do niego lasem. Kilka posągów, zepsuta fontanna, lawy i stoły kamienne przyozdabiały ogród rzeczywiście wspaniały, ale już nie tak utrzymany jakby jego piękność wymagała. Trzymał się on tém, że ścieżki wydeptywane przez wiek cały, niebardzo zarastały, a suche gałęzie drzew, opadające na trawniki zdziczałe, wybiérano na kuchnię. Wszystko co ładu wymagało — opuszczone było i jakby zapomniane. Wszakże bliżej pałacu rosły jeszcze świeżo znać posiane piękne kwiaty, ganek ostawiony był ogromnemi drzewy pomarańczowemi, laurowemi i granatami. Czoło pałacu z kilkudziesięcią oknami od téj strony oznajmowało gmach bardzo obszerny, już nieco zabrukany i z tynków odarty, ale cały zamieszkany... Pomimo że na dworze jeszcze było dosyć jasno, w oknach, pierwszego piętra szczególnie, gorzały już

światła rześiste. Około pałacu kręciło się mnóstwo służby niezbyt potrzebnej, bez której u nas żaden dwór większy obejść się nie umiał. Gozdowski, oprowadzając gościa i umiejętnie pokazując mu piękności rezydencyi, badał wrażenie jakie ona czyniła na nim i starał się je zwiększyć swém opowiadaniem o książęcym dworze.

— Wszystko to, jak pan dobrodziej widzisz, mówił, choć jeszcze wspaniale wygląda i na pańską stopę jest utrzymywane, niczém jest przy tém co książęta mieli dawniej i czém dawniej byli. W tym majątku dopiero od stu lat mieszkają, straciwszy przez nieszczęśliwy skład okoliczności prywatnych i publicznych ogromną fortunę. Są to tylko resztki, dodał, ale, wedle przysłowia—pańskie ostatki lepsze niż szlacheckie dostatki. — W Bogu nadzieja że się z chwilowych trudności podźwigniemy—bo, i to dobre przysłowie, że więcej ma pan Bóg, niż rozdał. Ażebym panu dobrodziejowi, mówił ciągle dalej—ulatwił poznanie osób, w których towarzystwie wieczór spędzić mamy, nie zawadzi gdy mu do rodziny należące wyliczę. Głową rodu, jak panu wiadomo, jest nasz szanowny i czcigodny książę Norbert, niegdy szambelan j. k. m., już osiemdziesiątletni starzec, choć mu, spojrzawszy nań, niktby tego wieku nie dał. Naszą anielską księżnę jejmość straciliśmy już od lat wielu. Książę szambelan nie zajmuje się już niczém, zdawszy na syna wszystko.. Zatem idzie

młody ksiązę Robert, nasz dziedzic i pan, który służył wojskowo, a teraz potroszę się zajmuje bieżącemi sprawami, w czem ja mu mam honor dopomagać. Mamy téż gwiazdę naszą, siostrę księcia Roberta księżniczkę Stellę, anioła piękności i dobroci... warta tjonu... dorzucił z zapalem Gozdowski... Z braci starego księcia zamieszkuje przy nim pan generał Hugon, kawaler maltański, którego pan wieczorom zobaczy, a jest téż przybyły w gościnę j. m. ks. sufragan, świętobliwy kapłan... To są panowie nasi, dworu zaś nie będę wyliczał, chyba panu przy sposobności moich przyjaciół przedstawię.

— O! panie dobrodzieju! odezwał się mecenas, ja tu bawię tak krótko, iż mi trudno będzie korzystać z jego uprzejmości.

Domyślając się poniekąd formalności, jakie go tu spotkać mogą, mecenas, zważywszy spóźnioną porę, wziął był szczęściem frak, a białe rękawiczki miał zawsze na pogotowiu w kieszeni, i to go wyratowało, bo nawet Gozdowski przenoszone popielate wydobyl zawczasu. Godzina się zbliżała, poszli więc ku pałacowi, lecz że Gozdowski szedł z nieznajomym, etykieta nie dozwoliła mu wniknąć od ogrodu, musieli więc okrążyć gmach i paradnym wejściem po szerokich kamiennych wschodach dostali się do przedpokoju. Służby wszędzie było mnóstwo, w liberyi z herbowanemi pasami, w trzewikach i pończochach. Tłumaczył to wpraw-

dzie ów dzień uroczysty. Z przedsienia weszli do wielkiej sali białej ze złotem, w której jeszcze było pusto; głosy gości dochodziły z prawej strony, gdzie już wszyscy w mniejszej bawialni byli zgromadzeni. Pokój ten, a raczej salon z zielonem obiciem, przedstawiał w tej chwili obrazek jakby z dawnych, lepszych czy gorszych, lecz wcale innych czasów. Sprzęty wszystkie były tu z XVIII w., pięknie utrzymane, ale dosyć wytarte. Za stołem okrytym wspaniałą mozaiką florencką, siedział w fotelu z poręczami stary książę z ks. sufraganem. Wysoki, sluszny, sztywny mężczyzna, z włosami białymi, długimi, na tył zaczesanymi, w surducie czarnym, bardzo wykwintnie zrobionym i z kilką wstążeczkami orderowemi u guzika, przechadzał się, ręce trzymając w kieszeni, wzdłuż salonu. Był to kawaler maltański, generał Hugon.

Fizyognomie wszystkich trzech zgromadzonych tu braci miały do siebie wielkie familijne podobieństwo. Najpiękniejszą z nich jednak była twarz blada, poważna, o rysach nadzwyczaj delikatnych i szlachetnych, samego pana domu, księcia szambelana Norberta. Rysy jego oblicza odznaczały się tem, cośmy arystokratycznem zwykli nazywać. Czoło obnażone, białe, lśniące jak kość słoniowa, nos rzymski, suchy, usta mimo wieku ślicznego rysunku, którego lata zepsuć nie mogły, owal twarzy regularny, oprawa oczów przepyszna, całość wreszcie jakby dla malarza stworzona, ściąga-

ly wzrok i obudzały mimowolny jakiś szacunek i poważanie. Starzec też, znać to było, sam się bardzo szanował i dbał o to aby go szanowano. Ubranie szambelana, mimo późnego wieku, staranne było bardzo i ze smakiem dobrane do twarzy i postawy; suknie miał czarne, chustkę białości śnieżnej i takąż kamizelkę, a przy rękawach koszuli świeciły wielkie guzy ametystowe. Podobne oblicze, ale ogorzałe nieco, więcej marsowego wyrazu, chmurniejsze, ostrzejsze, mniej delikatnie narysowane, miał brat szambelana, kawaler maltański, generał Hugon, w którego obcisłym stroju, chodzie, ruchach znać było żołnierza. Wąs poczerniony, podkręcony do góry, czarne brwi, przy siwych, do góry podczesanych włosach, nadawały mu postać marsową. Chodził też bez ostróg, jakby chciał ostrogami brzęzczyć zwracał się całym sobą i sztywny był jak młody rekrut. Najmniej podobnym do obu braci, choć z fizyognomią tego samego stylu i kroju, był ks. sufragan, siedzący w fioletach przy szambelanie... niższy od starszych swych, nieco ułomny, bo jedno ramię miał wyższe; na twarzy smutnej wyraz miał trosk przebytych i walki z życiem, cerę żółtą, oczy zgasłe... Utrata zębów zmieniła mu kształt ust i skróciła twarz. Roztargniony, zamyślony, posepny, potrzebował nieustannych powtórzeń i przypomnień, aby toku rozmowy nie zgubić.

Oprócz tych trzech osób znajdował się w salo-

nie spadkobierca jedyny imienia książąt Brańskich, były rotmistrz huzarów, nadzieja rodziny, książę Robert. Postać ta ze wszech miar zasługiwała na baczne wejrzenie, już pięknoscią swą i szlachetnym wyrazem, już powagą niezwykłą i inteligencyą, która z jej oczów błyskała. Typ był to ten sam jaki starsze przedstawiało pokolenie, lecz ożywiony, oświeślony wyższém wykształceniem i twardszemi zadaniami życia, z którym łamać się musiał. Pewien rodzaj spadkowej dumy, ale spokojnej i zamkniętej w sobie, otaczał ją auerolą,—nosił ją książę raczej z obowiązku i jako ciężar włożony na ramiona, niż z własnego poczucia jej potrzeby. Pomimo dobiegających lat czterdziestu, był to jeszcze piękny, młody, żywy, pełen ognia człowiek, którego wychowanie uczyniło nie salonową lalką, ale można było rzec—ideałem wyższego świata. W tej postaci całej naprózno byś szukał nuty fałszywej, dźwięku jakiegoś niesfornego; co w niej było słabością ludzką, pokryło się tym werniksem oglady, poza którym nic dostrzedz nie można. Książę Robert na pierwszy rzut oka podobać się musiał, i nikt się nie dziwił że o jego powodzeniach w wielkim świecie stolicy prawiono cuda. Zbudowany jak Antinous, z twarzą Apolina belwederskiego, wychowany w domu, w wojsku i na pierwszych salonach europejskich do wszystkiego cokolwiek spotkać go mogło—zdawał się mężkiem obliczem wyzywać losy, by mu odebrały ten spo-

kój i pogodę, którą świecił i uśmiechał się zwycięzko. Wszystko co włożył wydawało się na nim wytworném i piękném, w najprostszém ubraniu odznaczał się elegancją i smakiem,—słowem była to jedna z tych istot wybranych, któremi arystokracja krwi poszczycić się może. Co więcj, powierzchowność ta nie kłamała, jak utrzymywali ci co go znali; książę Robert był w *swoim rodzaju*, ze swemi pojęciami, teoryami, przesądami, nawet niepospolitym człowiekiem. Ani go porównać można było do innych typów blisko pokrewnych ślepém naśladownictwem, wyrobionych twardym młotem pracowitego wychowania — książę Robert był sobą, miał coś odrębnego i samoistnego, co go wśród tysiąca odznaczało, lecz razem z tem widać w nim było zupełne życiem złamanie i zubożenie — uśmiechał się bez wesela, mówił nie rozgrzewając, ubolewał bez bólu — zdawał się znudzonym i dźwigał się tylko z obowiązku. Malo co go obchodziło w istocie, choć wszystkiém przez grzeczność zajmować się zdawał. Gdzieindziej była dusza jego i myśli.

Gdy pan Gozdowski wszedł, prowadząc mecenasa za sobą, Robert, który zdawał się oczekiwać na ich przybycie, zbliżył się pierwszy na powitanie gościa i z wyszukaną grzecznością pańską sam poszedł go ojcowi, ks. sufraganowi i stryjowi generałowi przedstawić. Szambelan podniósł się nieco z krzesła, skłoniwszy protekeyonalnie głowę, ks.

sufragan pozdrowił ręką, generał skłonił się zdaleka. Mecenas, mimo nawyknięcia do ludzi, po tym wstępie uczuł się jakoś zmieszanym, poczuł bowiem że w towarzystwie, do którego wszedł, musi pozostać obcym, choćby nawet trochę zuchwale głębiej się w nie chciał wcisnąć. Oczy trzech braci patrzyły nań wyraźnie jak na przybysza i natręta, którego cierpieć się musi do czasu... Szambelan, dopełniając obowiązków grzeczności, zapytał co słyhać w stolicy, nie dosłuchał odpowiedzi i rozmowa przerwana z ks. sufraganem o dawnych czasach ciągnęła się dalej. Robert tylko z panem Gozdowskim w odwodzie stał przy panu mecenasie, nie opuszczając go, a po chwili zbliżył się do nich generał.

Rozmowę jednak zawiązać było ciężko. Trzej starsi panowie należeli do innego wieku i świata... Mecenas był tu cudzoziemcem, nieumiejącym języka i nieznanym obyczajem. Parę razy zagadnął go książę Robert, dodał coś Gozdowski, aby rozmowę ogólną uczynić, ozwał się i mecenas z wielką pewnością siebie, ale sam, słuchając tego co powiedział, zrozumiał iż śpiewa nutą fałszywą — zamilkł więc.

Położenie stawało się dosyć przykrem dla wszystkich, szczęściem otworzy się drzwi zamknięte bocznego salonu, zwanego małą salką jadalną — podano herbatę i całe towarzystwo sposobilo się przejść do stołu. . to ocalilo mecenasa. Szambelan,

uśmiechnąwszy się i skinąwszy grzecznie głową gościowi, jakby go chciał przeprosić, wziął sufragana pod rękę, wiodąc go przodem, Robert zbliżył się do mecenasa, stając z nim w parze, nareszcie Gozdowski, który się był zagadał z generałem, —niewielce opodał i spóźniony za towarzystwem pociągnął. Otwarte szeroko podwoje do rzęsiście oświetlonej salki owalnej z kolumnami dokoła, dozwalały wchodzić parami, co uwalniało od ceremonii na progu.

W salce marmoryzowanej ludniej było niż w pierwszym pokoju — mecenas ciekawe oczy zwrócił na znajdujące się tu osoby i zrozumiał że bez tłumacza a przewodnika zorientować się nie potrafi. Odgadł tylko jedną księżniczkę Stellę, której został przedstawionym przez brata, reszta osób była dlań zagadką.

Nie przesadził wcale pan Gozdawa Gozdowski, zowiąc Stellę gwiazdą... była to nawet jedna z gwiazd pierwszej wielkości, jakie się rzadko na horyzoncie chmurnych czasów naszych w całym blasku zjawiają. Jak książę Norbert był znakomitym typem arystokracji rodu, bez najmniejszej skazy i śmiešności, które często wybranym towarzyszą —tak księżniczka Stella wydała się mecenasowi czemś nadziemsko pięknem i idealnem. Słusznego wzrostu, kształtna, pełna wdzięku w ruchu każdym, twarzą przypominała księżniczka angielskie ilustracye od dramatów Shakespaera, była

nieprawdopodobnie piękną. Ale piękność taka regularna, klasyczna, nie opisuje się i gdyby nią tylko odznaczała się siostra ks. Roberta, nieby już o niej więcej powiedzieć nie można; piękności rysów wszakże towarzyszył tu wdzięk i urok pełen dobroci i słodyczy — na pierwszy rzut oka poznać było można iż nie była młodziuchną, ale jeszcze w kwiecie dziewiczej młodości... Cóż smętnego w oczach i ustach pociągało ku niej bardziej jeszcze. Cichy, harmonijny głos, którym przywitała mecenasa, do reszty mu głowę zawrócił. Śmiały zwykle i w żadnym towarzystwie nie czujący się obcym Hartknoch, z upokorzeniem własnym — gniewając się na siebie — czuł że tu musiał się straszliwie plebejuszowsko i gminnie wydawać. Ruchy jego, zwykle zuchwale swobodne, stały się sztywne i śmieszne... sam to rozumiał. Jakkolwiek ciekawy przypatrzeć się zblizka temu dworowi zaczarowanemu, jakby z bajek tysiąca nocy wydartej karcie — Hartknoch myślał że im prędzej się ztąd wyrwie, tem będzie lepiej... Jątrzyło go to iż się znalazł na świecie kątek, w którym on — co się miał za równego wszystkim, mógł tak się czuć nie swoim. Radby był zaprzeczył temu czego doznawał, ale rzeczywistość cisnęła go żelazną ręką... W chwili gdy najmniej wiedział co ma robić z sobą, z kapeluszem, z nogami, głową... nawet z językiem — Gozdowski wziął go pod rękę począł rozmowę cichą i wyratował z tej toni... Otrzy kro-

ki odszedłszy, mecenas czuł się już na lądziei bezpiecznym.

Dopiero powiódł wzrokiem po reszcie towarzystwa. Zasiadano do stołu i herbaty, osób było sporo, prócz już wymienionych—Gozdowski podjął się summarycznie obeznać pana Hartknocha z tym światem. Przy księżniczce Stelli, bardzo piękna także panienska jój wieku zajmowała się gospodarstwem. Przypadała ona do tego towarzystwa, a jednak nie można było powiedzieć żeby do niego należała. Cós było poufalszego, bardziej ziemskiego, zrozumialszego w pięknej jój, ożywionej twarzyczce, bystro patrzających oczach, uśmiechu, białych ząbków, rozmowie śmiałej, zręcznej i jakby obowiązkowej, którą wszystkich zabawić się starała. Mówiła za siebie, za księżniczkę, interpelowała, począwszy od ks. sufragana, wszystkich, rzucała pytania, dawała odpowiedzi, słowem wzięła na siebie urząd mistrza ceremonii przy herbacianej rozmowie. Jedną ręką podawała filiżanki, drugą dawała znaki, usta się jój nie zamykały, oczy biegały po przytomnych niezmiernie; wyręczała, podpowiadała, pomagała każdemu.

Mecenasowi łatwo się w niej było domysleć towarzyski księżniczki, obytęj z domem i ostrzelanej z jego etykietą, spytał jednak kto była ta słiczna i tak miła panienska.

— Patrzaj no pan tam dalej, poza generała,— rzekł Gozdowski, zobaczysz tłustą, poczciwą, ru-

mianą twarz szlachcica z długimi wąsami, który sobie pot z czoła ogromną chustą ocięra, poglądając z zachwyceniem na naszą pannę. Jest to rodzony ojciec panny Antoniny, od lat dwudziestu dzierżawca części dóbr książęcych, pan Grzegorz Żurba... Panna Antonina wychowała się z naszą gwiazdą razem i od niej tego nabrała blasku. Tuż za ojcem masz waćpan chmurnego młodzieńca, rodzzonego jej brata, pana Zenona Żurbę, doktora praw i administracyi... wielce uczonego jegomości, który tu z nami dlatego może gadać nie raczy i zawsze nam taką twarz pochmurną przynosi. Jestem pewny że gdyby go tu ojciec gwałtem nie przywiózł, z dobrej woli by nie przyjechał...

Mecenas, widząc że trafił na drażliwą materiją mimowoli, zamilkł nic nie odpowiadając, ale spojrzawszy na owego pana Zenona, poczuł w nim jakby brata i sprzymierzeńca. Obaj do tego świata nie należeli. Obiecał sobie po herbacie zbliżyć się do niego i zapoznać. Oprócz dwóch panien, starsza od nich, zakonnie jakoś wydająca się, w sukni czarnej pod szyję, już niebardzo młoda, stała milcząca trzecia kobięta, twarzy dość przystojnej, surowego wyrazu, pochmurna. Pomagała ona nieco przy gospodarstwie herbacianém, ale jakby roztargniona i tylko z obowiązku.

— Ta panna, rzekł wskazując Gozdowski, to krewna książąt, wprawdzie daleka i uboga, lecz zawsze należąca do familii. Dobra bardzo osoba

ta panna Marcyanna; ona się tu opiekuje szpitalami, apteką, choremi i kaplicą. Bardzo pobożna, księżniczka ją ceni i kocha.

Mężka strona stołu obsadzona była jeszcze wielą figurami, w których mecenas bez komentarza domyślił się łatwo rezydentów wszelkiego rodzaju, bez których żaden dwór większy istnieć nie mógł. Pierwsze tu miejsce zajmował milczący, rumiany, nieśmiały ruchów i wejrzenia kapelan-bernardyn ks. Serafin. Nie odznaczał się on niczem tak dalece, chyba zdrowiem, którem okrągła twarz jego tryskała... Gdy drudzy zajęci byli wstępną rozmową, ks. Serafin chleb swój rozkroił, masło przysunął i zabięrał się smarować kromkę, na którą miał apetyt. Za nim siedziała głową od niego wyższa, z szyją niezmiernie długą, suchą, kościstą, figura Don Kiszotowska, z wąsami miotlastemi, na dwa świata przeciwne bieguny zaczesanemi, nieco tyśa, długoręka, wyprostowana, żołnierska... Kręsa przez czoło biała, jedno oko zmrużone na wieki. mówiły o przeszłości spędzonej czynie i żwawo. Był to pan Polikarp Wicentowicz, który się długo błąkał po świecie, dopóki się tu na łaskawy chleb nie dostał. Powierzony on sobie miał departament łowiectwa, psy, konie, myśliwstwo, i najczęściej do stołu nie przychodził, tak był zajęty lasami i dzikimi zwierzęty—ale na dziś uczynił wyjątek, bo to był dzień uroczysty. Robił też czasami fajerwerki ku uciesze dworu i miał się

za pierwszego w Europie mistrza ogniów sztucznych.

Na ostatek siedział jeszcze na szarym końcu, nie dobijając się lepszego miejsca, człek niepozorny, ubrany ubogo, że wstążeczką legii honorowej u guzika... Nikt na niego nie patrzył i on raczej się zdawał unikać wzroku, niż chcieć go ściągnąć na siebie. Był i to też stary żołnierz jakiś, któremu dom otwarto, gdy żadnego nie miał.

Tak złożone towarzystwo zasiadło do owalnego stołu, rozdzielając się na kilka gronek prowadzoną rozmową. Szambelan wciąż jeszcze opowiadał coś ks. sufraganowi, który pochylony nad stołem słuchał go, zdając się nie słyszeć i nie rozumieć. generał zaczął pannę Antoninę, Stella wypytywała o coś brata pocichu. Wszystkich oczy z kolei biegały ku nieszczęśliwemu mecenasowi; zdając się pytać kto to był i co tu robił—bawił go jeden tylko Gozdowski, który może umyślnie do niego się przysiadł. Rozmowy niepodobna było uczynić ogólną, bo głowa domu nieprzerwanie pocichu zabawiła opowiadaniem ks. sufragana.

— Wszak pan wprost jedzie z Warszawy? odezwala się, rozdawszy herbatę i siadając do swojej filiżanki, panna Antonina, której miejsce przypadło wprost naprzeciw mecenasa.

— Tak jest, pani—odpowiedział wyzwany, ale zatarł mi się obraz stolicy najprzód widokiem kra-

ju, którego dawno nie widziałem, potem pobytam w Lublinie, chociaż bardzo krótkim...

— I—zapomniałeś pan zupełnie — przerwała panna Antonina, tak że nam nic o niej powiedzieć nie potrafisz?

— Nic—oprócz tego że w lecie jest pustą, bo my mamy zwyczaj wszyscy wyjeżdżać na wieś lub zagranicę, a miasto w lecie stoi zwykle pustkami. Tylko tacy jak ja niewolnicy interesów skwarzają się w murach przez kanikulę.

Panna Antonina znać spodziewająca się bardziej ogólnej odpowiedzi, spojrzała z uwagą na mecenasa, a oko jej zaczęło go baczniej wybadywać. Widać było iż z kilku tych słów lepszego o nim nabrała wyobrażenia, ale rozmowa tak niefortunnie poczęta przerwała się i oczy ją tylko przeciągnęły dłużej nieco. Gozdowski znów podjął się gościa zabawiać—szambelan wreszcie długie opowiadanie swe cichém jakiémś zwierzeniem do ucha ks. sufraganowi dokończył i zwrócił oblicze pogodne ku dworowi i gościom. Wszyscy umilkli, domyślano się iż stary będzie kogós interpelował.

Począł od ks. Serafina.

— Dziękuję ojcu za szczupaka, rzekł—co szczupaka to szczupaka, niełatwo o takiego teraz... dawniej, pamiętam, trafiały się olbrzymie, dziś to wszystko zmarniało...

Bernardyn się rozśmiał.

— Niema za co, zawołał, *de tuis donis tibi offer-*

rimus; toż to z książęcych wód tak mi się go w porę pochwycić udało... ale że niesztetny był, to prawda, i o mało mi niewodu nie rozerwał... Ledwieśmy go na brzeg wydobyli.

— Osobliwość rzeczywiście na terażniejsze czasy, dodał książę szambelan; dziś ani porządnego szczupaka, ani kozła rogacza nie napotkasz w lesie. Nieprawdaż, panie Wincentowicz? rzekł zwracając się do wásacza. Dawniej u nas jelenie bywały, budowano dwory i kościoły modrzewiowe, łosie chodziły stadami, a dziś... a dziś wszystko drobnieje, marnieje schodzi i ginie.

Nikt nic nie odpowiedział, tylko generał, pokręcając wásą, zaśpiewał cienkim jakimś głosem, osobliwie odbijającym od jego marsowej postawy.

— Niech sobie co chcą gadają, *ma foi*, świat materyalnie i moralnie w upadku, to nie potrzebuje dowodzenia. Ludzie mówią o postępie, gdzie postęp? jaki? co? Odkopujemy mamuty i słonie, tam gdzie teraz o cielaka trudno, ludzie drobnieją i z pozwoleniem, parszywieją, (wyraz ten powiedział pocichu), wszystko do góry nogami!— Ruszył ramionami generał... koniec świata! koniec świata!

— To pewna, szepnął bernardyn, że z apokalipsy i ze wszystkich przepowiedni, ze wszech znaków, przyjsie antychrysta blizkie.

Antychrystem tym wszystkim usta zamknął: spojrzeli po sobie i nikt się nie sprzeciwił.

— Gdyby co weselszego udało się wprowadzić

w rozmowę—szepnęła księżniczka, mrugając na brata.

Księżę Robert ramionami ruszył. Nastąpiło milczenie. Szambelan dopiero teraz, obwodząc oczyma po stole, baczniej począł się wpatrywać w mecenasa. Instynktowo jakoś i twarz ta i jej wyraz mu się niepodobały. Obcy ten żywioł nie dawał mu ze zwykłą swobodą nacieszyć się rodziną i domownikami, gościnność wszakże znieść go a nawet przyjąć mile nakazywała. Obowiązkom jej nigdy księżę nie chybił. Nie zdawał sobie tylko dobrze sprawy, co to był za jeden i po co się tu niespodzianie zjawił. Skinął na syna, który natychmiast ku ojcu pośpieszył. Poczęła się żywa na ucho rozmowa.

— *Mon cher*, cóż to za jeden ten Hart... jakże Hart-burg, Hart-berg, czy jak tam? Mecenasa? cóż to, interes znowu jaki?

— Tak jest, kochany ojczy, przyjechał z interesem, który jutro załatwimy, rzekł syn,—grzeczność sama kazała go tu zaprosić.

— A bardzo dobrze, rzekł stary księżę — nie mam przeciwko temu. Czy szlachcic? dodał na ucho.

— Tego to prawdziwie nie wiem, odparł księżę Robert, ale sądzę... zdaje mi się że to stara szlachta pruska... Hartknoch. Jeden tego imienia napisał kronikę.

— A no! chwala Bogu, jest wiele starożytniej

szlachty w Prusach! Hilzen, ale nie! Hilzen pisał o Infantach, a inny jakiś o Prusach. Szambelan potarł czoło. Wołałbym wszakże żeby innego dnia przyjechał, dodał, jakoś nam z nim obco.

— Ale bo zważać nie trzeba na niego, mości książę, przerwał syn; niech się ojciec nim nie kłopotuje... Gozdowski go zabawi.

— Zawsze mi jakoś dolega! odezwał się stary, nie lubię nowych twarzy.... stary jestem. We-
stehnął.

Gdy w jednym końcu stołu tak szeptało, w drugim udało się panu Żurbie zawiązać żywą rozmowę, która się stała ogólną... Mówiono o zwierzu, polowaniach i dawnych sławnych łowach. Wincentowicz, wyciągnąwszy dwie swoje miotły, aby mu ust nie zakrywały, zaczynał jakąś historią myśliwską nieprawdopodobną, z której o Serafin śmiał się zawczasu, bo ją znał i najmniej dziesięć razy słyszał... Była to powieść o łosiu, który zabity, rozciągnięty, nieżywy, nagle, gdy nań wsiadł myśliwy, zerwał się, kopnął biednego łowca zaniósł gdzieś na grzbiecie na trzęsawiska, z których się ledwie wyratował, bo potem za uciekającym całe stado rozjuszony gonić miało.

Cichusieńko siedzący obok stary żołnierz z legją honorową, kiwał tylko głową i powtarzał jakby sam do siebie:

— Ale—ale—jeszcze czego!—jeszcze czego!..

aż się za nim kurzył!... otóż przyjechał na łosiu, ha! ha!..

O. Serafin trząśł się ze śmiechu...

Piękna księżniczka, sparta na łokciu, zadumana, jakby na innym świecie przebywała myślami— utopiona w marzeniu jakiéś, zdawała się zupełnie obcą temu co ją otaczało. Z tego snu budziło ją tylko ciche, rzucone czasem słowo Antoniny, na które odpowiedziawszy uśmiechem, zamyslała się znowu.

Mecenas, o ile przyzwoitość dozwalała, oczu z niej nie spuszczał... Tak pięknej twarzy, tak smutnej razem, nie widział nigdy w życiu... Na czołach brata i siostry czytało jego oko wyrok przeznaczeń nieuchronny... były to istoty bez przyszłości, ostatnie z rodu i ducha... *Morituri*, szepnął mimowolnie mecenas... Przykro mu się zrobiło—po raz pierwszy w długim zawodzie—być tu narzędziem Opatrzności, siedzieć przy tym gościnnym stole skazanych, z wyrokiem zguby i zniszczenia! W prawniku zwykle zimnym, któremu się zdawało że jest zbrojny przeciw wszelkiemu uczuciu, odezwało się miłosierdzie ludzkie. Na ten raz wołałby był może nie mieć tu tego posłannictwa, nie widzieć jasno co tę rodzinę, tak swobodnie, nieopatrzenie uczującą godami życia—czekało w bardzo blizkiej przyszłości...

Wśród tych myśli zaczęto wstawać powoli od stołu. Zostali przy nim starsi, lecz wymykał się

kto chciał ku gankowi i sali. Nie było we zwyczajach nigdy palić cygar w pałacu, w obecności staro księcia, który z rana tylko po kawie wypalał jedną fajkę tureckiego tytoniu, tém bardziej przy księżniczce, do której idąc brat starał się pozbyć zapachu cygar;—ci więc co byli nawykli palić, musieli sobie szukać ustronnego kąta. Zwykle obierano na to starą altanę w ogrodzie nad stawem, nieopodal się znajdującą.—i do niej téż tym razem poprosił ks. Robert gościa, z którym razem poszedł Gozdowski, a za nimi wkrótce generał.

Noc była bardzo ciepła i piękna, księżyc w pełni podnosił się nad lasami, obiecując niepotrzebnie wcale przyswiecać fajerwerkowi pana Wincentowicza, niespodziance, o której wszyscy doskonale wiedzieli. Wincentowicz téż śpieszył się, ażeby księżyc uprzedzić i pilno mu było, by od herbaty wstano. Gdy się tylko ruszać zaczęto, pierwszy pobiegł na staw, obejrzyć swoje przyrzady.

— Ten pan Polikarp, odezwał się Gozdowski do ks. Roberta—z temi swojemi nieszczęsnemi fajerwerkami, do których ma pasyą, jeszcze mi kiedy stodoly popali. Ale to darmo — wyperswadować tego nie można. Stare dziecko.

— Dajże mu pokój—rzekł śmiejąc się młody książę—jego to bawi, a nigdy jeszcze żadnego nie było przypadku. Wszystkie jego buraki w staw lecą.

Towarzystwo powoli grupując się rozmaicie,

w części na ganku od ogrodu zasiadło, częścią się do altany przeniosło, do której poszedł później pan Żurba z synem i pokorny ów wiarus z legią honorową.

Wieczór skończył się dosyć szczęśliwie spalonym fajerwerkiem, książę Robert pożegnał mecenasa, a Gozdowski odprowadził go do swego dworku, zkąd gotowe konie zawiozły go do gospody, bo mimo ofiarowanego noclegu u pleni-potenta, Hartknoch uparł się przespać w hotelu i nazajutrz rano miał przyjść dla ukończenia interesu.

Już był na progu swój izdebki pan mecenas i zabięrał się budzić służącego, gdy postrzegł naprzeciw w równym kłopotcie znajdującego się pana Zenona Żurbę, owego doktora praw, którego naj-rzał był przy stole, ale z którym zapoznać się nie miał sposobności. Przywitali się jednak bez zbytnich ceremonij, a że sługa mecenasa prędj się znalazł, Hartknoch, zaprezentowawszy się Żurbie, zaprosił go tymczasem do siebie na cygaro. Od pierwszego wejrzenia i słowa dwaj ci ludzie poczu-li się jakoś blizkimi sobie. Mecenas tylko łatwiej-szym był do znajomości i rozmowy, pan Zenon milczący i bojaźliwy. Na twarzy młodego prawni-ka malowało się jakieś niezadowolenie, pomimo wesolo spędzonego wieczora.

— Jesteśiny pono potrosze koledzy—ozwał się Hartknoch, wprowadziwszy do swęj izdebki pana Zenona,—pan podobno także skończyłeś naukę prawa, a ja praktykuję.

— Tak jest — rzekł Zenon... uczyłem się prawa... chociaż nie wiem czy mi się ono przyda inaczęj, chyba jak nauka każda.... bo może mi wypadnie gospodarować. Zresztą nie wiem jeszcze co poeznę.

— Prawo nigdy panu nie zaszkodzi, odezwał się mecenas. Nie jest to wesoły zawód, i równie jak lekarzowi trzeba doń dobrze zahartowanych nerwów; ale życie walką.

Zenon westchnął.

— Tak, rzekł—życie walką. — Przyznam się panu; że niebym przeciwko temu nie miał, gdyby nie było konieczności zjadania się wzajemnie, dla utrzymania życia... Kto nie jest zjedzonym, ten musi być zjadającym.

— Cóż poradzić przeciw — przeciw powszechnemu prawu? rozśmiał się Hartknoch, zapalając cygaro i bystro spojrział na Zenona, posądzwszy go może iż odgadł chyba z czem przyjechał.

— Przyznam się panu, rzekł zwracając rozmowę, że dzisiejszy dzień będzie mi pewnie na całe życie pamiętnym. Co za osobliwszej powagi i starodawnego jakiegoś obyczaju rodzina! Co za typy! jakie oryginały! jak przedziwny gabinet starożytności! Ale niech się pan nie obraża—proszę,

ja tego w złém rozumieniu nie mówię. Owszem, rodzina ta budzi we mnie najżywsze zajęcie.

Zenon się uśmiechnął.

— Mów pan otwarcie, zdaje mi się że w poglądzie na ten żywy obraz zgadzamy się zupełnie. Widziałeś mnie pan przy tym stole siedzącym jak gość skamieniały, nieumiejącym rzec słowa; mogłeś się domyśleć jak mi było duszno i ciężko, tém ciężej, że w świecie tym mam i ojca i siostrę, bo choć ja do niego nie należę—oni—niestety! są tam wcieleni. Prawda? obraz osobliwszy... a dla mnie wielce, wielce smutny!

— Toż samo i na mnie uczynił wrażenie, pociachu odezwał się mecenas, a może tém większe, że ja go po raz pierwszy oglądałem w życiu, i że... że... ale o tém mówić trudno.

Zenon spojrział mu bystro w oczy.

— Mówić trudno panu, ale mnie aż nadto się łatwo domyśleć—rzekł głosem wzruszonym Żurba. To co dla pana jest domysłem, dla mnie jest dotykalną rzeczywistością... Patrząc na Brańskich, zdaje mi się że widzę załogę okrętu, którą morze lada chwila pochłonie, biesiadującą spokojnie w przeddzień zatonięcia.

Mecenas nic nie odpowiedział; milczenie to było znaczącém.

— Dla wszystkich, mówił pan Zenon, niebezpieczeństwo to jest jawném, oprócz dla nich i dla tych, co w ich koło zaczarowane zostali wciągnię-

ci. Jako prawnik miałem kilkakrotnie sposobność dotykania się ich interesów, z którymi interesa mojego ojca są ściśle związane—to ludzie zgubieni! Wystaw-że sobie pan ten dwór, tych panów z ich nawyknięciami, z ich niepraktycznością i nieumiejętnością życia... nagle pozbawionych majątku, dostatku, dachu, domu, zmuszonych—ale nie... myśleć o tem nie chcę! dodał pan Zenon.

— Nie sędzę—przerwał mecenas, ażeby ta ruina była tak bardzo blizką.

— Mnie się ona zdaje groźną, jutrzejszą, zawołał Żurba, a radbym ją kosztem krwi mój i życia odwrócić, bo to są najczcigodniejsi ludzie w świecie. Ze wszystkimi swemi pojęciami nie naszego wieku, z tradycją, której wątek został przecięty, żyją oni tem co przeszłość może po sobie zostawiła najszlachetniejszego. Szambelan jest prawdziwym patryarchą; kawaler maltański prawdziwym rycerzem, gotowym jutro iść na oswobodzenie Jerozolimy, byle znalazł dwóch jeszcze podobnych sobie; ks. sufragan jest kapłanem wedle ewangelii, a dla rodziny opiekunem najczulszym; księżę Robert najszlachetniejsza dusza... księżniczka Stella... anioł. Cóż pan chcesz? nawet panna Marcyanna, to siostra miłosierdzia, napół święta uczynkami za życia... Pomimo to szambelan waha się przyjść do stołu, gdy wie że przy nim zasiąść musi z mieszczańczukiem lub plebejuszem, księżę Robert wierzy w posłannictwo rodów, a wszyscy

razem pewni są, że śwtał się wykoleił i że jeśli do patryarchalnego żywota nie wróci, to antychryst przyjdzie, jak prorokował ks. Serafin. Oprócz tego najmocniej są przekonani, mówił dalej Zenon, że wybawienie ich z interesów, od ruiny, przyjdzie cudem łaski Bożej... odprawiają na ten cel nabożeństwa, ale siedzą z założonemi rękami i nie czynią nic, coby ich własną siłą poratować mogło. Wierzą w to, że dla wybranych jak oni dzieją się w istocie cuda... Pannie Marcyannie śnią się skarby zakopane, księżniczka Stella marzy o tём, że Robert mógłby zaślubić choćby córkę królowej angielskiej, która ma ich kilka... ks. sufragan modli się, płacze i ostatni grosz oddaje... Tymczasem życie się nie zmienia, wydatki nie zmniejszają, długi rosna; jedna kropla jeszcze, a z naczynia płyn się poleje.

Załamał ręce...

— Zapomniałem panu powiedzieć, rzekł wzruszony, iż siostra księcia szambelana jest księżką brygidek i modlitwy jej uważane są przez rodzinę za rodzaj specyfiku, który w ostateczności niebo rozłanie i złotą mannę sprowadzi. Cóż tu z tymi świętymi począc? mówił zniżając głos Zenon. Odjąc im ich złudzenia, któremi żyją szczęśliwi? niepodobna... one płyną z krwią w ich żyłach... Pomimo nich ratować?.. któż potrafi? Trzeba patrzeć na to z sercem skrwawionem, gdy się ich szanuje i kocha... ratunku niema.

Mecenas słuchał z uwagą wielką, odpowiedzieć mu wszakże było trudno.

— Wierzącym dzieją się cuda—zawołał z półuśmiechem.—Juściż bogate ożenienie ks. Roberta nie byłoby niepodobieństwem.

— Zapewne, odparł Zenon, ale należałoby choć pofatygować się i szukać téj żony obiecanéj... bo ona sama do Brańska nie przyjedzie. Ks. Robert odkłada, marzy, zapatruje się jak chrześcianin-fatalista na wszystko, wierzy niewzruszenie w Opatrzność Bożą i siedzi sobie spokojnie nad książkami, niewiele myśląc o jutrze.

— A pan Gozdowski? spytał mecenas.

Zenon począł się śmiać serdecznie.

— Ale to gąbka, która się tak napiła tego w czém ją zanurzano, że z niej się już nic nie wy-cisnie więcej, nad spotęgowaną rezygnacją samych książąt. Czy pan nie widzisz, że ten poczciwy człek nabral na wet fizyognomii swych ukochanych pryncypałów, wpatrując się w nią długie lata? W nim niéma nic własnego, swojego... to zwierciadło posłuszne, nic więcej.

Mówił i unosił się coraz goręcej pan Zenon, chodząc po małej izdebce. Ręczę—dodał nareszcie—że i pan tu przybyłeś nie nadaremnie...

— To łatwo odgadnąć, cicho rzekł mecenas, my prawnicy nigdy darmo nie przyjeżdżamy tak daleko. Mogę jednak zapewnić pana, iż *na ten raz* interes nie jest jeszcze groźny.

Młody Żurba, dłużej dopytywać się nie śmiać, nagle zamilkł, a że noc była późna, podali sobie ręce i rozeszli się jakoś smutni.

Są wypadki, w których się najchłodniejsza nawet natura wrażeniu pewnemu oprzeć nie może. Hartknoch był jedną z tych chłodnych postaci, dla których życia zadanie mieści się całe w ciasnym egoizmie jednostki, szanującej tylko inne egoizmy i ustępującej im nieco, aby one też ustępstwami za to zapłaciły. Nie był to jednak człowiek zły ani bez serca. Na nieszczęście rozum brał zawsze nad nim górę. Tym razem mecenas, który czuł się zupełnie spokojnym w sumieniu, przybywszy w interesie klienta swego, uległ wrażeniu, jakie na nim widok rodziny ks. ks. Brańskich uczynił. Rozmowa z p. Zenonem przyczyniła się do tego. Długo zasnąć nie mógł, zastanawiając się nad naturą fenomenów, których był świadkiem. Serce podbudziło go może do tych badań, lecz rozum zimno je dokonywał. W końcu z reasumującym dlań wszystko wyrazem: *Morituri!* pan mecenas westchnąwszy usnął.

Zbudziło go rano otwarcie drzwi zawczesne i ukazanie się w progu tego samego pana Zenona, z którym wczoraj do późna prowadził rozmowę.

— Przebacz mi pan, rzekł wchodząc, iż go tak rano budzę; całą noc rozmyślając nad różnemi rzeczami, zasnąć nie mogłem. Przychodzę pana prosić o objaśnienie... jestem niespokojny nieco.

Wszak to nie będzie niedyskrecją zapytać go o bliższe wyjaśnienie interesu, który tu pana sprowadził. Powiedziałeś mi pan, jeśli dobrze pamiętam, iż na ten raz nie jest on groźnym jeszcze. Wnioskuje z tego, iż groźnym stać się może. Losy tej rodziny obchodzą mnie mocno. Możebyśmy *conjunctis viribus* poradzić coś mogli, nawet mimo woli tych starych dzieci, co same sobie radzić nie umieją i nie chcą. Nie mam żadnego prawa wymagania od pana w tém spółczucia i pomocy, ale się odzywam do szlachetności jego charakteru.

Mecenas ledwie miał czas przetrzeć oczy i zebrać snem trochę powikłane myśli, ale umysł miał świeży i łatwo przyszedł do siebie.

— Niezmiernie to naturalne co pan mówisz i bardzo szlachetne z jego strony, rzekł, ale kochany kolego-prawniku, postawże się na mojem miejscu. Gdybyś przybył w cudzej sprawie, powierzonoj ci z zaufaniem, mógłżebyś sumiennie dopełnić cokolwiekbądź szkodliwego interesowi klienta, który ci zaufał?

— O cóż ci właściwie idzie? zapytał siadając Zenon.

— To z czém przybyłem nie jest tajemnicą, odparł mecenas. Między innymi długami na dobrach książących cięży summa pewna, o którą się wierzyciele upomnieli. Zapłacić ją było trudno; ja nabynam ją i biorę przelew w imieniu spekulanta,

który tę hypotekę uważa za dostateczną. Nie w tém dotąd dla Brańskich niéma groźnego.

P. Zenon się zamyslił głęboko.

— Ale cóż to za ideał kapitalisty, zawołał, który *proprio motu* chce się lokować na obciążonych dobrach książęcych? To rzecz niepojęta. Z najlepszą wiarą w ludzką uczynność, lekkomyślność i t. p. trudno mi przypuścić, żeby ktoś bez tajemnego celu popelniał z kapitałem taką... powiem poprostu, niedorzeczność.

Spojrzał w oczy mecenasowi, który zarumienił się mimowolnie.

— W téj sprawie, odpowiedział—ja jestem pośrednikiem bezwiednych celów, jestem posłem i nic więcej.

— Któż nabywa ten dług? spytał Zenon.

— Dawid Salomson z Warszawy, kapitalista... odparł mecenas. Zważ pan że to nie a nie położenia książąt nie zmienia. Dług pozostaje i przechodzi tylko na imię innego człowieka.

— A warunki?

— Są jakie były — nie uciążliwszego do nich nie przybywa... rzekł Hartknoch. Za to co powiadam uczciwem słowem zaręczyć mogę. Zresztą książęta nie mają do wyboru, tylko albo zapłacić, lub od zapłaty uwolnić się tym przelewem.

— Nie rozumiem — dodał Zenon, a czego nie rozumiem, tego się lękam. Dawid Salomson, którego nazwisko dozwala się domyślać przemysłne-

go bankiera izraelity, musi w tém mieć cel jakiś. To sprawa ciemna.

— Ale ja jęj więcej nie widzę od pana, odezwał się mecenas, chcąc się od dalszych badań uwolnić.

Nie mówił całej prawdy pan Hartknoch, wiedział bowiem o zamiarach Zembrzyńskiego, ale zdradzić ich nie chciał i nie mógł. Politowanie nad Brańskimi nie doszło w nim do tego stopnia, by sprawę powierzoną miał dla niego zdradzić. Inkwizycya ze strony Zenona była mu przykrą i rad był od nięj jaknajprędzěj się uwolnić.

— Kochany kolego, rzekł, wyciągając doń rękę, Zenon, o jedno cię tylko proszę, nie śpiesz się zbyt do Gozdowskiego; ja się z nim i z ks. Robertem chcę wprzódę rozmówić. Gozdowski człowiek uczciwy, ale nieudolny i zaślepiony. Ks. Roberta kocham, szanuję, alem go nigdy zrozumieć nie mógł—chcę otwarcie pomówić z nimi. Daj mi godzinę czasu.

— Najchętniej—odparł mecenas, przed godziną też nie mógłbym żadną miarą być u plenipotenty. Do zobaczenia.

Pan Zenon spiesznie wyszedł.

Trudno jest jasno widzieć w duszy człowieka, niełatwo też było odgadnąć co skłaniało pana Zenona do tak gorliwego a dobrowolnego zajmowania się interesami familii Brańskich. Wprawdzie od lat wielu doświadczał ojciec pana Zenona dużo od nich przyjaźni, wprawdzie na dzierżawie doro-

bił się mająteczku, wprawdzie sama szlachetna natura i dobre serce młodego Żurby mogły być pobudką; ale jednak nie starczyło to wszystko na wytłumaczenie tej gorączki i zapалу, z jaką niepowołany prawnik młody narzucił się na zbawcę tam, gdzie niewidziano nawet niebezpieczeństwa. Śpiesznym krokiem poleciał z gospody do dworku pana Gozdowskiego, który, pomimo pilnych interesów i pełnego przedpokoju ludzi czekających na jego przebudzenie, zasypiał jeszcze ze spokojem czystego sumienia. Żurba był tu poufałym i nie wahał się wtargnąć do sypialni plenipotenty, wołając nań aby wstawał i rozkazując słudze otwierać okiennice.

— Ale cóż się stało? co tak pilnego? zmiłuj się! zakrzyknął z łoża Gozdowski — budzisz mnie, gdym dopiero od godziny usnął. Powróciwszy wczoraj z palacu, wziąłem do ręki nową powieść pani Sand, którą mi pożyczyła panna Antonina i zaczytałem się do rana.

— A pocóż czytasz powieści? poco? rozśmiał się Zenon, będąc plenipotentem i mając o ósmęj z rana pełen przedpokój ekonomów, pisarzów, wójtów, arendarzy, którzy na ciebie czekają?

— No, to niech poczekają... trudno znowu... burczał Gozdowski, szukając rannego ubrania, — trudno znowu być wiecznie na ich zawołanie.

— Z nimi rób sobie co chcesz — odparł siadając przy łóżku Zenon — ale ze mną musisz się roz-

mówić. Uprzedzam cię że przychodzę z ważną mową o interesach.

— Niestety prawdziwe z temi interesami! Skaranie Boże! krzyknął Gozdowski. Odetchnąć mi nie dajecie. Na miłość Chrystusową! daj choć krótki pacierz zmówić, wypić kawę, ubrać się.

— Nie mogę, zaraz tu nadciągnie mecenas warszawski, a ja się z wami rozmówić muszę nim on przyjdzie.

— Czy to się tyczy jego?

— Tyczy się ogółu interesów, panie Gozdowski, począł Zenon — znasz pan moje położenie względem tej rodziny, obowiązki wdzięczności jakie zaciągnęliśmy. Ojciec, ja... wszyscy my kochamy książąt; przyznam się panu że jestem o nich niespokojny i chcę jasno wiedzieć jak stoją.

— Cóż? czyście się zlekli o swoje kilkadziesiąt tysięcy? podchwycił Gozdowski, któremu przebudzenie kwaśny humor wyrobiło.

Zenon się oburzył.

— Jak pan możesz mówić coś podobnego? zawołał — my nietylko nie upominamy się o to co mamy, ale oddamy i to co jeszcze mieć możemy, byle im spokój zapewnić. Chcemy jednak wiedzieć jak stoją.

— Znać państwo nie wierzycie we mnie i wprowadzenie tych interesów, któremi od lat dwudziestu kilku, z zadowoleniem książąt, zawiaduję... czy co? ofuknął Gozdowski. Po cóż ta indagacya?

— W uczciwość waszą, kochany panie Gozdowski—rzekł żywo Zenon, wierzę najmocniej, ale w zręczność, w jasnowidzenie, daruj mi, nie wierzę. Nie wierzę tobie, ani ks. Robertowi, ani ks. szambelanowi, ani wszystkim wam, wiele was tu jest, i kwita. Waćpan być może widziałeś jaśniej, ale ciągle patrzysz w słońce i oslepleś.

Zdumiony tym wybrykiem młodego Żurby, Gozdowski zamilkł, był jednak widocznie urażonym... a choć łączyła ich przyjaźń, czuł się dotkniętym. Nikt łatwiej się nie obraża nad tego, który niezupełnie sam z siebie jest zadowolonym.

— Cóż to znowu? coś nowego? Jakiem mi się prawem tak wtrącacie?

— Prawem miłości dla nich i dla ciebie, rzucając się na szyję opierającemu się Gozdowskiemu, krzyknął Zenon. Tyś poczciwy i gniewać się nie możesz, a masz tyle światła, że niepodobna byś sam nie widział miecza Damoklesowego, zawieszzonego nad głowami téj rodziny.

Plenipotent wyrwał się z uścisku prawie gwałtem.

— Słowo honoru—rzekł, że téj napaści rannój nie rozumiem. Cóż się stało? co zagroziło? gdzie niebezpieczeństwo? Co ci się śni?

— Gozdowski, jeśli mnie kochasz, pomówmy seryo.

Plenipotent, który się tak bronił, na te słowa uczuł mimowolnie obawę jakąś i zmiękł znacznie

Opuścił go gniew... objęła trwoga, której wszakże okazać nie chciał. Jako człowiek słaby, ulegał wpływowi optymizmu swych pryncypałów, lecz zarówno dał się też zachwiać i groźbie energicznej Zenona, którego wielce szacował. Znużony, padł na fotel.

— Mówmy seryo, no, dobrze, mówmy, odezwał się z westchnieniem ciężkiem. Pan tak jak ja znasz książąt... wiész że ich Kocham. Czegóż chcesz ode mnie, który jestem narzędziem tylko, aż do zbytku posłuszném?

— Chcę byś mniej słuchał, a więcej się lękał niż oni—gwałtownie kończył Zenon. Nikt później nie uniewinni cię tęp posłuszeństwem, a gdy przyjdzie katastrofa... wina cała spadnie na ciebie.

— Gdzie? jaka katastrofa? co ci się śni? ofuknął zrywając się Gozdowski?

— Otwórz-że oczy... na miłość Boga!.. łamiąc ręce mówił Zenon. Ja nie jestem plenipotentem, a z tego co wiem i widzę, łącno mogę przepowiedzieć katastrofę, o której mówię. Słuchając rachuj. Wszystkie majątności książąt ile mogą być warte? Cen drogo, pozwalał.

Gozdowski się zamyslił chmurno.

— Trzy miliony, rzekł.

— Przypuszczam i to... rachujemy—odezwał się Zenon. Summy zaciągniętej w Towarzystwie jest przeszło milion... Są zaległe procenta. Liczył-żes kiedy długi prywatne? rachowałeś legata i kapita-

ly kościołów, fundacyj i t. p. Ja wiem że wszystko to razem wzięte, jeśli już nie przewyższa wartości dóbr, to przynajmniej jej dorównywa.. Książęta żyją tak zawsze, jak gdyby owe miliony mieli czyste; z każdym rokiem ciężary rosna. Jak z tego wybrną? jak? Jeden pozew, jedna summa, której opłacić czem nie będzie, a wszystko runie.

Gozdowski pochwyił się za głowę.

— To nie jest przesadzonóm, to rzeczywistość ściśle wzięta, nieprzeparta, konieczna. Z roku na rok przeciąga się ruina, ale jest nieuchronną.

Plenipotent milczał.

— Gdyby tak było—wybąknął nareszcie z ciężkością—gdyby tak było, na co się nie zgadzam, to cóżbyśmy, wedle pana, począć mieli? co?... Zatem niema ratunku?

— Poczynajcie co chcecie, ale róbcie cokolwiek—bądź! krzyknął Zenon.

— Tak źle nie jest — odezwał się po namyśle plenipotent, grubo przesadzasz, panie Zenonie. Najprzód znaczniejsza część naszych długów nie jest wymagalną... nie potrzebujemy płacić kapitału, tylko procenta.

— Których nie płaciecie wcale—wtrącił Zenon, a dalej?

— Dalej przecie.... przecie ks. Robert się ożeni, tryumfująco dodał Gozdowski, przecie weźmie milion lub półtora i dobra oczysci, toć jasne jak

słońce... Mamy więc prawo czekać cierpliwie i rachować na to.

Żurba opuścił ręce, słysząc to, głowę pochylił i oczy w ziemię wlepił.

— Na to niéma odpowiedzi—rzekł.

— Sam widzisz... to cały, jasny plan nasz... dodał z dobrą wiarą Gozdowski, a nie jest on tak bardzo zły, ani tak niepewny jakby się mógł здаwać. Księżę ma prawo szukać sobie żony w tych sferach, do których jest stworzonym. Prawdopodobnie znaleźć ją powinien i rzecz skończona.

— I sprzeda się? spytał Zenon.

— Jak można mówić coś podobnego? oburzył się plenipotent—po co ma się sprzedawać? Alboż majątek nie może być połączony z umysłowemi przymiotami? alboż milionowa fortuna nie daje owszem prawa wnosić iż osoba będzie dobrze wychowaną i bogatą we wszystko, co staranne wychowanie dać musi?

Ironicznie, sucho śmiać się począł p. Zenon, spojrział na Gozdowskiego, przystąpił do niego, pocałował go, uścisnął i dokończył:

— Kochany, zacny panie Gozdowski, niéma co już mówić z wami... każ podawać kawę... ja ci przeszkadzać nie będę.

Plenipotent zdawał się obrażonym z razu, lecz powoli mu to odeszło, przyjął uścisk i żart za dobrą monetę, byle spokój od natręta uzyskać.

— Tylko słowo jeszcze—zwracając się od pro-

gu, rzekł Zenon—jaki interes sprowadza tego mecenasa z Warszawy?

— Nabycie summy na nas, rzecz prosta, jasna i już skończona; zyskujemy na czasie, a dla nas on jest wszystkiem; wy zaś, panie Zenonie, co tak kochacie książąt i macie miłość a zaufanie u ks. Roberta, lepiejbyście uczynili, gdybyście, zamiast nas burować niepotrzebnie, skłonić się go starali, ażeby raz na seryo o ożenieniu się pomyślał.

Zenon głową potrząsł, ramionami ruszył i bez pożegnania wyszedł, kierując się wprost do mieszkania księcia Roberta w pałacu.

Ks. Robert zajmował apartament na dole, w jedném ze skrzydeł bocznych gmachu, w którém podobne, dosyć obszerne pomieszkania mieli także ojciec, książę szambelan, pan generał i księżniczka Stella. W pośrodku na pierwszém piętrze były pokoje galowe, mniejsze i większe, w których się cała rodzina zbierać była zwykła. Korytarze i przejścia ogrzane łączyły wszystkie części pałacu, mieszczącego prócz tego mnogą służbę, prawie wszystkich rezydentów, kapelana, przemieszkującą tu ciągle niemal pannę Antoninę, apteczkę z panną Marcyanną i t. d. Budowa była tak rozległą, iż mogła jeszcze w przypadku potrzeby wy-

godnie pomieścić gości, nawet tak obszernego lokalu wymagających jak ks. sufragan. Ks. sufragan miał raz nazawsze dla siebie oddzielone i nigdy nie zajmowane przez nikogo pokoje na pierwszym piętrze: salon, sypialnię, kancelaryę, łazienkę i t. d. Gmach tak urządony, jak się domyślać łatwo, wymagał téż służby licznej, na której nie zbywało; niezawsze zatrudniona, przez pół roku całkiem bezczynna, musiała przecież być na zawołanie. Wszystko téż do téj miary zastosowaném było.

Może jednym z najskromniejszych był apartament księcia Roberta, który lubił to co piękne, ale zbytku nie potrzebował i umiał smak dobry połączyć z prostotą. Urządził on sobie sam wygodnie kilka pokoi, po których poznać było łatwo charakter posiadacza. Jeden z nich zajmowała wybrana biblioteczka osobista księcia, oprócz której na drugim piętrze znajdowała się tak zwana stara biblioteka książęca, bardzo szacowna lecz dosyć zaniedbana. Klucz od niej z urzędu miał kapelan, ale że terazniejszy, ks. Serafin, lubił przede wszystkim rybołówstwo i ogrodnictwo, miały czas sobie zamki zarzewieć a móle i myszy ślać gniazda. Reszta pokoi księcia Roberta, jego gabinet zielony z trofeami myśliwskimi i rycerskimi, były bardzo smakownie przez niego samego urządzone. Spędzał on tu większą część dnia nad dziennikami, nad nowościami, a że lubił przede wszystkim historią, pamiętniki, podróże i czytał z ła-

twością w kilku językach, nie zbywało mu nigdy na miłej rozrywce. Czasem fantazyja jakaś zapędziła go do stariej biblioteki, z kąd także wyciągał różne dzieła, nie zwracając ich już pod klucz ks. kapelana. Czytał ks. Robert wiele, ale czytanie dla niego było rodzajem rozrywki, niż nauką poważną. Czytał bez wyboru, zmieniając treść, szukając kontrastów, biorąc i rzucając dzieła najróżniejsze, i choć bez książki wytrwać nie mógł i nie umiał, rzekłbyś że się nią jak opium tylko upajał, by o życiu i ciężarach jego zapomnieć.

Wszystko mu było dobre, co od rzeczywistości oderwać mogło silnie, dziś Rabelais, jutro Spinoza, zarówno Dante jak Eulenspiegel.

Pomimo pozorów młodości i pełni sił, których wyczerpać nie miał czasu, w księciu Robercie łatwo było dostrzedz, iż do życia nie przywiązywał wagi, nie wierzył w nie wiele i nie zakreślił w niem sobie żadnego celu. Na pozór miły, wesół, uprzejmy, ożywiony, w towarzystwie chętnie się udzielał i dający rozgrzać na krótko, — zdawał się jednak, w chwilach, gdy był sam sobie zostawiony, strutym, rozczarowanym, zobojętniałym na wszystko. Z indyferentyzmem, a raczej kwietyzmem fatalisty szedł drogą jaka się nadarzyła, nie szukając ani nowej ani innej. Cóż w tę duszę szczelnie zamkniętą padło znać, co jej dalszy rozwój wstrzymało. Nie zgorzkniał, nie zniemawidził świata, kochał go, ale on był obojętnym, nie spo-

dzięwał się po nim niczego więcej i nie był go ciekawym. Czasem można go było o sceptycyzm posądzić, chociaż wszystko czego po nim świat, formy, przyzwoitość, obyczaje domu, tradycje wymagały, spełniał ze skrupulatnością drobnostkową, pilną, nieznuzoną. Poszanowanie ludzi i opinij jaknajwiększe — ale do polemizowania z jednymi i drugimi nie schodził nigdy. Wyrozumiałość miał zupełną na błędy, poważanie dla cnoty — ani jedne ani drugie wszakże zapału ni oburzenia w nim nie wzbudzały. Można go było nazwać beznamiętnym, chociaż gdy szło o uczynienie komu przysługi, o spełnienie czegoś poczciwego, krzątał się bardzo i prawie rozgrzewał. Ale ciepło to nie trwało długo, apatya łagodna wracała prędko. Zostawiony sam sobie, smutnym był, a wesołość jego najbujniejsza zawsze zdała się przymuszoną.

Zszedłszy go niespodzianie, można było być pewnym, że się go zastanie pogrążonym w bezmyślném osłupieniu jakiśm lub nad jaką książką — nigdy w rzeczywistości, zawsze w świecie marzeń i wspomnień. Przed okiem starszych, dla których książę Robert przybierał postać rozweseloną i swobodną, usposobienie to całkiem się kryło, po ufalsi tylko chwyтали go tak na uczynku, a cały tok życia stwierdzał mniemanie, iż książę Robert żył z obowiązku, ale bez smaku i zajęcia przyszłością.

Łatwo się domyślić iż wychowanie otrzymał jak najstaranniejsze, że książę szambelan nie zało-

wał niczego dla wykształcenia jedynaka, który od dziecińczych lat okazywał umysł żywy, pojętny i chciwy wiedzy. Niezliczonych nauczycieli brano i odprawiano, posyłano za granicę, po skończeniu wychowania odbywał jeszcze podróże, potem wedle rycerskich tradycyji kazano mu wstąpić do wojska. Tu przypada właśnie epoka, w której szambelan i rodzina nieco go z oczów stracili; młody człowiek dziwnie piękny, wychowany najstaranniej, miły, dowcipny, czarujący wszystkich, nieco rozpieszczony—dostał się nagle w świat, którego pokusom podobno oprzeć się nie mógł. Imię, wielki wówczas jeszcze majątek, który dozwalał mu stanąć na stopie odpowiedniej rodziny stanowisku, zbliżyły go do sfer, w których młodemu, wychodzącemu na świat, z gorącemi namiętnościami a wielkiem niedoświadczeniem, największe grozą niebezpieczeństwa. Jak je wyminął—jak się im obronił—czy ich nawet uniknąć potrafił — o tém domowa milczała kronika. Nikt w Brańsku nie wiedział o nicém, oprócz spieszego bardzo awansu i dosyć znacznych księcia wydatków. Z boku dochodziły wieści, iż księżę Robert był ulubieńcem najwyższych towarzystw, że go sobie wyrrywano, że przepadano za nim; pocichu szeptano jeszcze, iż wielka jakaś miłość tajemnicza, gwałtowna, tragiczna zagroziła zwichnięciem przyszłości księcia, że zakochał się i był kochany przez kobietę zamężną, dla której gotów był poświęcić

wszystko, której przywiązania o mało życiem nie przypłacił—że został przez nią zdradzony i w rozpacz znowu blizkim był samobójstwa. Cała ta tragedia jakaś bez nazwisk, jak głucha plotka dostała się do niższych sfer dworu książęcego, ale do uszów ojca ani stryjów nigdy nie doszła. Rozsądniejsi ludzie poczytywali ją za potwarz i bajkę, gdy jakoś około tego samego czasu szambelan otrzymał od syna list, donoszący mu o chorobie, z powodu której będzie zmuszony opuścić służbę wojskową. Jakoż w parę miesięcy potem powrócił na wieś książę Robert, lecz tak strasznie zmieniony chorobą, że całą przywiązaną do siebie rodzinę przeraził. Reszty słabości tej przeszły zwolna, zdrowie wróciło, ale pozostała po niej owa apatya, smutek, zobojętnienie na wszystko, z którego młody książę wyjść już nie mógł.

Czy było co prawdy w opowiadaniach o jego przeszłości, nikt nie badał nawet; zatarły się powoli wspomnienia. Robert został czém był — owszem, lata ten stan, który mógł być przechodnim, zmieniły zwolna w naturę. Życie wiejskie jednostajne przyczyniło się ku temu.

Gozdowski mówił prawdę panu Zenonowi, utrzymując iż rodzina pokładała całe swe nadzieje na świetnym ożenieniu się księcia Roberta, spodziewać się go miano zupełne prawo i Robert wart był losu, który mu wrócono. Ojciec kilkakrotnie mu o tém wspominał, naglił generał, namawiał

sufragan, którego głos wiele w rodzinie znaczył— ks. Robert milcząc, nie opierał się wcale, przyjmował rady, ale nie czynił coby mu małżeństwo ułatwić mogło. Siedział na wsi, czytał, dumał i spełniał obowiązki towarzyskie nałogowo. Ilekroć chciano go skłonić do podróży, do odwiedzenia miasta, przejażdżki dalszej, znajdował tyle różnych powodów odłożenia wyjazdu, iż w końcu całkiem poszła rzecz w zapomnienie. Siostra, którą czule kochał i słuchał najchętniej, nawet siostra wymódz nie potrafiła, by się ruszył z tego swego spokojnego kąta, do którego zdawał się codziennie mocniej wzrastać.

Taką była zewnętrzna fizyognomia charakteru księcia-rotmistrza, jeśli się tak wyrazić godzi— głębi jego i tajemnic nikt ani śmiało odgadywać. Na pozór otwarty, szczery, był jak te domy, w których sieni ogromnej każdemu krążyć wolno, ale do środka nikt się nie dostaje.

Młodszy od niego pan Zenon, znał rotmistrza od dziecka; choć wiekiem nierówni, spędzili młodsze lata razem. Cała ta rodzina Żurbów przywiązana do Brańskich, chowała się, przebywała, żyła na dworze tutejszym, jak u siebie. Stary Żurba, który ubogim przyszedł na dzierżawę, a trzymał ją od lat dwudziestu kilku, przywiązał się pocziwem sercem do swoich dobrodziejów. Winien im był nietylko stosunkową zamożność, ale wychowanie świetne córki, jako towarzyski księżniczki

Stelli, i pomoc w prowadzeniu syna. Obojgiem szczylił się szlachcic, a pochlebiała mu téż szczera przyjaźń książąt, serce miał dobre, był im więc oddany, tak cały, iż to co miał, chętnie był gotów im poświęcić. Zenon na poufałej stopie z lat młodszych pozostał z ks. Robertem, który go kochał; jednakże po powrocie z wojska, gdy w imię młodej przyjaźni chciał się dowiedzieć czegoś o tych tajemniczych stosunkach, o których po cichu rozpowiadano, postrzegł iż głąb duszy dawnego przyjaciela była dlań zamkniętą. Ks. Robert zbył za pytania natarczywe pół śmiechem, pół nadęsaniem, zagadał o czém inném i we wszystkich innych przedmiotach chętnie rozprawiając z Zenonem, tego jednego nigdy mu dotknąć nie dozwolił. Zenon wniósł iż rana była niezgojoną, że płynęła krwią jeszcze; poszanował i zrozumiał tę boleść, rachując iż czas powoli uśmierzyć ją musi. Nigdy téż nie tykał, z księciem mówiąc, majątkowych spraw, przez delikatność jakąś, a może, by się nie zdało iż o swój i ojca los się obawia, mieli bowiem u książąt sumnę znaczną, a worek ich na zawołanie był otwarty.

Tym razem jednak przybycie mecenasa, które rozbudziło jakiś niepokój w duszy pana Zenona, skłoniło go nietylko do napaści wcale niezwykłej na Gozdowskiego, ale do postanowienia otwartego rozmówienia się z księciem Robertem. Czuł się w sercu czystym, to mu dodawało odwagi.

— Lekarz, mówił do siebie idąc — musi mieć męstwo nie tylko zdarcia z rany bandażów, ale zapuszczenia w nią noża, jeśli nim gangrenę ma wykroić. Będzie się książę gniewać — ha! cóż robić? niech się gniewa, dopełnię obowiązku.

Już był prawie w progu mieszkania przyjaciela, gdy myśl nowa wstrzymała go.

— Co pomoże moja rada? To się na nic nie zdało! Rozjątrzyć mogę, a nie mam dosyć powagi aby przekonać. Wypadałoby — któż wie? — inaczéj może postąpić.

Zamyślił się: książę generał przyszedł mu na myśl, czyby jego za skuteczne narzędzie, lub choć za pomocnika użyć nie było można. Zawahał się, spojrział w górę. W oknie drugiego piętra przeciwnego skrzydła pałacu kawaler maltański siedział z cybuchem i bardzo swobodnie fajkę palił, poglądając w podwórze. Była to jego fajka uroczysta — pierwsza, którą pomaluténku do dna wypalał, po filiżance kawy, zrobionéj własnoręcznie na maszynie.

— Héj, Żurba, słyszysz? Czego ty się tam tak rano kręcisz koło mieszkania Roberta? czy nie widzisz że śpi? Okiennice pozamykane, nie budź go, on potrzebuje biédaczysko wypoczynku. Jeśli się nie masz gdzie podziać, chodź do mnie, zrobię ci kawy takiej, jakiej oddawna nie piłeś?

Zenon głos ten wziął za głos przeznaczenia, za wyrok, westchnął i zwolna pociągnął przez dzie-

dziniec i wschody na drugie piętro, do pana generała.

Nie było u nas wprawdzie ani ordynacyj, ani majoratów; mimo to w rodzinach znaczniejszych troskliwość o utrzymanie ich świetności powoływała rodziców do rozporządzania dziećmi w ten sposób, by wielkie majątności mogły zostać niepodzielnymi. Niesiecki poświadczy ile córek najpierwszych familij przywdziało szaty zakonne, by braciom nie uszczuplić mienia, ilu młodszych braci obierało stan duchowny, rachując na bogate prebendy i biskupstwa, które wydział ojcowizny zastąpić miały. Im bardziej ofiary i dostojęństwa bez wynagrodzenia piastowane nadwierały majątki, tém rodzina do większych ofiar była zmuszoną, ażeby dawną świetność utrzymać. Jednostki chętnie poświęcały się dla *domu*, dla *rodu*, dla *gniazda*, którego blask padał na nie. Działo się to najczęściej tak dobrowolnie, a rozporządzano potomstwem tak zawczasu, iż ofiara mało się czuć dawała. Dziewczętka, często w czternastym roku oddawane do klasztoru, nawykaly do jego ciszy, spokoju, do jego mistycznych uciech, do pobożnych radości i zachwyków, tak że żadna ich siła potem na świat burzliwy wyprowadzić nie mogła. Tak samo synowie w szkołach zakonnych zrastali

się już z sukienką nowicyuszów, umysł ich zawczasu kierował się ku zaświatowym sprawom nieba i zbawienia i ziemia nikła im z oczów. Często gdy los dotknął tak rodzinę, iż napowrót jednego z poświęconych swych członków odzyskać chciała, trudno było skłonić go, by duchowną suknię na świecką zamienił, a różaniec na szablicę.

W rodzinie Brańskich, których majątności znacznie się w końcu ostatniego wieku zmniejszyły. musiano też uciec się do tego środka — postanowiono na syna starszego przelać całe mienie, a dwóch młodszych i siostrę oddać na posługę Bogu. Księżniczka Teofila wychowaną została u Brygidek, a że starano się o to aby jej klasztor smakował, dobrowolnie oblokła sukienkę zakonną i poświęciła się życiu kontemplacyjnemu. Była w niem szczęśliwą. Jest to mały świętek, do którego tak dobrze jak do innych nawyknąć i zrosnąć się z nim można, zwłaszcza, gdy młodą gałązką latorośl się weń zaszczepli. Tak samo przyszły ks. sufragan ze szkół yprost dostał się do nowicyatu, a że ułomność nie wróżyła mu wielkich na świecie powodzeń, usposobienie zaś miał wrodzone do życia w ciszy i pokoju, poszedł tą drogą bez przymusu i żalu.

Trudniej było coś postanowić ze średnim synem, księciem Hugonem, który do stanu duchownego żadnego powołania nie miał. Ojciec też ks. szambelana, człek baczny i rozważny, obawiał się

by na przypadek śmierci bezdzietnej starszego syna familia na nim nie wygasła. Wybrano więc coś pośredniego; rycerskie usposobienie Hugona kwalifikowało go na kawalera maltańskiego. W razie wypadku od ślubów zakonnych łatwo było otrzymać uwolnienie. Książę wychował się na rycerza, kupiono mu komandoryą, jeździł na Maltę, wojował potroszę wszędzie, a że zrodzonym był na żołnierza, i on sam sobie i jemu drudzy wpoili to przekonanie, że nie powinien się żenić i że do spokojnego życia w stadle małżeńskim nie był wcale stworzony. Został więc książę Hugon bezżennym i rycerzem, dopóki sił stawało. Wmówiono weń także, ażeby się zrzekł majątków ojczystych, przestając na pensyi, na dobrach zahypotekowanój, na co chętnie przystał. Gdzie nie był ks. Hugon, trudno powiedzieć, bił się bowiem z fantazyą paladyna, gdziekolwiek o wojnie pocziwój zasłyszał, szczególniej przeciwko wszystkim niewiernym, uważał to bowiem za obowiązek. Ktokolwiek na Turka szedł, nasz kawaler maltański spieszył mu w pomoc jako ochotnik, dostawał bliźny i kule, ordery, spoczywał nieco, potem na głos trąby zrywał się i szedł znowu. Reumatyzmy nareszcie, podagra dziedziczna, wiek, bo miał już lat siedemdziesiąt, osadziły go w Brańsku. A że dostawał pensye różne przywiązywane do krzyżów i wysłużone w boju, choć go niezawsze dochodziło co mu od rodziny należało, niewiele po-

trzebując, mając chleb i mieszkanie bezpłatne, wcale na swe położenie nie narzekał. Nie można powiedzieć, ażeby ksiązę general odrodził się od swoich, żył w nim ten duch, który w nich mieszkał; wałęsanie się jednak po świecie, czasy i obyczaje, wśród których żyć był zmuszony, wpłynęły na wyrobienie z tego materyału specyficzniej różnej a osobliwej jednostki. Był to ksiązę Brański, ale *sui generis*. Najprzód co do powierzchowności różnił się żołnierską fizyognomią od braci i synowca nawet; bo ten, choć służył wojskowo, mało z munduru wyniósł, a codzień mniej podobny był do wesołego rotmistrza huzarów. Ksiązę szambelan pocichu skarżył się nawet ks. sufraganowi, iż Hugon nabrał manieri zbyt obozowej, że go stajnią często czuć było. Obok téj rubaszności żołnierza, zostało w nim wiele szlachcica i magnata. Nie zapominał nigdy iż był napół zakonnikiem, z bezprzykładną regularnością odprawiał po łacinie oficya swoje, obchodził uroczystosci i posty. W mowie wyrwało mu się czasem coś wcale nie ortodoksyjnego, w życiu, jak powiadano, były wybryki bardzo głośne i śmiałe, ale reguły nie nadwerek i zewnętrzne formy szanował skrupulatnie. Rozweselony, pozwalał sobie żarcików, które istotnie jeśli nie stajnią, to namiotem żołnierskim trąciły — nazajutrz wszakże sam się kajał i wstydział krewkości swojej. Wiek powoli dość żywy temperament stępił i przygasił, błyski dawniejsze stawały

się coraz rzadsze. Kawaler maltański urządził sobie na pierwszym pięttrze wygodną siedzibę i nie pragnął niczego więcej nad to, by w niej mógł dożyć dni swoich. Zapalony niegdyś myśliwiec, teraz łowy coraz bardziej na jutro odkładał... zawsze mu coś do nich przeszkadzało.

Gdy przed laty kilkunastu przybył, by stałe osiedlić się przy bracie, książę generał nie miał najmniejszego wyobrażenia o stanie majątkowym rodziny. Pensya dochodziła go niezawsze bardzo regularnie, lecz koniec końcem coś tam kapnęło i niby prowadzono rachunki zaległości. List szambelana często zastępował pieniądze czułościami i tak się to wlokło. Generał przyjechał ze złudzeniem iż znajdzie tu dawną domu świetność jeszcze zwiększoną, w pierwszych chwilach nawet nie nad to nie widział co chciał zobaczyć; z latami dopiero zaczęły mu się zwolna otwierać oczy. Rzeczywistość groźna zaglądała w nie bezlitośnie. Generał bronił się jój, okłamywał się sam, budował zamki na lodzie, nie mógł przypuścić nawet, by rodzina taka jak ich na upadek, a choćby na zubożenie, narażoną być miała—resztki złudzeń przylgły do jego źrenic, lecz prawda dobywała się też do nich. Nie będąc nadzwyczajnie domyslnym, książę generał miał zdrowy rozsądek. Zaczynał się więc lękać codzien mocniej o przyszłość. Kochał bardzo księcia Roberta, lecz, bądź co bądź, jemu przypisał głównie zachwianie się interesów.

Odgadywał go daleko lepiej, niż cała reszta rodziny.

— Czemu się, u kaduka, *ma foi* nie żeni? miał do siebie, czas przecie żeby tam te niezdrowe amory z niego wywietrzały. Któż na to nie chorował i kto choć raz w życiu nie umierał i nie szalał z miłości? *Cela se conçoit*. Lecz dla zgnitych wspomnień jakiegś tam jękności, całe życie chodzić w żałobie—to niema sensu, zwłaszcza gdy się na ramionach ma całej rodziny nadzieje i przyszłość.

General próbował synowca, lecz ile razy dotknął go, marmurowy chłód i kamienny upór zmuszał go do cofnięcia się i odkładania na jutro. Jutro próba się tak samo nie udawała jak wczoraj. General się niecierpliwił trochę, ale cóż było począć. W pomoc wziąć ani szambelana, ani sufragana nie mógł, bo z niemi obu otwarcie o przeszłości Roberta mówić nawet nie było podobna; księżę Hugon sam nie znał jej dokładnie; coś go tam doszło z boku, niejasnego, pewnie przesadzonego, lecz więcej się domyślał.

Stan też majątkowy Brańskich odgadywał rzadziej, niż miał o nim jakie wyobrażenie. Jako wierzytelowi, zdało mu się niedelikatnością dosłedzać jak tam stały interesa; w ogóle nie lubił rachunków, bał się odkryć gorszych niż sądził. Wszystko to razem odstręczało go od otwarcia puszeki Pandory, lecz mimowolnie znaki rozkładu

i zbliżającej się ruiny były w oczy. Zjawienie się natrętnych wierzcycieli, bieganiny kontraktowe Gozdowskiego, snucie się lichwiarzy, posępne lice ks. Roberta w pewnych porach roku, dotkliwy niedostatek grosza, na który zawsze Żurba radzić musiał, wiele dawały do myślenia.

— Czemu-bo się on nie żeni? powtarzał, *ma foi!* to już nie do zniesienia—ma przecież obowiązki. Lata płyną, dochodzi czterdziestu, wprawdzie wygląda na trzydzieści kilka, ale ludzie o metryce cudzej lepiej niż o swojej pamiętają. Potem żeby chciał, to go żadna nie weźmie i *ma foi*, gdy już zacznie wąsy szwarcować, przepadł.

Szambelana nasadzał na ks. Roberta, a patriarchy archa rodu, sam dochodząc do osiemdziesięciu, znajdował syna bardzo a bardzo młodym i nie chciał go przymuszać.

— Daj mu pokój, generale—mówił — to człek rozumny—potrafi pokierować sobą, przyjdzie pora. Niech po służbie wojskowej wypocznie, niech też trochę swobody zażyje, bo małżeństwo, jak ojcowie mówili, złote jarzmo, ale jarzmo...

Generał ramionami ruszał.

— Jak ty go nie napędzisz, to on tam przy kominku z książką, *ma foi*, zestarzeje, skapconieje. To poczciwa natura, ale bodźca koniecznie potrzebuje.

Toż samo powierzał generał ks. sufraganowi, nakłaniając go także do interwencji — zacny ka-

plan wszakże zasłaniał uszy, strzepywał rękami i cichutenko, jak był zwykł, szeptał bratu:

— To nie moja rzecz, braciszku, to nie moja rzecz, duchowny jestem. Niech Norbert po ojcowsku przemówi, albo wy. Co mnie się mieszać, kochanku, w nie swoje. Proszę cię, daj mi pokój. Pomodłę się, jeśli chcesz na tę intencją.

Odmalowaliśmy dostatecznie w tych kilku słowach usposobienie generała, na którego interwencją zdawał się pan Zenon Żurba rachować: pomoże nam to do wyrozumienia rozmowy ich w tym przedmiocie.

Książę generał stał, jak mówiliśmy, na drugiem piętrze pałacu; obrał on je sam sobie, nie chcąc być nikomu zawadą, ale raz objąwszy, wymówił sobie samowładne panowanie.

— To moje dziedzictwo a raczej dożywocie — rzekł do brata — daruj mi, panie szambelanie, co ci powiem, ja tu chcę być panem i urządzę sobie moje apartamenta wedle fantazyi.

Nikt nic nie miał przeciwko temu, zwłaszcza że książę generał własnym kosztem restaurował i wyporządkował swą rezydencyą. Wyglądała ona trochę fantastycznie, oryginalnie i zaciekawiała ludzi, co właśnie generała bawiło.

Mieszkanie całe składało się z sali bawialnej, saloniku, kancelaryi, sypialni, biblioteki, zbrojowni, gabinetu i pokojów dla służby. Sala pierwsza obita ciemno-zielono, wysłana suknem zielo-

nem, przybrana była w wizerunki mistrzów maltańskiego zakonu, z tarczami, a dwa całkowite rynsztunki stare, z hełmami zapuszczonemi i kopiami w ręku, stały na straży w progu. Wielki stół dębowy rzeźbiony, na krzyżowych nogach, zajmował środek sali. Mniejsza salka, weselsza nieco, ale w stylu równie surowym przybrana, miała na ścianach widoki Malty, a przy ścianie rodzaj rycerskiego ołtarzyka z krucyfiksem i obrazem Matki Boskiej. Na jednej z jej ścian portret w całej postawie, w pełnym mundurze, wystawiał księcia generała, okrytego orderami i insygniami swęj dostojności. Oprócz tych dwóch pokojów, zbrojownia, bardzo ciekawa i bogata, obwieszona była starożytną bronią, zbieraną po całej Europie i smaczkownie ułożoną. W sypialnym pokoju łóżko stało żelazne, okryte skórą niedźwiedzią, w rogu kłęcznik z lichtarzami i krucyfiksem. Na nim leżała trupia głowa, różaniec i bogato oprawny brewiarz kawalerów zakonu. Ciekawą też była biblioteka, z dzieł wojskowych lub wojny opisujących złożona, a w niej modele fortec, karty, atlasy, które książe generał lubił przychodzącym pokazywać i niemi się chwalić. W gabinecie, w którym stała gotowalnia, za szkłem w pudle osobném wystawione były ordery, wstęgi i dystyngtorya różne księcia Hugona, a nazbierał tego niemało i miał w nich szczególne upodobanie. Ludzie mówili nawet, że trochę na nie polował.

Wchodzący Zenon zastał już generała, z fajką naprzeciw gościa kroczącego po zielonym salonie. Podał mu rękę dosyć wesoło.

— Dzień dobry! — Cóżes tak rano się zerwał szturmować do Roberta, he? *ma foi*, daj mu spać! To delikacik, jak nie dośni, zaszkodzi mu, a wczoraj w nocy widziałem u niego światło bardzo długo.

Zenon nie wiedział jak miał rozpocząć rozmowę.

— Przyznam się księciu, rzekł, że trochę interesa, a raczej może niepotrzebnój gorliwości, napędziło mnie podedrzwi księcia Roberta.

— Cóż to tam takiego? sekret?

— Żaden, a gdyby nawet był dla kogo, to przecie nie dla księcia generała. Domowe sprawy.

— Daj ty mnie pokój ze sprawami, jam stary żołnierz i stary pół-mnich, do tego się nie zdałem, *ma foi*.

— Nie sędzę — odczwał się Zenon — mnie się przeciwnie zdaje, że pan generał właśnie masz tu wielkie posłannictwo w tym domu i gdzie nikt nic nie potrafi, ksiązę byś mógł.

— *Ma foi!* czy mi kadzić myślisz? rozśmiał się stary — przestrzegam cię że ja trybularzów nie lubię, tylko w kościele. I zkądże się tobie wzięło palić kadzidła? tyś także na zakrystyana nie stworzony.

— Ale bo to téż pochlebstwo żadne nie jest—
odparł Zenon, książę mnie nie zrozumiałeś.

— Twoja wina, mów wyraźniéj.

— Pozwalasz książę?

— Bardzo proszę, jam żołniérz—*clara pacta*.

— Przykra to rzecz z niedobremi wiadomościami przychodzić, odezwał się Zenon — czasem jednak zmusza do tego obowiązek. Czy książę generał tego nie widzisz, że przy terażniejszych ciężkich czasach, przy zobojętnieniu jakiémś ks. Roberta i dobrodusznosci Gozdowskiego — interesa brańskie coraz bardziéj szwankują? Nikt na to nie radzi. Z dnia na dzień zwleka się kuracya, a choroba sobie rośnie. Książę szambelan widziéć tego nie może, a pan generał może nie chcesz.

Książę Hugon wyprostował się jakoś dumnie.

— Nie chcę? *ma foi!* gdybym nie chciał widziéć, tobym, niestety, musiał — odezwał się kwaśno — tylko, zrozumiéjmy się, ja na to i widząc nie pomogę. Co to do mnie należy? Ja jestem w położeniu wyjątkowém, którego znowu waćpan, panie Zenonie, widziéć nie możesz — jestem wierzytciem, uczucie delikatności, nie dozwala mi nic począć. Hm, *ma foi*, myślisz że ja nie widzę? myślisz że ja z boku i z przełaju nie zachodziłem i szambelana i ks. sufragana, ale to się wszystko na nic nie zdało. Ja zaś sam z niczém wystąpić nie mogę. A z czém i jak mam wystąpić, gdy nie wiem

co robić, bo interesa dla mnie, *c'est du grec*, ja ich nie rozumiem.

Ruszył ramionami książę generał.

— Ty jesteś poczciwy chłopiec, mój panie Zenonie, a no, młody, pali ci się w głowie i sercu; my starzy, nawykleliśmy odkładać potrosze *ad ca-laendas graecas*—a czasem Pan Bóg naszą w Nim ufność odplaca. Nie przeczę że cośby robić należało, ale co? *ma foi*.

— Zdaje mi się — odezwał się Żurba — iż tu niema nic innego do zrobienia, tylko ożenić bogato ks. Roberta, a tymczasem zaprowadzić oszczędność ścisłą, kontrolę, ograniczyć wydatki, może nawet zmniejszyć dwór.

Generał cofnął się kilka kroków.

— Fiu! fiu! fiu! no, no! lecisz coś bardzo prędko i daleko! Ożenić, no tak, ożenić Roberta, ani słowa. Co się tyczy oszczędności, kontroli, ograniczenia w wydatkach, zmniejszenia dworu, śni ci się chyba—to są rzeczy wprost niemożliwe, to niepodobna. Jutroby nas okrzyczano za bankrutów, a jakże ty chcesz ażeby szambelan przy ostatku dni swoich miał cierpieć, widząc taki upadek, gryźć się, czuć upokorzonym? To nie może być to wprost niepodobieństwo, *ma foi!*

Zenon spuścił głowę.

— Ale — rzekł cicho — czyż nie lepiej trochę przykrości, niż... jaka katastrofa, która jak pio-

run księcia szambelana mogłaby o śmierć przyprowadzić?

Generał zbladł usłyszawszy to i chwycił za rękę Zenona, prowadząc go strwożony do drugiego pokoju. Tu obejrzał się bacznie, wyglądając za drzwi i przyparłszy do okna Żurbę, zapytał głosem stłumionym:

— Czy to nie imaginacya twoja? he? Możeż to być żebyśmy byli w takiem położeniu, które zagraża katastrofą? Człowiecze! *ma foi*, to niepodobieństwo. Cóż się tedy z tym ogromnym majątkiem stało?

Na twarzy starego wojskowego trwoga malowała się tak wyrazistemi rysy, iż Zenonowi żal się zrobiło biednego.

— Panie generale—odezwał się jękając—ja nie powiadam żeby coś podobnego miało być blizkiem, niech Bóg uchwata, lecz przy zaniedbaniu, apatyi tej, stracie czasu, w końcu do najopłakańszych następstw przyjść może.

Księżę Hugon odetchnął wolniej.

— Nastraszyłeś-bo mnie, *ma foi*, odczwał się—choć ci tego w imię twój dobrej dla nas woli nie mam za złe. Pan Bóg nie dopuści upaść poczciwej rodzinie, sumienie nasze czyste. Opatrzność zsyła próby, ale dłoń jej przychodzi w pomoc często w ostatniej godzinie. Jakoś to będzie, jakoś to będzie...

Zenon uśmiechnął się smutnie.

— Zkądże ci ten strach tak nagły? zapytał generał.

— Napędził mi go nieco wczoraj mecenas.

— A tak, i jam zaraz czuł, że to nie bez koze-ry być musi—przerwał księżę. — Cóż to, czy co tak bardzo złego?

— Na dziś jeszcze nic, ale któż wie, co to spro-wadzić może. Jakiś spekulant-kapitalista nabywa wierzytelność. Któż go tam wie, jakie ma zamiary?

— Jest na to rada?

— Byłaby jedna: znaleźć sto tysięcy i dług ten zaraz zapłacić.

— Sto tysięcy! wykrzyknął generał—sto tysię-cy! summa sama przez się mało znacząca, ale *ma foi*, zkąd ją tak na razie wziąć?

— Zresztą, przerwał Zenon — panie generale, to nie o te sto tysięcy idzie, ale o to, że zacny nasz, kochany ks. Robert śpi, marzy, odpoczywa i o przy-szłości nie myśli. Sądziłem że gdybyś pan generał energicznie jakoś przemówił...

Księżę podrapał się w głowę, pokręcił węża i szepnął.

— Tak, *ma foi*, ja, energicznie do Roberta... o co? o to żeby sobie chomąt na szyję włożył — dobry jesteś, a! dobry jesteś! Znasz mnie widać do-skonale i Roberta. Generał zaczął się śmiać jakoś śmutnie. *Ma foi*, doskonały jesteś, trafiłeś wybor-nie! Mój panie Zenonie, mam lat prawda sie-demdziesiąt, jednak nie zaschłem na mumią bez

serca. Czyś ty co słyszał o tych tam wojskowych przygodach Roberta? he? pewnie tak samo jak ja. Dorozumiévamy się co tam było. Człek nie odbołał, choć po spartańsku tego lisa na piersi nosi, ale czuć że go jeszcze kąsa. Jakże tu przyjść i powiedzieć mu: poświęć się dla nas, żeby nam bażantów nie zabrakło, idź i oparzoną rękę kładź w ogień znowu. *Ma foi*, nie mam odwagi.

— A któż ją będzie miał? spytał Zenon.

— Tego nie wiem—mówił generał. — Ks. sufragan jój nie ma, ojciec z innych powodów nie chce go zmuszać...

— A zatém rzeczy *in statu quo* zostaną, do...

Zenon nie dokończył, a księżę, któremu fajkę zgasła, poszedł ją spokojnie na swoim miejscu postawić. Zdaje się że bardzo mu było na rękę ukryć zarazem twarz, na której wrażenie doznane ślady bolesne zostawiło. Żurba siadł, czując, że myśl, z którą tu się wybrał była niezręczną, skoro skutku nie przyniosła. Pocóż księcia generała martwił daremnie? Miał to na sumieniu.

Jakiś czas trwało milczenie. Księżę Hugon wciąż jeszcze fajki wedle prawideł nie mógł ustawić, ręka mu się trzęsła.

— Niech ci Bóg płaci, mój panie Zenonie, odezwał się nareszcie, odwracając się z twarzą pochmurzoną, za twoje dla nas serce. Teraz to są takie czasy, że każdy myśli tylko o sobie, w rodzinach nawet spójni niéma, cóż dopiéro między ob-

cymi; więc gdy się na uczucie trafi, trzeba przed niem skłonić głowę, jak przed idącą świętością. Generał westchnął. — Wycie-bo, rzekł napół sam do siebie, całym rodem poczciwi i zacni ludzie, choć każdy po swojemu. Nie dziwię się twemu ojcu, bo to człowiek z tych czasów, gdy szanować a kochać nietylko było wolno, ale nakazano, nie dziwię pannie Antoninie, bo ona się z nami tu zrosła jak dziecię domu; ale w tobie, człowieku nowych pojęć i wychowania, *ma foi*, admiruję szlachetne uczucie tém bardziej, że cię tam uczono pewnie, aby je na gościńcu rzucić, jako niepotrzebny ciężar. Bóg ci zapłać. Ale słuchaj-no, panie Zenonie, gorączka jesteś. Co dziś pomoże mówić z ks. Robertem, kiedy za parę godzin ów mecenas przybędzie dla podpisania aktu?

— Mnie téż nie szło o zapobieżenie temu co nieuchronne, odparł Julian, lecz... lecz przy téj zręczności chciałem choćby groźbą rozbudzić ks. Roberta.

— A no, tak dobrze, tak dobrze, *ma foi*, odpowiedział generał, uderzając go po ramieniu. Budz, budź, ale...

Zamilkł stary; choć żołnierzowi, łza zakręciła się mu w oku. Pochodził po salonie, obejrzał się po zbrojach i wizerunkach... Nagle stanął, wyprostował się, twarz z chmurnej stała się jaśniejszą i poważną, jakby na nią blask rzuciło jakieś widzenie.

— Ale nie — zawołał — nie, to być nie może! My, nasz ród upaść nie może, to byłoby okrutném, to byłoby niesprawiedliwém! Patrzże, mój Zenonie na rodzinę, na to gniazdo nasze, na ducha co nas ożywia; myśmy też na coś świata potrzebni. Mielśmy, mamy posłannictwo ofiary, kapłaństwo enoty i piękna—nie żyliśmy darmo, choć nas zowią próżniakami i darmożjadami. Jeżeliśmy nie pracowali dlonią, pracowaliśmy myślą, sercem, przewodniczyliśmy gdzie trzeba było. My jeszcze przecie coś do dziś dnia reprezentujemy, czego oprócz nas nikt nie potrafi; w naszych dłoniach arka tradycyi.

Generał zapalał się, powtarzając co słyszał, czytał i w co wierzył najmocniej. Zenon słuchał z wyrozumiałością, z pewnym współczuciem, lecz nie zdawał się przekonany, choć sprzeciwiać się nie widział potrzeby.

— Wszystko to prawda—zakończył wstając— a jednak, chcąc się na tém stanowisku utrzymać, potrzeba pracować. Gdy szeregi do boju idą, kto padł na ziemię, tego stratuują konie.

Książę Hugon spojrział nań bystro.

— Pracowaliśmy dopóki było można i sił stało, rzekł powoli, stare niedobitki szanują wszędzie. Co się tyczy Roberta, a no, niech Bóg szczęści! Lecz aby na niego podziałać, trzeba i wiele czasu i niemało umiejętności. Eh—dodał w końcu — ja wierzę w Opatrzność! to lepsze od wszystkich na-

szych rozmów i rachuby, *ma foi*. My zginąć nie możemy!..

Po tych wyrazach, najlepiej malujących wiekustą wrotkę, do której w Brańsku wszyscy byli nawykli, Zenon nie miał już co mówić. Spojrzał oknem: w pokojach ks. Roberta okiennice były otwarte, skłonił się generałowi i wyszedł.

O mil dziesięć od Nowego Brańska znajdowała się w małym miasteczku, które życie czerpało z przerzynającej je drogi handlowej, rezydencya ks. sufragana, w której on od lat już wielu zamieszkiwał. Wprawdzie miała nadzieję rodzina, że z tej skromnej tymczasowej, na wyższą dostojność kościelną posuniętym będzie przy pierwszym wakansie, lecz dotąd tak się wszystko nieszczęśliwie składało, iż ks. sufragan został zawiedzionym. Dla niego było to obojętnem, gdyż nie potrzebował niczego więcej nad ciszę i atmosferę pokoju, która go otaczała, ale dla księżąt było to ważnem, bo sufragan, obfitsze mając środki, większą im mógłby być pomocą. W istocie całe jego życie było nieustanną troską o rodzinę, której wszystko poświęcał. Żył, można było powiedzieć, nią i dla i dla niej tylko. Człowiek cichy, skromny, dobry, wiedział może lepiej niż wszyscy w jak groźnem

położeniu zostawali, czynił co mógł, aby ich z niego podźwignąć, zawsze jednak napróżno. Obowiązki kapłana i biskupa, potem brata i opiekuna, zajmowały go wyłącznie. Trosk nie brakło, a one go tak, choć niestarego jeszcze, złamały i przygniotły, że zdrowie postradał i z trzech braci najmłodszy, prawie się najstarszym wydawał.

Szambelan, zdawszy interesa na syna, zwierzchność nad rodziną abdykował w ręce ks. biskupa, bo choć generała kochał bardzo, nie znajdował go zdolnym do pokierowania sprawami domu. W ważniejszych opierało się wszystko o ks. sufragana, zasięgano jego rady, żądano protekcyi, kazano mu pisać listy, często nawet odbywać podróże. Poczciwy i gorliwy kapłan nie odmówił nigdy, a choć często z wielką ofiarą, spełniał co żądano, gryząc się jeśli niepowodzenie go spotkało. Naówczas w łzawej modlitwie szukał u ołtarza pociechy. Dusza to była czysta i mimo wieku młodzieńcza uczuciem a poświęceniem.

W rezydencyi swój ks. biskup miał dom bardzo skromny, reprezentował jako naczelnik duchowienstwa w pewnych razach stan swój i zmuszony był do okazalszego napozór życia, lecz w istocie żałował sobie, ujmował, skąpił, ograniczał się, ażeby mógł rodzinie dopomagać. Szambelan, który niejasne miał pojęcie o położeniu brata, uciekał się doń często, czasem bardzo natarczywie, tak że ks. biskup nietylko co miał oddawał, ale nawet

długi zaciągał, żeby rodzinie nie odmówić. Życie też jego było nie tylko skromne, lecz można powiedzieć ubogie.

Ci co go nie znali, okrzyczeli go za skąpca i chciwego. Opowiadano o jakichś niezmiernych kapitałach, które po piwnicach gromadził. Zaciągane nawet długi, zdaniem wielu, były tylko pokrywką, dla pozornego okazania się ubogim.

Dom przeznaczony dla ks. sufragana stał nieopodal od kolegiaty i zdaleka mógł się wydawać bardzo okazałym, choć w istocie była to skłębione po pożarze z resztek starych murów kamieniczka, niewygodna, zimna i niesmaczna. Na dole jej mieszkał kapelan i dwóch wikaryuszów, mieściła się kancelarya; pierwsze piętro, dosyć obszerne, zajmował ks. biskup. A że okoliczni obywatele w pewne uroczystości zgromadzali się tu, niekiedy nawet bardzo licznie, i zwyczaj kazał ich przyjmować—że się i duchowieństwo niekiedy zjeżdżało, kilka sal było nieuchronnie potrzebnych.

Umeblowanie ich pochodziło jeszcze ze starego domu, ocalone od pożaru, w biało wytynkowanych apartamentach dziwacznie się wydając. Krzesła, niegdyś złocone i aksamitami pokryte, stoły z poobijaną pozłotą i lakierem, obrazy ogromne, zczerniałe, gdzieniegdzie krucyfiks lub relikwiarz, rzeźby drewniane i niezgrabne, szafy czarne, roboty jakiegoś domorosłego artysty, jako tako ubierały puste i chłodne komnaty ks. biskupa. O wy-

godzie nikt tu nie pomyślał, tém mniej o wdzięku. Służba też sufragana, ze starych ludzi, w większej części z Brańska pobranych, złożona, miała wprawdzie liberye, galony i wszystko co mieć była powinna, ale w stanie najopłakańszym. Tak samo wyglądała stara karéta i ogromne, chude, wypracowane konie, na które wkładano wyzlacane chomaćta, aby sterczące pokryć kości.

Biskup przyjmował u siebie tylko gdy do tego był zmuszonym, żył zresztą zamknięty i pewnie mniej wygodnie, niż niejeden z wiejskich proboszczów. Narzekano powszechnie na jego kwaśne wino, chleb zgorzkniały i stół niesmaczny, przypisując skąpstwu to opuszczenie się i zaniedbanie. Gdy nikogo nie miał oprócz kapelana, ks. sufragan jadł co mu dano, a że ściśle postów pilnował i pół roku nietylko mięsa ale i masła na stole nie było, tylko zielony olej, którego zapachem przeszła sala jadalna, chorował potem i dyetą a klejkiem się leczył. Życie to było anachorety, a praca jakiejby nie każdy podolał: siła ducha go trzymała. Więcej w kościele niż w domu, na zimnie, w podróży po parafiach, na różnych celebrach w okolicy, ks. sufragan nie miał nigdy czasu odechnąć, chyba gdy na parę dni do Brańska pojechał.

Niezmiernie uprzejmy, greczny, nad potrzebę może pokorny i bojaźliwy, przy obejściu się nacechowanem najwyszukańszą delikatnością ks. bi-

skup był milczący, smutny i można powiedzieć niedostępny dla tych co z nim żyli. Człowieka w nim znała tylko rodzina, dla reszty był zawsze biskupem i pasterzem.

Zato obowiązki duchownego trudno żeby kto mógł spełniać gorliwiej. Trafiło się nieraz około Wielkiej nocy, gdy do spowiedzi było wielu, w czasie odpustów, że z konfesjonału ledwie mógł wynijsć o swój mocy. Słabł czasem w zakrystyi, że go trzeźwiono i gwałtem do domu odprowadzano. Częstokroć, jeśli wikaryuszów i kapelana nie było, a w nocy zażądano do chorego kapłana, biegł sam po ślocie i błocie do miasteczka... ani go powstrzymać było można. Odchorował czasem tę gorliwość, lecz na przyszłość ostrożniejszym nie był. Doktor mieszkający w miasteczku napróżno wymagał większego na siebie baczenia. Biskup mu pocichutku zawsze odpowiadał: — A waćpan to szanujesz się gdy do chorego powołują? Choćby i głowę nałożyć przyszło, czyż to nie obowiązek? Najpiękniejsza śmierć żołnierza, gdy w boju padnie. Myśmy też Chrystusowi żołnierze.

Rzadko jednak tak długo się ks. biskup tłumaczył, nie lubił bowiem mówić i wymowy też nie miał. Wielka nieśmiałość niedozwalała mu nawet wstępować na kazalnicę, a w towarzystwie odzywał się pocichu, niewiele słowy, prędko, ażeby się co rychléj zbyć niemiłego obowiązku.

Łatwo się domyśleć, że człowieka jak ks. sufra-

gan niewielu ocenić umiało; kochali go i szanowali bliżsi, lecz ogół widział w nim pospolitego człowieka i upierał się sądzić go jako nieznośnego skąpca. Mało też miał stosunków z obywatelstwem i niewiele czasu dla poufalszego z ludźmi obcowania. Niższe duchowieństwo czuło w nim ojca i pasterza, przywiązane doń było i prostotę obyczajów jego cenić umiało, — wyżsi dostojnicy stronili od niego i okazywali mu zimną tylko grzeczność. Ks. biskup mało się jednak o to troszczył i po za koło obowiązkami zakręślane nie wychodził.

Mieścina będąca rezydencją księcia, uboga dosyć i niepokazna, izraelitami po większej części zaludniona, smutnym była pobytom; ściągając do niej tylko obraz cudowny w kolegiacie, odpusty i nabożeństwa. W dni te tłumy się zbierały na kilkadziesiąt mil w około i biskup ledwie swym obowiązkom mógł wydołać.

Właśnie w przededniu jednej z tych uroczystości, gdy na sufraganii i około kolegiaty co żyło zajęte było przystrajaniem kościoła i przygotowaniami do święta, a ks. biskup z wikaryuszami i kapelanem umawiali się o program celebry, kazania i konfesyonały — na drodze od miasteczka wiodącej, nagiętej i zwykle pustej, dostrzegł ks. Abłamski, kapelan biskupa, idącego ku domowi a rozglądającego się w około otyłego, barczystego, niemłodego mężczyznę, który zdawał się jako obcy rozpatrywać i szukać czegoś. Zaczepił nawet przecho-

dzącego z obrusami zakrystyana, który mu drzwi sufraganii pokazał.

— Otóż ani chybi gość nie w porę — odezwał się ks. Ablamski— a tu tyle do czynienia! Jakiś znać obywatel zdaleka.

Biskup wyjrzał, gruby ów jegomość stał jeszcze, patrząc w około.

— Nie wiem kto to taki, nieznajomy mi.

Zaczęto tém pilniiej umawiać się o summę jutrzejszą, o kolój mszy i kazania, gdy z przedpokoju nadszedł stary Grzegorz, kamerdyner ks. biskupa, siwy jak gołąb i przygarbiony, pytając czy jego ekscelencya zechce przyjąć pana hrabiego Mościńskiego.

Ks. sufragan podszedł ku niemu, pytając: kto? kto? powtórzył parę razy nazwisko i trochę mu się twarz rozpromieniła.

— A! a! wiem, prosić! zawołał—prosić! to nasz stary przyjaciel i koligat, tylkośmy się lat ze dwadzieścia z nim nie widzieli. Księżę kapelanie, ułóżcie tam resztę, a mnie nie oszczędzajcie, bardzo proszę.

Domawiał tych słów, gdy hrabia Mościński się wtoczył, powoli ociierając pot z czoła. Poważna to była postać, szczególnieij dobrą tuszą i rumianą, ogorzałą twarzą, z której patrzyło zadowolenie z siebie i ta pewność, jaką daje trzos dobrze nabitę. Poznać w nim było łatwo jeśli nie magnata, to wielce zamożnego człowieka, który wszędzie pe-

wym był dobrego przyjęcia. Rysy twarzy nie były zbyt dystyngowane, dosyć nawet pospolite, lecz z oczu biła roztropność. Szerokie usta z mięsnymi wargami, pełne policzki, nos orli, podbródek zawieszisty, składały fizyognomią nie powabną, lecz dość sympatyczną. Strój staranny okazywał człowieka nawykłego do obracania się w towarzystwie, które doń przywiązuje pewną wagę; przytém pierścieni, łańcuchów, pieczętek i szpilek, bogactych było aż do zbytku.

Pan hrabia Mościński skłonił się nisko ekscelencyi w progu, rozśmiał wesolo i podbiegł chwytając rękę, którą zaczął całować z zapałem i uczuciem nieklamaniem.

— Wszakżeś mnie ks. biskup poznał? nie? zawołał— jakież to dla mnie szczęście, iż go oglądać mogę! Istny wypadek, bo, jak Bóg miły, nie wiedziałem nawet gdzie ks. biskup rezyduje. Jadącemu do Warszawy przypadł mi tu nocleg, bo jadę z familią, a córka mi trochę zasłabla; gospody porządnej ledwiem mógł dopytać, wszystko zajęte na jutrzejszy odpust. Ale to szczęście, bom chodząc dowiedział się o ks. biskupie, i ot, nogi jego całuje! nogi całuje!

To mówiąc, śmiał się uradowany, a biskup téż sciskał go, cichutko coś szepcząc.

— Bardzom rad że pana hrabiego w dobrém zdrowiu oglądam. Od czasu jakęście nasze strony opuścili, ani słychu o was nie było.

— Bo to, księżę biskupie dobrodzieju — zawołał przybyły g'osem ogromnym, rozchodzącym się dziwnie po pustem mieszkaniu — człowiek musiał pracować. Kupiłem znaczne dobra na Podolu, z długami, z małym groszem i w pocie czoła, w krwawym pocie, musiałem oczyszczać, dorabiać się. Byliśmy, jak wasza ekscelencya może sobie przypominasz, w nieciekawych interesach, po ojcu mi zostały zawikłane, ale Pan Bóg pobłogosławił i teraz mojej jedynaczce zostawię parę milioników conajmniej.

Zatarł ręce hrabia, wypowiedawszy się tak na poczekaniu niemal z całego życia.

— To tylko nieszczęście, że mi Pan Bóg syna odmówił—westchnął hrabia—jedna córka. Prawda że się nią pochlubić mogę i zem ją wychowałem jak królewskie dziecko, to mi wszyscy przyznają, i do stroju i do łoju, ale imieniowi naszemu koniec, chybaży mąż je do swojego przypiął.

To powiedziawszy, hrabia z czułością wielką jął znowu ścisnąć biskupa i wpatrywać się w niego, badając twarz tę dziwnie dlań wiekiem zmienioną. Na hrabi Mościńskim lata ten tylko ślad zostawiły, że szczupłego i drobnego chłopaka rozpasły, rozszerzyły, utoczyły do niepoznania; biskup przeciwnie skurczył się, zesechł i zdrobnił.

— A cóż się w Brańsku dzieje? o mój Boże! począł zaraz hrabia — czy wszyscy żywi i zdrowi? Przecież to my starzy słudzy księżąt.

— I koligaci, dorzucił biskup, któremu, choć świętobliwemu kapłanowi, ta milionowa jedynaczka zdawała się już przez Opatrzność zesłaną.

— Wielki to zaszczyt dla nas, którym się zawsze chlubimy, dodał hrabia. Jakże się ma księżę szambelan, pan general? Czy ks. Robert zawsze w wojsku? A księżniczka Stella wyszła zamąż? pewnie.

Biskup się zmieszał i oczy spuścił.

— Bardzo hrabiemu za pamięć dziękuję, szepnął—bratową świętą niewiastę straciliśmy. Szambelan postarzał, ale się trzyma, general żyje i zdrów. Robert dawno już do domu powrócił!

Hrabia w ręce uderzył.

— Jakżebym to ja rad wszystkich zobaczyć! tylko trudno, trudno — córka mi w drodze zasłabła, a i tak nie była bardzo zdrowa; muszę do Warszawy pośpieszać.

Biskupowi te dwa miliony ciągle się snuły po głowie.

— Czy nie lepiejby, panie hrabio, dać tu córce spocząć, mamy też bardzo dobrego lekarza. Jutro u nas odpust, pomodlilibyście się, a z Brańska spodziewam się jeśli nie wszystkich, bo szambelanowi ruszyć trudno, to przynajmniej kilku osób.

Spojrzał bojaźliwie na hrabiego, który się wciąż uśmiechał.

— Muszę się przyznać w. ekscelencyi — rzekł głos zniżając — że moja jedynaczka, moja Alfon-

synka, jedyne oko w głowie, zawojowała starego ojca; ona podróżą kieruje, ja jój służka, od niój zależy stać, jechać, spoczywać, a że jeszcze niebardzo zdrowa, więc już ani głosu podnieść nie śmiem. A! gdyby się Alfonsynka tylko zgodziła, jakżeby mi było miło służyć w. ekscelencyi i dzienek tu jaki spędzić i pomodlić się, i poweselić, i stare dzieje przypomnieć.

— To namówcie córkę, dla zdrowia! dla zdrowia! dodał biskup, ściskając rękę hrabiego.

— Będę próbował, odpowiedział hrabia.

W tej chwili trzech dziekanów weszło razem i biskup pośpieszył na ich przyjęcie, hrabia zamilkł i uczuł potrzebę wycofania się.

— Czegóż tak śpieszycie? spytał ks. sufragan.

— Bom tu wpadł istotnie jak Piłat w crédo, rozśmiał się hrabia—nie chcę być zawałą.

— W każdym razie do zobaczenia, nieprawdaż? dodał biskup.

— Nie wyjadę, żebym rączek waszych nie ucałował, zawołał hrabia.

Nadciągające duchowienstwo zmusiło Podolaka do odwrotu.

Wielki odpust w małym miasteczku dla mieszkańców jest bardzo miłą uroczystością, lecz dla przejeżdżającego, który nań trafi wypadkiem, potrzebując wypoczynku, niespodzianką dosyć niewygodną. Dla licznego dworu, dla nawykłych do domowego komfortu, trudno tu było znaleźć wła-

ściwe pomieszczenie. To też ekwipaże hrabiego, karéta córki, kocz pana, bryka panien służących i kuchnia stały długo w pośrodku rynku, skupiając koło siebie gawieź ciekawą, nim kamerdynerowi udało się, powyrzucawszy różną drobną ludność i gospodarzy, urządzić nocleg znosny dla hrabianki Alfonsyny. Ojciec mógł się i najmniejszą ciupką zadowolić, jedynaczce trzeba było najmniej dwóch pokoi, a dwór i służba były także wymagające.

Izraelita, spodziewający się zarobku, zgodził się wreszcie na ustąpienie tylu izb ile było potrzeba, dał słowo że do zajazdu nikogo więcej nie wpaści, i ekwipaże hrabiego mogły w końcu wtoczyć się do domu wykadzonego i umiecionego naprędce. Chwilę jeszcze trwało przybranie głównego pokoju przeznaczonego dla panny Alfonsyny, potem ona, Miss Burglife i panna Zwolska zajęły go, z widocznym jednak niezadowoleniem. Zdaniem zgodnym wszystkich pań czuć było stęchłą zapach. Hrabia i kamerdyner zaręczyli, iż nie mieli wyboru; zaczęto kadzić i okna otwierać, zasłano dywanik przed kanapą i jedynaczka zajęła na niej miejsce. W tejże chwili, szanując jej spoczynek, wszyscy, oprócz miss Burglife, na palcach wynieśli się do izby sąsiedniej. Hrabia dostał małą ciupkę, mocno podejrzaną o to że mogła być składem cebuli, którą tu silnie czuć było, i po chwili wyszedł na miasteczko, z kąd się dostał do sufraganii.

Panna Alfonsyna dwudziestoletnia córka hrabiego, która spoczęła na kanapie naprzeciw okna wychodzącego ku rynkowi i z pewnym politowaniem przypatrywała się pospólstwu kręcącemu się po nim, była w istocie osobą słabowitą; szczupłą, chuda, mizerna, wydawała się o wiele starszą od swój metryki.

Dość słusznego wzrostu, brunetka, z oczyma czarnemi, nie była ani piękną, ani brzydką, co gorzej, mając lat ledwie dwadzieścia, nie wydawała się młodą. Znużenie malowało się na jej twarzyczce przedłużonej, pozołkłej, z wyrazem dosyć dumnym i pogardliwym. Uśmiech był na niej rzadkim bardzo gościem. Pomimo podróży, panna Alfonsyna ubrana była z jakims niesmacznym wykwintem i okryta mnóstwem klejnocików i błyskotek.

Znać w nich było najpięrszych mistrzów Europy, każda rzecz pojedynczo wzięta mogła być śliczną, ale nagromadzenie ich było prawie śmieśzne. Tak samo strój, od najlepszych modniarek odeskich, i ułożony był i dobrany bez smaku. P. Alfonsyna widocznie potrzebowała nawet w drodze okazywać, że jest milionową dziedziczką. Mnóstwo pudełeczek, skrzyneczek, woreczków, flakonów, poduszeczek, płaszczyków, szkatulek i torb zaczęto znosić i zarzucono niemi wszystkie stoły i krzesła. Służba niespokojna krzątała się i biegła, gdyż panna Zwolska rozgłosiła, że hrabianka

czuła się zmęczoną i chorą. Chodzono na palcach i szeptano pocichu. Hrabia, widząc się chwilowo niepotrzebnym, wymknął się właśnie dla oglądu miejscowości. Miano herbatę podawać, gdy rozpromieniony powrócił.

— Alfoniu! kochanie moje—zawołał od progu, wystaw sobie...

— Niech pan hrabia mówi ciszej, panienkę głowa boli, przestrzegła Miss Burglife.

Hrabia natychmiast głos zniżył.

— Wystaw sobie na kogo ja tu trafilem! Wszak tu rezyduje ks. sufragan, z książąt Brańskich, najmłodszy brat szambelana Norberta, mój... nasz krewny, a dobry rodziny naszej przyjaciel. Nie mogłem się wstrzymać i pobiegłem do niego: poplakaliśmy się jak bobry. Stary prosi abyśmy się jaki dzień zatrzymali w miasteczku; jutro tu odpust wielki i nabożeństwo, a podobno ktoś i z Brańska przyjedzie. Jabym ich tak widzieć pragnął!

Miss Burglife ruszyła ramionami, a panna Alfonsyna spojrzała na ojca z widocznym niezadowolaniem.

— Pan hrabia nie widzi chyba, odezwała się Angielka połamanym językiem — jak my tu stoimy. Przenocować z biędzy będzie można, chociaż się lękam ażeby hrabiance ta stęchlizna nie szkodziła na piersi, dłuższy zaś pobyt...

— Co za szkoda! westchnął hrabia. Ci Brańscy, książęta, to taka godna i miła rodzina, tak-

bym pragnął z nimi odnowić znajomość! Biskup mnie przyjął jak brata.

To mówiąc, ojciec przysunął się do Alfonsyny i tak by miss Burglife nie słyszała, rzucił jej pocałunek:

— Książę Robert, który dawniej służył w wojsku, jest jednym z najpiękniejszych młodzieńców, za którym szaleje większe towarzystwo, a nie żonaty, nie żonaty!

To mówiąc, chrząknął głośno. Alfonsyna spojrzała na ojca groźno. Hrabia oniesmielony odstąpił i poszedł do okna. Litując się nad niestosownością postępowania ojcowskiego, miss Burglife ruszyła ramionami. Podano herbatę.

Gdy się to działo w gospodzie, a ks. sufragan z niespokojnym razem i wdzięcznym Bogu sercem szedł odprawiać uroczyste w kolegiacie nieszpory, zwykły kontyngens pobożnych, który zawsze na wielkie święta zwykł był przyjeżdżać z Brańska, zjawił się nareszcie. Koczyk czterokonny wioził księcia generała, a bryka idąca za nim pana Wincentowicza, Burskiego (z legią honorową) i ks. Serafina. Było też we zwyczaju, iż z Brańska pożyczano na te dni ks. sufraganowi wszystkiego czego mu brakło: srebra stolowego, bielizny,

szkła, przywożono rybę, drób, masło i inne potrzeby kuchenne. I tym razem nic nie chybiło; bryka była pełna, a jechał na nią kredencierz Jacek. Księżniczka Stella przysłała prócz tego galarety, konfitury i soki. O jutrzejszy więc obiad, który kucharz z Brańska także miał gotować, mógł ks. sufragan być spokojnym. W progu domu wychodzącego przywitał generał pocałowaniem ręki.

— Jak się masz? Nie mam czasu, bo na nieszpery dzwonią — odezwał się biskup pośpiesznie, cichym głosem — to ci tylko powiem w dwóch słowach; w miasteczku wypadkiem nocuje hrabia Mosciński, ten który się to był wyniósł na Podole. Jedź z córką, *jedynaczką*, do Warszawy. Córka jak mi sam oświadczył, będzie miała parę milionów posagu. Powinieneś mnie zrozumieć; hrabia, jako powinowaty nasz, bardzo był ze mną czułym. Niech cię Bóg błogosławi!

To wymówiwszy pośpiesznie, ks. sufragan przywołał kapelana Ablamskiego, aby mu rękę podał i nie odwracając się już, drobnymi kroczkami pobiegł ku kolegiacie.

Generał stanął, uderzony tą wiadomością, w progu i na chwilę pozostał jak wryty. Potrzebował zebrać myśli. Oczywiście coś tu było do zrobienia, należało uczynić krok stanowczy, ale jak? Zbyt się narzucać nie wypadało, zaniedbać nie godziło. Generał spojrzął na swe ubranie podróżne, strzepnął pył, podumał, zadysponował tylko ludziom

dokąd rzeczy znieść mieli i, jak stał, poszedł zaraz na miasto.

— Nie trzeba okoliczności zaniedbywać, rzekł. Dwumilionowa dziedziczka! jakby ją tu umyślnie w porę Opatrzność zesłała. Pójdę do Mościńskiego się przypomnieć—zobaczymy!! Gdyby Robert mnie był posłuchał i przejechał się ze mną na odpust... ale nie, nie chciało mu się, ziewnął i wołał w domu pozostać.

Zszedłszy z grobelki wiodącej do miasta, u pierwszego Żydka dopytał się łatwo generał, dokąd one państwo podrózne zajechało; znał doskonale zajazdy, poszedł więc bez wahania. W bramie gospody stał kamerdyner hrabiego. Kazał się zameldować. Słysząc było wielki ruch w poblizkiej komnacie, drzwi się otworzyły i hrabia wzruszony, rozradowany, z roztwartemi rękami wybiegł, by wprowadzić pana generała. Tymczasem miss Burglife i panna Zwolska poprawiały ubranie na panie Alfonsynie i na sobie, uprzątały tłomoczki podrózne... biegaly, aby izbę jak najprzyzwoitszą uczynić na przyjęcie gościa.

— Cóż to za szczęście—począł książę generał, rzucając się w objęcia hrabiego—tylko co się dowiedziałem od brata, lecę co prędzej aby was złapać! Przedstaw-że mnie córce.

Panna Alfonsyna stała przed kanapą z dość wymuszoną postawą, z twarzą pochmurną, oczekując na zapowiedzianego księcia, lecz że słyszała

o służbie wojskowej Roberta, a tu ją uderzył tytuł generalski przybyłego, była najpewniejszą, że zobaczy przed sobą młodego człowieka. General, ów zachwalony przez ojca ulubieniec wielkiego świata (o kawalerze maltańskim zapomniała), wydał się jej dziwnie starym. Zdumienie odmalowało się na jej twarzy, lecz ojciec zaprezentował księcia dobitnie i rozproszył wątpliwości. Księżę przywdział najwykwintniejszy swój uśmiech i przypomniał sobie dawne salony paryzkie, usiłując przybrać ton im właściwy.

— Przepraszam państwa najmocniej za tę napaść w chwili, gdy spoczynku potrzebujecie—zawołał siadając na podaném krześle; dowiedziałem się od brata mego ks. sufragana o bytności państwa i chciałem mieć to szczęście powitać kochanego kuzyna, złapać go choć w przejeździe. Bardzo szczęśliwy że mi się to udało. Ale pani zmęczona drogą!

— Alfonia moja niezdrowa—tak delikatna biedaczka, nerwowa, a tu drogę mieliśmy do przebycia piekielną.

— Na to doskonałą miałbym radę. Niewielebyście państwo zboczyli z drogi, zajeżdżając do Brańska, tam byłby wypoczynek wygodny, a moja bratanka księżniczka Stella miałaby prawdziwą przyjemność poznania kuzynki i troskliwego jej pielęgnowania.

Ojciec spojrział ku córce błagająco prawie—nie-

zmiernie mu się chciało zawieźć ją do Brańska, lecz sam ani się mógł odważyć zaproponować, czekał wskazówki od najukochańszego dziecka. Miss Burglife oczy miała spuszczone na końce rękawiczek, któremi się bawiła, panna Alfonsyna milczała długo. Naostatek głos suchy, chłodny, wymuszony dobył się z ust jedynaczki:

— Tylebyśmy księztwu zrobili subiekcyi...

Był to znak bardzo dobry.

— Hrabianko dobrodziejko, przerwał generał, subiekcyi najmniejszej; pałac w Brańsku może państwu bez uszczerbku dla swych mieszkańców ofiarować dziesięć pokojów na cały rok. Jesteśmy urzędzeni na wsi tak, że nam choćby kilkanaście osób przybyłych żadnej nie czyni różnicy. *Ma foi!* księżniczka Stella miałyby towarzystwo, Brańsk by się ożywił, a pani mogłabyś po nużającej podróży wypocząć. Jestem natarczywy— dodał generał, ale mam do tego pewne prawo będąc krewnym.

Hrabia, który znał dobrze córkę, łatwo dostrzegł iż odwiedziny u księztwa wcale jej wstrętliwe nie były, drożyła się tylko jeszcze; ojciec więc mógł śmiało teraz użyć swęj powagi, wiedząc że mu ani córka ani miss Burglife wyrzucac nie będą nieprzyzwoitego znalezienia się.

— Mości księżę— odezwał się — pokusa to dla nas wielka, ale obawa zarazem nadużycia ich łaskawych względów... Musiemy się namysleć do jutra. Bardzobyśmy radzi korzystać z jedynęj może

sposobności zbliżenia się i poznania tak czcignego domu.

Generał wstał pocziwego hrabiego uściskać i pocałował w rękę wysznurowaną Alfonsynę, — czuł że wygrał sprawę i był bardzo szczęśliwy. Zaczęła się rozmowa urywana, wesola, w którą kiedy niekiedy sztywne słówko wrzuciła hrabianka, a że księżę generał jakimś instynktem grzecznym był bardzo i dla miss Burglife, jakby przeczuwając wpływ jej przeważny w rodzinie, udało mu się pozyskać sobie wszystkich. Blask księżęcego imienia, mile obejście generała, humor jego żołnierski, który z rubasznem nieco usposobieniem hrabiego się zgadzał, wszystko to razem przyczyniło się do wyjścia zwycięzkiego z próby, do której największą przywiązywał wagę. Nie był wprawdzie na niesporach z tego powodu, gdyż się zbyt długo zabawił w gospodzie, ale i Pan Bóg, i ks. sufragan musieli mu to przebaczyć, poświęcił się bowiem dla dobra rodziny.

Gdy w końcu dobiwszy targu i uzyskawszy słowo hrabiego i hrabianki, że przez jutro spocząwszy w miasteczku, pojutrze udadzą się z nim razem do Brańska — wyszedł tryumfujący z gospody, dążąc conajprędzej na sufraganią — można go było sądzić o lat dziesięć odmlodzionym, tak rażno kroczył i wysoko niósł głowę. Nie uległo już wątpliwości dla niego, iż Robert potrafi się podobać, że

Alfonsyna zostanie podbitą i że miliony pocziwego hrabiego uratują dom książęcy od upadku.

Ażeby to wszystko przyprowadzić do skutku, książę generał wiedział dobrze iż potrzeba było olśnić, wystąpić pańsko, pokazać się w jak najlepszym świetle, a nie dopuścić ażeby hrabia zasięgał nazbyt szczegółowych wiadomości z boku o stanie majątkowym Brańskich. Należało natychmiast uprzedzić brata i synowca, aby ich te odwiedziny niby niespodziewane, nie pochwyliły wszakże nieprzygotowanymi.

Dobiegłszy do sufraganii, generał zastał już brata odpoczywającego po nieszpórach. W sali zebrane było liczne duchowieństwo, które ks. Ablamski w zastępstwie zmęczonego biskupa przyjmował. Książę przeslizgnął się tylko przez nią i pośpieszył do brata promieniejący.

— Księżę biskupie dobrodzieju! zawołał — każ mi dać pióro i kałamarz, muszę natychmiast pisać do Roberta do Brańska. Udało mi się uprosić hrabiego i hrabiankę.

— Mój drogi, jakże ta jedynaczka wygląda? spytał niespokojnie sufragan. Czy nie ułomna?

Generał chwilę się namyślał.

— Ułomną nie jest, szepnął, ale *ma foi*, bardzo powabną także nie. No! dziedziczka dwóch milionów nie potrzebuje wdzięków. Znać tylko, że trochę rozpieszczona. Ma przy sobie jakąś Angielkę,

która tam, jak się zdaje, *fait la pluie et le beau temps*. Tém lepiej, osoby tego rodzaju zyskują się zwykle grzecnością i podarunkami. Ojciec ma się za najszczęśliwszego że do Brańska jedzie. Niepodobna wszakże by nas schwycili tak *à l'improviste*, trzeba Roberta uprzedzić. A! gdyby on tylko chciał mieć rozum!

— Pomodlimy się na tę intencją — z głęboką wiarą odezwał się biskup; tu widocznie jest ręka Opatrzności. *In te speravi, Domine, non confundar in aeternum*. Wszystko to nosi cechę nadzwyczajności, widoczna łaska Boża nad domem naszym.

— Ja to widzę, powtórzył generał — ja w to wierzę, ale zarazem muszę uczynić co po ludzku należy zrobić, aby dobry skutek zapewnić. Na całą noc wysyłam posłańca do Brańska, niech się trochę przygotują.

Ks. sufragan sam poszedł szukać pióra i kałamarza, zadzwonił o świecę, pasadził księcia generała i wyslizgnął się do duchowieństwa, aby mu nie przeszkadzać. Książę Hugon siadł i następujący list wystylizował do ks. Roberta:

„*Cher Prince!* — Nadzwyczajny a bardzo szczęśliwy, zdaniem ks. sufragana i mojem, skład okoliczności zmusza mnie zamącić błogi twój spokój zawiadomieniem, iż pojutrze we środę przywiozę gości do Brańska. Goście to pożądan, których powinniśmy przyjąć *avec toute la cordialité possible*,

avec une hospitalité princière. Zrozumieśz mnie gdy ci powiem że wiozę złapanych na drodze hrabiego Mościńskiego, *un bonhomme deux fois millionnaire*, kuzynka naszego, a ojca córki jedynaczki. *C'est tout dire!* Mój drogi Robercie, w tobie nadzieja że tę dziedziczkę pięknego mienia i dobrego imienia potrafisz zachęcić, aby na dłuższy pobyt wróciła do Brańska. *Je vous conjure, et somme au besoin*, abys list mój szambelanowi przeczytał. Czekaście na nas pojutrze, a jeśli można (nie rozumiem w takim razie nieprawdopodobieństwa) rozstawcie konie, tak żeby w karczmach zabielskich było najmniej piętnaście pod ekwipaże hrabiego. Konie muszą być jaknajlepsze, uprząże i służba, którejbyśmy się niewstydzili. Dla hrabiego i hrabianki apartament gościnny na dole niech panna Antonina wyświeży i uczyni jaknajbardziej eleganckim. Panna lubi błyskotki i wytworność, jest delikatna, potrzebuję wygod. W jej towarzystwie jedzie nauczycielka, ulubiona ojcu i córce, od której wiele bardzo zależy. Dla niej pokój jaknajwygodniejszy—*comfortable*. Śpieszę z wyprawieniem listu tego, a obawiam się bym o czem ważnem nie zapomniał; zaklinam cię abys sobie mych prośb nie lekceważył. Ks. sufragan łączy prośby swe do moich. *Cher Robert*, ważność tej chwili i tego wypadku nie jest chorobliwem marzeniem starego kawalera maltańskiego *c'est une réalité*. Spodzie-

wam się że zechcesz to zrozumieć i ściskam cię serdecznie.“

List téjże nocy wyprawionym został do Brańska.

Książę Robert siedział w swoim pokoju, przy oknie napół zasłoniętém firanką, w wygodnym fotelu, z książką w ręku, której nie czytał. Od pół godziny oczy miał wlepione w przeciwległą ścianę i gasnące w ustach cygaro, kiedy niekiedy pociągając dym, machinalnie rozniecał.

Naprzeciw niego na stoliku leżał wyjęty z zamczystej szuflady biura portret kobiety, oprawny w hebanową ramę, dzieło niepospolitego artysty, przedstawiające jeden z tych ideałów wielkiego świata, co oczyma zdają się mówić o nieśmiertelności, ustami obiecywać niebiosą, tęsknotą rozlaną na licu unosić poza światy, od których czarodziejskiego wdzięku wzroku oderwać nie można, a które często są ironią natury, lub marą i widziadłem tylko tego, co nigdy nie zstąpi na ziemię. Oblicze to było bez skazy, twarz w której natura i sztuka zamknęły co najdoskonalszego wydać mogły; dziewiczą niewinność i powagę uroczystą, wdziek młodości i rozum doświadczenia, wesołość smętną i tęsknotę zrezygnowaną.

Nie można się było dziwić człowiekowi który się poił urokiem tego anielskiego oblicza, mającego coś z Monny Lizy Leonarda i Madonny Rafae-

la. Poępny wzrok Roberta wlepiony w te rysy, których chwilę przemijającą uwiecznił artysta, zdawał się pytać z goryczą: Czemu kłamiecie? czemuście całe życie kłamały? czemu tego co Bóg dał wam z siebie nie umiałyście utrzymać i rozwinąć? dlaczego anioł stał się szatanem i zdrajcą?

Robert patrzył i dumal, smutném okiem tonął w tych licach tak pięknych i odrywał się od nich, spoglądając w dal, jakby chciał czarodziejki zapomnieć. Nagle zwyciężając własną słabość, pochwycił obraz, rzucił go w szufladę między papiery, zamknął je na klucz ruchem gwałtownym, wstał i począł się przechadzać po pokoju.

Było to powtórzeniem prawie codziennéj walki ze wspomnieniami przeszłości jeszcze nie zapomnianej, zawsze boleśnie przytomnej. Codzien niemal książkę Robert zaprzysięgał się że już tego biurka nie otworzy, że obraz ten zniszczy, że w sobie namiętności niezgaszonej jeszcze podzegać nie będzie: i codzien powracał upokorzony do zatrutego napoju.

Ta godzina dnia była dlań męczarnią zarazem i jedyną rozkoszą: zbliżającą się czuł, walczył, opierał się jéj i ulegał słabości. Chwytał portret, lzy stawały mu w oczach, uśmiechał się do niego, trzymał go rękami drżącemi... Było to pierwsze spotkanie, może pierwsze wyrzeczone słowo; potem zasepiało się czoło, przesuwawa cała tragedia owéj miłości przed oczyma duszy, mroczyły rysy

anielskie, chmurzyły powieki. Odrzącał wizerunek i żegnał go, aż do jutra.

Nie patrząc nań, nosił go ciągle w duszy.

Zatrząskiwał biuro właśnie gdy wszedł Zenon Żurba. Nawykły do kłamania twarzą spokoju, książę Robert przybrał natychmiast fizyognomią obojętną i jasną; trudno było odgadnąć, że przed chwilą jeszcze ściągała ją boleść i wilżyły ją łzy.

Zenon zmierzył księcia wzrokiem badawczym; przychodził napozór wesoły, z zapasem dobrego humoru, z zamiarem rozbudzenia do życia.

— A, że też książę możesz w tak piękne dni letnie wytrzymać tak zamknięty, z tą nieszczęsną książką.

Spojrzał w otwartą, był to Gil Blas. Uśmiechnął się.

— Który to raz książę czyta to arcydzieło?

— Żartuj zdrów, arcydziełem on jest, a czytałem go tyle może razy, ile Don Quichotta, i Pawła i Wirginią i Diabła kulawego, i... Homera.

— Jakto? razem Diabeł kulawy i Homer?

— Każdy w swoim rodzaju.

— Ale bo mnie się zdaje — z przeproszeniem, odezwał się Zenon, że książę czytasz tak, jakbys grał w bilard, byle coś zrobić i czas zabić.

— Być może, czas zabić! masz słusność.

— Lub zabić w sobie jakieś pragnienie i myśli.

— Ja pragnień nie mam żadnych. Cóż chcesz? odparł uśmiechając się książę — jestem zupełnie

szczęśliwy, nic mi nie brakuje, czegożbym mógł pragnąć?

Zenon zżymnął się.

— Książę nawet ze mną nie chcesz być szczerym, ale się nudzisz okrutnie.

— Sądysz? spytał Robert. Może! Nie zaprzeczam, ale my się życiem w ogóle wszyscy albo męczymy, albo nudzimy. Z tego dwojga wyjść nie można.

— Jakto? niéma trzeciego nic?

— Zdaje mi się że niéma.

— W młodości przecie poimy się, rzekł Zenon.

— A długoż trwa ten stan wyjątkowy? odparł książę. Przepraszam cię, to nie jest rzeczywistość, to chwila rozgorączkowania, *on en revient*, i reszta żywota znużenie lub nudy, nudy lub znużenie.

— Czyś książę zawsze tak się na świat zapatrywał? dodał Zenon, badając go oczyma.

— Od czasu jakem się wytrzeźwił, zawsze.

— A nie żałowałeś upojenia? mówił nieznużony inkwirent.

— Czegożby to dowodziło? można żałować i marzeń gorączkowych, a niemniej uznawać je za tan chorobliwy. Daj mi pokój, Zenonie; taka anatomia na żywym człowieku, jaką ty lubisz się zabawiać, ażeby się nie nudzić, mnie, przyznam ci się—męczy. Krajesz mnie jak nożem. Może ci się chcieć być Galvanim, ale ja nie życzę sobie być żabą.

— Ale, mości ksiązę, kłaniając się z pokorą nieco komiczną, począł Zenon—ja doprawdy nie przez egoizm dopuszczam się tych studyów, które księciu zdają się być przykreimi. Proszę mi wierzyć iż pobudką do nich jest coś więcej niż próżna ciekawość. Ja bym pragnął być nadwornym lekarzem w. ks. mości.

Ksiązę Robert podszedł do niego z uśmiechem łagodnym, objął go i pocałował w czoło.

— Mój ty dobry Zenonie, są choroby chroniczne, które się nieuleczonemi stają; dajmy temu pokój. Mów co wesołego, rozerwiemy się, zapomnimy.

— Mości ksiązę, daruj, nie mogę się nastroić do tego tonu, choć raz pomówmy seryo. Gniewaj się, ale posłuchaj.

— Nudzisz mnie!

Znowu ręce załamał, ksiązę spojrział nań, ulitował się i dodał szybko:

— Już cię nie wstrzymuję, mów; bywasz czasem dziwnie uparty, słucham. Na to niema rady.

— Ksiązę się nudzisz, sam się przyznajesz do tego—mówił Zenon. Zdaje się księciu iż te nudy są w jego naturze. W tém omyłka, ich przyczyna leży w atmosferze otaczającej, w dyecie duchowej, w braku zatrudnienia. Goethe, gdy się zezarzał a obawiał zachorować na przeżycie, został namiętym geologiem i pokazując na zbierane kamienie, mówił że to jest balast jego życia. Trzeba

się o balast postarać. Zostań księżę entomologiem, antykwarzem, naturalistą, czém chcesz, a przysięgam że się nie będziesz nudził.

— Rada doskonała—uśmiechnął się ks. Robert, coś nakształt tego, jakbyś powiedział ślepemu, aby się poświęcił malarstwu. Do pracy potrzeba sił, do roznamiętnienia się potrzeba ognia, a w kim pierwsze się wyczerpały, drugie zagasło?...

— Trzeba zdobyć pierwsze a drugie wskrzesić, zawołał Zenon, ale najprzód trzeba *chcieć!*

— *Voilà!* masz zupełną słuszość na nieszczęście ta *wola*, jest to jedyna rzecz której człowiek nabyć nie może, gdy ją raz utraci; sprężyna ta pękła!

— Nieprawda! zaprzeczył niegrzecznie Zenon, opieram się temu, *nego*, trzeba chcieć mieć wolę, a będzie.

Księżę Robert zaczął się śmiać jakimś dziwnym, przymuszonym śmiechem, w którym tylko znać było iż rad był jakimkolwiek sposobem rozmowę nieznośną skrócić i odwrócić. Chodził po pokoju, poprawiał sprzęty, zsuwał książki, zdmuchiwał pyły, układał na stoliku niecierpliwie, ale twarz zachował spokojną jak zawsze i uśmiechniętą łagodnie. Dla odwrócenia może uwagi Zenona w tę stronę, począł oknem wyglądać w dziedziniec i nagle przyłożył szkiełko do oczów.

— Co to jest? posłaniec z listem z miasteczka? Co to może być?

Krótką chwilą upłynęła w milczeniu, służący księcia wszedł z listem na tace. Ks. Robert spojrział na kopertę niespokojny, poznał rękę generała i odpieczętował szybko. Zenon, odstąpiwszy na kilka kroków, poglądał obojętnie. Twarz czytającego powlokła się chmurą, usta skrzywiły, czoło pomarszczyło. Rzucił list na stół i począł się przechadzać po pokoju, zaciągawszy wargi, co było u niego oznaką największego niezadowolenia.

Na skinienie że odpowiedź niepotrzebna, służący wyszedł.

— Patrz-że no, przeczytaj jeśli chcesz — odezwał się książę—to prawdziwa fatalność! Człowiek tu nigdy spokoju mieć nie może, drzwi się nie zamykają. Znowu goście, i goście niepospolici. Generałowi udało się polowanie.

Podał list Zenonowi, któremu oczy błysnęły radością.

— Mości książę, zawołał — nakoniec i mnie przyjdzie uwierzyć w cuda! ależ to prawdziwy cud! Dziedziczka która *erat in votis*, przyjeżdża nam sama na grunt, tylko się schylić aby ją wziąć. Na ucziwość, mości książę, nie rozumiem...

— Ale bo ty mnie nigdy nie zrozumiesz—tracąc cierpliwość rzekł Robert, ja niczego nie chcę, niczego nie pragnę, oprócz spokoju.

— To wniądź do klasztoru—odparł Zenon. Spokoju na świecie niéma, a kto go żąda, chce rzeczy niemożliwej. Książę pragniesz ideałów, trzeba się

ich wyrzec, a poślubić rzeczywistość jaka jest i z której jarzma wyłamywać się nikt nie ma prawa. Tak, mości książe — dodał nie trzeba się łudzić, trzeba przestać marzyć, książe się *musisz* ożenić i ożenić bogato dla ocalenia rodziny, która innego ratunku nie rozumie i znaleźć nie potrafi. Surowe to są wyrazy z mojej strony, lecz poddyktowane prawdziwą dla ich domu miłością i poszanowaniem. W innym składzie okoliczności powiedziałbym księciu: zostań wolnym, zostań przy małym, chodźmy, pracujmy, a odrodzi cię praca, da ci zdrowie duszy, będziesz szczęśliwym. Niestety! książe nie jesteś sam, miłość dla rodziny zmusza cię do ofiary fałszywym może, ale poszanowania godnym pojęciem. Niema więc wyboru, ofiarę z siebie *musisz* uczynić, trzeba ją podjąć mężnym sercem i wesołą twarzą.

Zenon mówił z zapalem, książe Robert słuchając go pobladł; zdawało się że się rozgniewa, łzy stanęły mu w oczach, wyprostował się, podniósł głowę, potem milczący podszedł do przyjaciela i uścisnął go serdecznie.

— Masz słuszność, zawołał głosem stłumionym, jesteś mi prawdziwym przyjacielem. Dosyć, zrozumiałem cię. Stokroć ci dziękuję, oszczędziłeś mi głupiej i niepotrzebnej walki. Idę do ojca.

To mówiąc, wyjął list generała i z nim pospieszył do szambelana.

Oddawna Brańsk nie wyglądał tak świetnie, jak na przyjęcie hrabiego Mościńskiego; szambelan zrozumiał, że to mogła być dla nich chwila stanowcza, z kolei więc kazał do siebie wołać wszystkich, którzy mu dopomódz mieli do tego wystąpienia. On sam, obciążony wiekiem, a więcej jeszcze nawykniem do obrachowania regularnego życia, niczem się zajmować nie mógł, nie mieszal się też zwykle do niczego; na ten raz jednak przelamał nieczynność, chciał własnymi usty, których każde słowo było tu prawem i rozkazem skłonić otaczających, aby mu nie zrobili wstydu, Obudziło też to niesłychaną gorliwość.

Szambelan nadto był i dumnym i nawykłym do pewnych form, aby się komu z myśli swych miał zwierzać; łatwo zresztą odgadywano o co chodziło; nie mówiąc dlaczego, przesadzali się wszyscy w staraniach, aby Brańsk w dawnym się blasku okazał. Czas był nadzwyczaj krótki, ale też tu starych zasobów nie brakło, szło tylko o umiejętnie ich użycie. W tej chwili prawie gdy Robert poszedł z listem do ojca, zrezygnowany odegrać swą rolę z całym talentem na jaki się mógł zdobyć, poruszyło się co we dworze żyło.

General, w godzinę po wyprawieniu pierwszego posłańca, zmiarkował iż i Wincentowicz i inni ludzie, pożyczeni na odpust ks. sufraganowi mogli być w Brańsku potrzebni, rozmówił się więc z biskupem, oddzielono tych bez których się obejść

było można i posłano ich na całą noc do domu. Z miasteczka wysłał generał co tylko zdało mu się jeszcze potrzebnem. W parę téż godzin po posłańcu przybyła niespodziana owa pomoc z miasteczka, wielce błogosławiona, bo Wincentowicz był w takich wypadkach prawdziwym totumfac-kim, a nagłość podwajała jego krętaninę i czyniła go niezmordowanym. Przyjechał i mniéj czynny daleko Burski, którym także nieco się posłużyć było można. Panna Marcyanna przelęknięta wzięła się do kuchni i apteczki, panna Antonina podjęła się urządzić pokoje dla hrabianki. Nawet księżniczka Stella biegła do ojca, do brata, zasięgając rady, wymysławając co tylko mogła, ogalając swoje pokoiki, byle hrabiance jéj mieszkanie jak najwytworniej przystroić. Zenon stawiał się po rozkazy ks. Roberta, który raz powiedziawszy sobie że powinien się poświęcić, do niepoznania się zmienił. Było coś bolesnego w tém jego poddaniu się nakazom losu, z twarzą spokojną, z łagodnym uśmiechem, z obojętnością skazanego, który wie iż go wyrok minąć nie może.

Nazajutrz około południa wszystko było w gotowości zupełnej; drobnych rzeczy których brnąć mogło dostarczą Żurbowie, mając dom po szlachecku zapaśny.

Szambelan, który rzadko i to w oznaczonych godzinach, po pewnych ścieżkach się przechadzał, wyszedł o lasce w porze niezwykłej, aby obejrzyć

wszystko. Starzec niespokojny był widocznie, choć go cała rodzina upewniała iż się Brańsk nie powstydzi przed gośćmi. Wśród tego zamętu, piękna, spokojna twarzyczka marmurowa księżniczki Stella była tak kochaną przez wszystkich bez wyjątku, iż na jej rozkaz każdyby w ogień się rzucił. I była tego uwielbienia godną, bo istotnie można ją było nazwać gwiazdą rodziny i dobrym jej aniołem. Tylko jak anioły co śpiewają w niebiosach, nie patrząc na ziemię, księżniczka obcą była ziemskim sprawom tego świata: żyła sobie muzyką, poezją, marzeniem, przyjaźnią Antoniny, ukochanym bratem, ojcem, w niezamąconej niczem atmosferze błogiego szczęścia, ani się domyślając czem życie i los grozić mogły.

A któżby też był śmiał rozbudzić ją z tych snów czarownych? Była to istota szczęśliwa nieświadoma niebezpieczeństwa. Wychowana w domu, znając ludzi tylko z wybranych ksiązek i podobnych do bronzowych lub porcelanowych statuetek na konsolce salonu — wyobrażała sobie najwinnie, iż wszyscy byli tacy, jak ci z którymi żyła.

Jakby dla kontrastu, obok niej stała panna Antonina Żurbianka, wychowana z nią razem, lecz pośredniem swém położeniem między dworkiem dzierżawcy a pałacem książęcym o wiele więcej wtajemniczona w świat i to co się na nim dzieć zwykło. Żywa, dowcipna, ciekawa, zręczna, umiejąca się do wszelkiego towarzystwa zastosować,

ukryć w sobie uczucie, panna Antonina nie rozczarowywała przyjaciółki, choć sama o wiele inaczej zapatrywała się na wszystko, kochała ją i jak troskliwa siostrzyczka u kolébki młodszego dziecięcia, nie budziła jej niepotrzebnie i przed czasem, szanowała to dziewicze życie, ten kwiat, który i tak zapędko lada powiew wiatru mógł zwarzyć.

Była to nieodstępna towarzyszka, prawa ręka księżniczki Stelli, powiernica wszystkich jej myśli, anioł-stróż, co strzegł, by jaki zatruty oddech na piękne oblicze jej wionął. Stella wcale nie wiedziała o planach w górze osnutych, widziała tylko w tém przyjęciu przybycie nowej przyjaciółki, uciechę serca niezmierną, radość duszą nową i pożądaną.

Bukietami przystrojono pokój Alfonsyny i obok drugi dla miss Burglife. Stella rada była temu zajęciu, w którym jej Antonina dopomagała.

— Czy też ty wiesz, moja droga—odezwała się nagle księżniczka do przyjaciółki, ustawiając ostatnie bukiety na konsolach—co mnie za dziwaczna myśl przychodzi? Wystaw sobie, gdyby się Robert w tej Alfonsynie zakochał, a ona w nim. Ach, jakby to było ślicznie! Robert się nudzi, wszyscy mówią, że gdyby się ożenił, byłby szczęśliwszym. Alfonsyna jest miłą, dobrze wychowaną, pewnie ładną, dobrego urodzenia, byłoby to małżeństwo

ze wszech miar stosowne. A takiebyśmy mieli śliczne wesele!

Antonina z ironicznym pół-uśmiezkim zwróciła się ku księżniczce, zarumieniła się nieco i westchnęła.

— I mnie to na myśl przychodziło—szepnęła; w istocie, rzecz naturalna i bardzo możliwa. Przyznam się nawet, że biegałam do Wincentowicza spytać, czy on też widział hrabiankę, czy nie sły-szał jak wygląda.

— A cóż on powiada? ozwała się księżniczka.

— Nie mógł jęj widzięć, bo tego dnia nie wychodziła, była zmęczoną, ale generał mówił, *qu'el le a un air très distingué*.

— *Trés distingué?* spytała księżniczka—no? jak-że ci się zdaje? co to ma znaczyć?

Antonina roześmiała się.

— Ja nie wiem—rzekła—tylko... tylko mi się zdaje, że bardzo ładną być nie musi. Gdy kogo tak pochwałą, to pewnie że inaczej nie można o nim powiedzieć.

— Ale cóż tam ta nasza piękność znaczy! zawołała Stella—czyż ona trwa długo? Byle była dobrą i łagodną.

Na tém przerwała się rozmowa o hrabiance, z różnemi wariantami powtarzana po wszystkich dworu kątach, bo choć nikt niby nie nie wiedział, domyślali się wszyscy jakichś planów osnutych. Wincentowicz szedł dalej niż inni, widział on

w tym przypadku rękę i niezmierną przebiegłość ks. sufragana.

— To, mosanie, polityk jest, jak rzadko! mówił do Burskiego. On milczy, kuli się, niby nic nie znaczy i do niczego się nie miesza, ale to, mosanie, głęboki człowiek, powiadam panu, dyplomata. Jemu ministrem być! on tu u nas niewidzialnie wszystkiem kieruje—to jego sprawa. Dyplomata, mosanie! Ukartował tak, że wszystko się niby najnaturalniej złożyło i sprężyn tajemnych ani widać. Ja jego znam. Statysta jakich mało. Nie można powiedzieć, szambelan ma rozum wielki, ministerjalny. Generał nasz pocziwy téż nielada człek; ale ks. sufragan, to orzeł rodziny. Bez niego byśmy już pono dawno cienko śpiewali. To jego robota i zaraz znać, bo rozumna i jak z płotka.

Wieczorem już czekano trochę na zapowiedzianych gości, bo konie rozstawne i ze dworu i od Żurbów zostały wysłane do zabielskich karczem. Lecz nim jeszcze hrabia z córką nadjechał, niecierpliwy generał, nająwszy pocztowe konie, uprzedził ich o godzinę. Nie zachodząc do siebie nawet, pośpieszył do szambelana, który w swém krześle ubrany, wypudrowany, wyświeżony, nie okazując niecierpliwości, ciągle wszakże spoglądał na zegarek. Bracia przywitali się uściskiem.

— Mój Hugonie, Bóg ci zapłać, Bóg zapłać; ale powiedz-że mi, jak to tam wygląda? zaczął szambelan.

— A no, nieźle, wcale nieźle — szybko odpowiedział generał—byle Robert miał rozum, może się coś dobrego ułożyć. Ja nie lubię zbyt pięknych kobiet, nadto się kochają w sobie. Hrabianka wcale brzydka nie jest, piękną też nie; delikatna, trochę sztywna, znać manierę od guwernantki Angielki nabrała, lecz to się rozkrochmali. Ojciec choć do rany przyłożyć.

— Toć go znamy, przerwał szambelan.

— Znaliśmy go młodym człowiekiem, a wyrósł na dobrego potulnego służkę ukochanego dziecięcia. Za nos go wodzą, jak chcą. Ale to dobrze, to bardzo dobrze—dodał optymista. Zrobi zawsze co mu córka każe. Wszystko zależy od tego, jak się Robert znajdzie i spodoba. Angielkę trzeba bardzo maneżować.

To mówiąc i uścisnąwszy brata, generał poszedł się przebrać, bo zamierzał także wystąpić paradnie i gdyby to nie było śmiesznością, byłby pewnie przywdział swój pąsowy ze złotem, srebrem i aksamitem mundur komandorski. Na ten raz jednak gwiazda na czarnym surducie wystarczyć musiała.

Szambelan, lada chwila spodziewając się już przybycia gości, wyszedł do sali i siadł w fotelu, każąc prosić Roberta do siebie. Obawiał się bardzo z jego strony lekceważenia lub zaniedbania. Robert wszakże zrozumiał swój obowiązek, przemógł niesmak i wstręt jaki to w nim wzbudzało

i ukazał się ubrany z wielkiém staraniem, odmłodzony, piękny, tak że go ojciec uradowany, nic nie mówiąc, uścisnął. Robertowi jakby łza zamglila oko, ale nie wytrysła.

Nagle zaczęły się dawać słyszeć gęsto powtarzane wystrzały z batów woźnic, którzy już przed ganek zajeżdżali, i rozruch w domu; księżniczka Stella z Antoniną przybiegła do ojca, wszedł i Zenon, Generał, prędko się przedziawszy, powitał gości w ganku i wprowadził.

O rozgłośnie przywitaniu hrabiego z szambelanem mówić nie potrzebujemy. Oczy wszystkich przytomnych skierowane były na wchodzącą krokiem mierzonym, wystrojoną niezmiernie, bardzo bogato i nader niesmacznie hrabiankę Alfonsynę. Żółta jej twarzyczka w tej chwili wydawała się jeszcze bardziej cytrynowa niż kiedykolwiek, jeszcze mniej przyjemną. Była widocznie pomieszana. Za nią idąca miss Burglife, im bardziej czuła wielkość książęcego domu, który jej zamki angielskich lordów przypominał, tém się spinała bardziej, aby okazać się obojętną i niewzruszoną. Ubrała się też, jak wychowanica jej, w sposób zdumiewający i straszliwy.

Robert, który mógł być służyć za wzór elegancyi smakownej i wyglądał na królewicza, zmierzyl oczyma swe przeznaczenie i pobladł. Prędko jednak wróciła mu naturalna barwa twarzy i wyraz jej łagodny i spokojny. Wrażenie jakie Alfonsyna

zrobiła na Stelli, było widocznie dziwne jakieś i niespodziane; nawzajem hrabianka, ujrawszy tę promienną piękność, zaczerwieniła się, jakby upokorzona. Przywitanie, mimo hałasu hrabiego, który chciał je uczynić serdeczném, było zimne, zakłopotane, ceremonialne. Generał sprawiał swe posłannictwo pośrednika ze zręcznością, jakiej się po niém spodziewać nawet było trudno.

Po pierwszej chwili jakiegoś zamętu i badawczych wejrzeń wzajemnych, wprędce przecie skleiła się ogólna rozmowa, serdeczna i ochocza. Mało w niej udziału brała przestraszona jakby Alfonsyna, a w istocie olśniona tém państwem, które w niej jakąś zazdrość budziło—złożono to wszakże na zmęczenie i niezdrowie. Stella ofiarowała się zaraz kuzynce służyć do jej pokojów ażeby przed herbatą wypocząć mogła. Wniosek ten został po małym wahaniu się przyjęty, lecz że hrabianka nie mogła stąpić kroku bez miss Burglife, a Antonina była tłumaczem potrzebnym księżniczce, wszystkie te panie razem wysunęły się do apartamentu Alfonsyny.

Trzeba wiedzieć że hrabia Mościński, zamieszkawszy na Podolu, gdy mu się kilka lat szczęśliwie powodziło, stary, kryty słomą dwór w którym mieszkali, zapragnął zamienić na pałac, do którego miał prawo. Stanęła tedy przez powiatowego architekta zaprojektowana budowa, o ósmiu kolumnach na froncie, o piętrze, tak niesmaczna

jak tylko być mogło. Wewnątrz brak dobrych rzemieślników i materiału, mimo ogromnych kosztów, uczynił ją najniwygodniejszą w świecie i dla oka niemiłą. Hrabia, niemający gustu, wierzył w złocenia, świecidła i drogie rzeczy, umeblował więc pałac kosztownie, lecz śmiesznie. Napróżno potem miss Burglife starała się to poprawiać; pałac miał cechę mieszkania dorobkowicza, której nic z niego zdjąć nie zdołało.

Po nim książęcy gmach w Brańsku wydawał się pannie Alfonsynie, która nic piękniejszego nigdy nie widziała, nad dom Majorowa w Odessie, czémś niemal królewskim. Wszystko razem wzięte co tylko tu spotkała, niemal ją upokarzało swą powagą i smakiem.

Jakkolwiek nieśmiało, rzuciła Alfonsyna już okiem na prezentowanego jej ks. Roberta, a miss Burglife zmierzyła go od stóp do głowy wejrzeniem znawcy i eksperta; wrażenia obu zgadzały się, pochwały oddawane młodzieńcowi nie wydały się im przesadzone; serce panny Alfonsyny przyjemnie uczuło się wzruszonym. Być może że i tytuł dodawał uroku księciu Robertowi, bo mitra stara nie tak jest łatwą do znalezienia, jakby się nawet dwumilionowym dziedziczkom żdawać mogło. Co się tyczy starego hrabiego, ten był w uniesieniach nieukrywanych, a dobroć i uprzejmość całego domu Brańskich dla niego, obudzały w nim zapal niewypowiedziany. Książę szambelan, skłon-

ny do pobłażania dla kuzyna tego, bawił go sam rozmową, przebaczał mu jego rubaszną nieco żywość; razila go tylko jedna rzecz, że Mościński, obyczajami ludzi mniej starannie wychowanych, a do lepszego towarzystwa nienawykłych, mówiąc krzyczał niesłychanie, podnosił głos jakby na kazalnicy, zrywał sobie piersi i zagłuszał wszystkie dźwięki, które współzawodniczyć z nim mogły. Trzeba mu to było dla milionów i córki darować.

Przyjęcie zresztą tego dnia, jakby wcale nie przygotowane, było dosyć skromnym, choć wykwintnym i z wielkim ceremoniałem dworu dopełnionym. Liberye, kamerdynery, służba wszelaka, rękawiczki białe, pochody ze świecami, otwieranie i zamykanie podwoi uroczyste, nadawały mu jakąś barwę arystokratyczną. Hrabianka nienawykła do podobnych form, znajdowała je wszakże wielce wspaniałemi, a miss Burglife zapewniała na ucho, że nieinaczéj dzieje się po zamkach magnatów angielskich i szkockich. Wieczór skrócono dla znużonych podróżą, a może i przyjmowaniem; około dziesiątej rozeszli się wszyscy.

Zenon popędził za ks. Robertem niespokojny. Okiem przyjaciela rzucił on na pannę Alfonsynę i nie będąc wystawionym na natrętny wzrok, z kątką mógł się jéj cały czas przypatrywać. Życzliwość dla księżąt kazała mu w niéj szukać czegoś ponętnego, czegoś obiecującego szczęście w przyszłości; mimo tego pragnienia, Zenon czuł się nie-

mile dotkniętym powierzchownością, która zdradzała pieśzcotami rozwinięty do wybujałości egoizm i jakąś suchość serca, brak jego. O ile hrabia był dobrodusznym a otwartym i łatwym do pokochania, o tyle córka przestraszająco wydawała się zimną i pedantyczną. Zenon zasmucił się; znając Roberta, wiedział że mu się jego przyszła podobać nie może, nie zgadywał tylko do jakiego stopnia wstręt posuniętym zostanie. Dlatego, za ledwo wyszli, pospieszył za księciem, postanowiwszy nie pytać go, ale czekać co też on powie.

Ks. Robert rzucił się już był na krzesło znużony, głowę podparłszy na rękę, gdy wszedł przyjaciel, pod pozorem dowiedzenia się o coś potrzebnego na jutro.

— Już jesteś szpiegu nieznośny — zawołał smutnie śmiejąc się ks. Robert; no? powiedz-że ty mi co o hrabiance?

— Ja? podchwycił zmieszany Zenon — ja? ale... ale ja nie miałem sposobności ani się zbliżyć ku niej, ani z nią mówić.

— Ale wrażenie pierwsze... mów szczerze.

— Szczerze, odezwał się Zenon, jest to surowy materyał, z którego może być bardzo przyzwoita księżna, lub bardzo śmięszna. To zależy od artysty, który z bryły marmuru posąg wykuje.

— A! wykręciłeś się zręcznie — zawołał książę. Otóż ja ci powiem to, czegoś ciekawy, ja spodziewałem się gorzej. Ponieważ raz mam się żenić,

nie pytając serca i nie dla siebie, ale dla dynastycznych interesów, to gdyby nie miała pasy nosić tyle łańcuchów i pierścionków, bransoletek i broszek, byłaby wcale znośną. Hrabia jest nieco zagłębiony i wrzawliwy, ale możeby się ciszej rozczulać nauczył.

Zamilkli obaj, książę się uśmiechnął i ramionami ruszył, Zenon popatrzył badawczo i ze współczuciem, uścisnął jego rękę i odszedł.

Nazajutrz, o białym i jasnym dniu, obie strony bojujące wystąpiły w całym blasku. Panna Alfonsyna wystroiła się jeszcze niesmaczniej, paradniej jeszcze i kosztowniej, a wydała się gorzej niż wczoraj. Stella, której ubioru prostota odbijała dziwnie od tej elegancyi parafiańskiej, piękną była jak anioł. Panna Antonina wysiliła się także na smakowny strój wiejski, tak że miss Burglife i jej wychowanka zdały się przy nich obywatelkami innego jakiegoś świata. Ale ojciec tryumfował, widząc córkę tak wspaniale przybraną, świecącą. Książę Robert stanął mężnie na stanowisku jakiego mu los wyznaczył, zbliżył się do panny i niezbyt natarczywie, lecz z widocznym zajęciem usiłował bliżej ją poznać. Stella mu do tego dopomagała, chociaż Alfonsyna nie była dla niej sympatyczną.

Zeszli się wszyscy razem najprzód na wspólne śniadanie, przy którym szambelana nie było i generał robił honory domu ze Stellą i synowcem; potem przed obiadem wystąpili znowu wszyscy

i w całym blasku. Obiad był w wielkiej sali marmoryzowanej podany i przepyszny. Wypito zdrowie gości.

Los, czy zręczna kombinacya, rozsadzając mężczyzn i kobiety, zbliżyła ks. Roberta do Alfonsyny, która przerwała dotychczasowe milczenie i opowiadała księciu o Odessie i Podolu. Hrabia był w humorze najszczęśliwszym. Wieczór zszedł na muzyce, rozmowie ożywionej, a Wincentowicz nie dopuścił, aby się obeszło bez fajerwerku nad stawem.

Mościński już nad wieczór napomknął o odjeździe, ale szambelan oświadczył wręcz, iż na wsi gość conajmniej trzy dni przesiedzieć musi, jeśli nie chce gospodarzy obrazić. Nie sprzeciwiano się jakoś i pobyt w Brańsku się przedłużył.

Drugiego dnia wymyślono przejażdżkę do Villety. Tak się zwał domek wiejski w stylu włoskim, wystawiony w lasku o milę przez szambelana, za lepszych jeszcze czasów, opuszczony nieco, ale teraz naprędce wyporządkowany. Piękne otaczające go drzewa, widok na dalekie łąki, lasy i wsie porozrzucane w okolicy, miejsce to czyniły bardzo właściwem do takiej chwilowej wycieczki.

Mężném sercem ks. Robert, nie okazując czego nie czuł, nie odgrywając komedii miłosnej, był wszakże ciągle na usługach Alfonsyny, co jej pochlebiało. Nagradzała go wzrokiem bardzo obie-

cującym i ożywiła się pod wieczór do tego stopnia, iż się parę razy roześmiała.

Baczone ojca oko doszedziło pożądaných symptomów, i hrabia zacięrał ręce w milczeniu, już prawie pewny, że księcia mieć będzie zięciem. General, na ten raz dyplomata się stawszy, potrafił zupełnie ująć miss Burglife, którą prowadził do stołu i ze szczególniemi był dla niej atencyami, tak że Angielka sama pierwsza szepnęła Alfonsynie uśmiechając się, iż ją podejrzywa o skłonność dla pięknego Roberta. Alfonsyna zarumieniła się mocno, chciała wypięrać się i przeczyć, ale wykonała to tak niezręcznie, iż m. Burglife została przy swém przekonaniu.

Trzeci dzień do reszty jakoś spoufalil i zbliżył harmonijnie towarzystwo. Stella poprzyjaźniła się z Alfonsyną, general z hrabią wszedł w tajemnicze jakieś narady, zaprosiwszy go do siebie na górę. Wszystko szło jaknajlepiej, o wyjeździe nie było mowy i złożyło się tak dziwnie, iż ks. Robert właśnie miał jechać do Warszawy, a zatem mógł w drodze hrabiemu i hrabiance towarzyszyć. Wszyscy już o staraniu się księcia, o jego zakochaniu i układającym się związku szeptali.

Robert znajdował się prawdziwie heroicznie. Może baczniejsze oko dostrzegłoby w jego postępowaniu rozpaczliwej jakiejs odwagi nienaturalnej, przymuszonego coś i gorączkowego; ale dla Alfonsyny, dla jej ojca, dla miss Burglife, która

dom książęcy wielbić zaczęła i pod niebiosa wynosić, było to aż nadto dostatecznym. Wprawdzie po każdym dniu takim wysiłku i kłamstwa, książę Robert powracał złamany do swego mieszkania i całe noce chodził niespokojny, rzucając się, burząc, miotając, ale tego nikt ani widział, ani się domyślał. Ilekroć brakło mu siły i męstwa, a twarz żółta Alfonsyny odpychała go wstrętem, którego przewyciężyć nie mógł, spoglądał na siwe włosy ojca i nabierał odwagi do dalszych zalotów, w których aż nadto miał szczęścia.

Jeśli się to zakochaniem nazwać może, co w sercu ciasnym zrodzi fantazyja chwilowa, polectana próżność i ciekawość, można było powiedzieć iż hrabianka Alfonsyna była zakochaną. Robert nie mógł się jej nie podobać. Gdy trzeciego dnia wieczorem, po nowej z generałem naradzie cichej, ojciec przyszedł do córki, aby się z nią rozmówić, za pierwszym słowem wyrzeczonym dostrzegł, iż Alfonsyna wyprzedziła jego tajemne życzenia. Spodziéwał się jakiegoś oporu, choćby dla ceremonii, a znalazł przez usta miss Burglife wyrażające się jaknagorsze uwielbienie dla całego domu i dla ks. Roberta.

— Już niéma co się z tem tać, rzekł stary poczchu, jawna rzecz że ks. Robert się w tobie, moja Alfoniu, zakochał. Generał, który go zna najlepiej, oświadczył mi że jeszcze go tak zajęтым kobietą żadną nie widział, bo dla wszystkich jest zi-

inny. Miałem sobie za obowiązek, moja duszo, szczerze się rozmówić z tobą. Niech mnie Bóg uchowa ażebym cię zmuszał, choćby do najpożądanego dla mnie związku. Mów szczerze, niepodobna ich uwodzić i dawać nadzieje, jeśli...

Mówiąc to, ojciec niespokojnie się w córkę, zakłopotaną widocznie, wpatrywał; szczęściem dla niej miss Burglife przyszła jej w pomoc.

— Panie hrabio — przerwała — trudno wymagać od skromnej młodej dziewczycy wyznania, sentymentu, tak delikatnego, tak lubiącego się ukrywać i taić; ja wszakże o ile znam kochaną hrabiankę naszą, mogę zaręczyć, że wstrętu do księcia Roberta nie ma, a nawet, (uśmiechnęła się) wnoszę, że pewna sympatya istnieje.

Hrabia rzucił się zarumienioną Alfonsynę ścisnąć i całować, podał szeroką dłoń miss Burglife... czuł się szczęśliwym.

— Więc teraz, dodał cicho, tłumiąc głos — nie pozostaje nic tylko się bliżej poznać, dać się uczuciu kielkującemu rozwinąć. Kochana Alfoniu, jakkolwiek, dzięki Bogu, rodzina nasza żadnej starej szlacheckiej i pańskiej nie ustąpi, a genealogowie rozumni wywodzą ją od Pontiusów rzymskich, zawsze książęcy tytuł i imię Brańskich ma blask znakomity. Starzy to, niegdys udzielni, panujący kniaziowie, co prawda to prawda. Pójść za księcia Brańskiego jest pięknie, jest bardzo pięknie. Nie powiadam żeby się o to dobijać, lecz je-

śli się składa, odrzucać byłoby grzechem, niedarowanym grzechem. Rzecz jest napięta, potrafiłem sobie pozyskać generała, który mi ręczy że i ks. sufragan projekt poprze. Niema wątpliwości iż szambelan zezwoli. Trzeba więc żelazo kuć póki gorące. Ks. Robert oświadczył że, niby dla własnych interesów, jedzie do Warszawy i będzie nam towarzyszył; zgodziłem się na to. Nie będziesz pewnie nic miała przeciw temu.

Alfonsyna spuściła oczy.

— Nie wymagam od ciebie, moja Alfoniu, wyznań, wiem że to dla twych uczuć delikatnych rzecz przykra nawet przed ojcem się wynurzać, rozumiem milczenie.

To mówiąc ścisnął ją znowu i całował po rękach.

— Księżna Alfonsyna z hrabiów Mościńskich Brańska! Do kroć sto... przepraszam... jak to brzmi! jak to brzmi! Wymagają wszakże światowe formy przyzwoitości, aby staranie, oświadczenie, cały ten ceremoniał ze wszelkimi regułami się odbywał. Ja zresztą dopilnuję tego. Będiesz szczęśliwą! Robert jest młodzieńcem wielkich przymiotów, prawdziwy książe! Spojrzeć nań! Co za godność w postawie, jakie rysy, jakie ruchy! Para z was będzie cudowna. Ale, sza! sza! i—jakbyśmy o niczem w świecie nie wiedzieli i niczego się w świecie nie dorozumieli.

Pocałował córkę milczący raz jeszcze, miss Burglife rękę uścisnął i wymknął się uszczęśliwiony.

Pomiędzy miasteczkiem a rezydencją książęcą długa ulica prawie cała ostawiona było w lewo i w prawo dworkami z ogrodami i ogródkami, należącemi do rezydentów, sług starych, gracyalistów i czynnych urzędników gospodarskich. Gruntów była taka obfitość, iż każdemu można było wydzielić dosyć dużo, lasu nie brakło, budować się było łatwo, na ostatek starzy książęta szli w tém za tradycją, która wiązała sługi z panami nierozwanemi węzłami wzajemnej wdzięczności. Dworki były i mniejsze i większe, i wcale pokazywane nawet, a że gracyaliści mieli też grunta, przy niektórych stały w pewnym oddaleniu całe zabudowania gospodarskie.

Z pomiędzy nich najstarszy, najlichszy, niemal do włościańskiej chaty podobny, wcisnął się przed laty jeszcze pod sam prawie ogród pałacowy. Mieszkał w nim niegdyś ogrodnik, człek bezżenny, który długie lata sparaliżowany tu przeżył, a że nie zostawił po sobie rodziny, dworek jakiś czas był niezajęty i miano go nawet znieść, gdy zjawił się nań osobliwszy dzierżawca. Zgłosił się on do pana Gozdowskiego, oświadczając iż jest bardzo ubogi, że żyje z rzemiosła tokarskiego, że

mu o przytułek trudno i ze uważałby za dobrodziejstwo, gdyby mu tę chatę pustą wydzierżawiono.

Prośba była tak dziwna, dworek tak biedny, człowiek tak nikomu nie znany, iż pan Gozdowski z razu odmówił zupełnie. Było nawet uwłaczającym, według niego, godności książęcój, ażeby nędzną taką lepiankę za kilkadziesiąt złotych mieli wypuszczać. Koniec końców, tokarz tak dukał, piszczał, naprzykrzał się panu Gozdowskiemu, iż ten znudzony na zajęcie chaty dozwolił. Chciał ją nawet dać darmo, lecz kontrahent tego nie przyjął i czynsz natychmiast zapłacił.

Przybyły, którego na miejscu nikt nie znał, świadczył się sługami ks. sufragana, iż zamieszkiwał wprzód w miasteczku, niedaleko od sufraganii, i tokarstwem się trudnił; wystarczało to za legitymacyą. Nazwisko zapisano do ksiąg: Marcin Jałowcza.

Marcin, niemłody człowiek, kościsty, chudy, dość słusznego wzrostu, ogorzaly, z zapuszczoną brodą i wąsami siwemi; z czupryną obfitą, wyglądał tak jakoś strasznie i niemilo, iż z razu wszyscy od niego stronili i naganiali Gozdowskiemu, że mu tę chatę dał. Obawiano się w nim jakiegoś rozbójnika lub złodzieja. Uprzedzenia te jednak ustąpiły wprędce, najprzód dla tego, że nikt nad niego goręcej i regularniej w kaplicy zamkowej się nie modlił, a potem iż nikt usłużniejszym i bar-

dziej dla wszystkich przyjacielskim być nie mógł. Pomagał, służył, nastęczał się do różnych robót i posyłek, nawet bez żadnego wynagrodzenia, wszystkim we dworze. Wódki ani do ust nie brał. Tak stateczny i trzeźwy a niezmiernie pracowity człek nie mógł sobie wprędce niepozyskać ludzi. Wprawdzie było w nim coś zagadkowego, bo tokarni nie miał; tokarstwem się nie trudził, na oko był bezczynny, ale żył przecie, choć ubogo, niktogo o nic nie prosząc. Widywano go dlubiącego różne drobne spręciki z drzewa kozikiem, a wiadomo było gdzie je mógł sprzedawać.

Powoli przyzwyczaili się wszysey do Jałowczy. Odkrywano w nim coraz nowe przymioty. Czytać i pisać umiał bardzo porządnie, a z opowiadań wnosząc domyslano się, że wiele po świecie bywać musiał. Jak mu tam z jego rzemiosłem niegdyszło, o tem nikt nie wiedział; to pewna, że oprócz niego bardzo wiele innych rzeczy robił i znał, i nie było prawie rękodzielnictwa, do którego by nie był zdatny. W ogrodzie mógł bardzo dobrze zastąpić ogrodnika, dawał rady mularzom, zręcznie władał toporem przy ciesielce, znał się na gospodarstwie, grał na skrzypcach, służył do mszy, powoził czterema końmi jak najlepszy woźnica, — słowem do czego było go użyć, przydał się wybornie. A stawał do każdej nowój roboty ochoczo i, byleby niedługo trwała, doskonale się z nią wywiązywał. Pomimo swojój powierzchowności odrażającej, u-

miał się tak przypodobać, rozgadać, przymilić, że w przeciągu krótkiego czasu nikt się bez niego we dworze obejść nie potrafił.

Zachorował oficyalista, brano Jałowczę, trzeba było prędko rachunki przepisać, proszono go za stół: stawał jako dozorca, jeździł jako posłaniec, wkręcił się wszędzie, i na polowanie, i z ks. Serafinem na ryby, i do kancelaryi pana Gozdowskiego. Chciano mu dać jakie stałe zajęcie przy folwarku, ale tego odmówił, bo to w nim właśnie osobliwszego było, że choć gorliwie się brał do każdej rzeczy, nigdzie długo nie wytrwał. Pierwszego dnia był doskonały, drugiego dobry, trzeciego znośny, czwartego już się opuszczał, a potem i nie przyszedł. Człek był stateczny, a no taki dziwak. Przymiłem kilka razy na tydzień zamykał się w chacie i nie było go widać, potem szedł do miasteczka, a wróciwszy, rozpoczynał dawne życie.

Zapoznawszy się we dworze i wałęsając się od kąta do kąta, a lubiąc gawędę, Jałowcza tak doskonale o wszystkiem co się działo w Brańsku wiedział, a tak miał oko otwarte, iż nikt lepiej nie mógł zdać sprawy ze wszystkich czynności i najmniejszych przygód. Ubięrał się ubogo, niebardzo schludnie, niepozornym był, a z pisania wnosząc, i z mowy, i z ministrantury, można było sądzić, iż pewnie szkoły skończył i w lepszym niegdyś stanie znajdować się musiał. Nikogo to wszak-

że nie obchodziło: posługiwano się nim, lubiono go i zostawiano w spokoju.

Dworek w którym mieszkał Jałowcza, stał nad samą drogą którą panu Zenonowi trzeba było jechać od ojca do pałacu. W tych dniach gdy państwo Mościńscy przybyli, Zenon odbywał codziennie przejażdżkę tę konno lub wózkiem, służąc po całych dniach ks. Robertowi. Zwyczajnie jednak odjeżdżał na noc do siebie.

Trzeciego dnia właśnie około północy wracał wtedy, gdy mu cygaro zagasło i postrzegł że zapalek z sobą niema. W oknie dworku świeciło się jeszcze. P. Zenon znał Jałowczę z widzenia, postanowił przeto wniknąć, ażeby cygaro zapalić. Koń był wyuczony stać i na pana czekać, choćby godziny całe. Zarzucił mu więc uzdę na szyję pan Zenon i zbliżywszy się do drzwi, a znalazłszy je otwarte, wszedł do dworku.

W sieni było ciemno, zaledwie mógł wniknąć namacać, wreszcie jednak otworzył i znalazł się we wnętrzu ubogiego mieszkania. Na stoliku paliła się nie świeczka łojowa z miasteczka, ale stara lampka z olejem, pokryta daszkiem; kilka arkuszy papieru zapisanego walało się po stole, kałamarz i pióra świeżo porzucone przy nich. Odsunięty stołek świadczył, że gospodarz tylko co odszedł od roboty.

Przypatrując się baczniej dokoła. Zenon postrzegł na tapczanie wyciągniętego Jałowczę, któ-

ry głębokim snem usnął, zapomniawszy znać zgasić światło i drzwi zaryglować. Otwarcie ich i hałas wchodzącego nie zbudziły go. Żurba postanowił u lampy zapalić cygaro i odejść, lecz mimowolnie oko jego padło na zapisane arkusze papieru i przylgnęło do nich.

Zastanowiło go nietylko pisanie bardzo wprawne, lecz kilka wyrazów pochwyconych, świadczących że pisał to nie tak prosty człek jak się Jałowcza wydawał. Na jednym arkuszu stała świeża data, jakby dziennika utrzymywanego przez tego osobliwszego pustelnika, a poniżej Zenon wyczytał, niechcący prawie:

„Ks. ks. Brańscy sprowadzili tu hrabiego Mościńskiego z córką, w nadziei zaswatania ks. Roberta z tą dziedziczką wielkiej fortuny. Intryga bardzo zręcznie a niewiadomo przez kogo osnuta, do której wpływać musiał ks. sufragan, grozi zupełnym powodzeniem.“

Zenon, przeczytawszy to, stanął jak osłupiały. Co ten dziennik miał znaczyć? właściwie nie godziło mu się go czytać, to prawda, lecz wyglądało to jakby na szpiegowski raport o ks. ks. Brańskich. W jednej chwili cała zagadkowość postaci Jałowczy przyszła mu na myśl.

Nie wiedział jeszcze co począć i rozmyślał, gdy od strony łoża dało się słyszeć westchnienie, jakby poprzedzające przebudzenie. Jałowcza przewrócił się na łożu.

Zenon tymczasem uznał najwłaściwszém wy-
mknąć się conajprędzej, nie będąc postrzeżonym,
a nazajutrz obmyślić środki rozciągnięcia nadzoru
nad Jałowczą. Koń stał przed gankiem. Siadł nań
conajprędzej, ale zamiast do domu, pojechał do
Gozdowskiego który zwykle pijał jeszcze zielo-
ną herbatę wróciwszy z pałacu i dopiero spać się
kładał po niej. Jakoż zastał szanownego plenipo-
tenta w wygodnym szlafroku, z filiżaneczką nek-
taru i cygarem przechadzającego się po pokoju
w najróżowszym humorze. Zdziwił się niezmiernie
odwiedzinom spóźnionym.

— Przepraszam najmocniej pana, ale ponieważ
nie śpisz jeszcze, pozwolisz mi zadać sobie pytań
parę, rzekł wchodząc Zenon.

— Napije się pan herbaty? zielona i przedziw-
na, leciuchna, tak jak ją Chińczycy piją — rzekł
Gozdowski. W tych dniach, widzi pan, jemy okru-
tnie wiele i bardzo smacznych rzeczy, a nie tak
nie przetrawia, jak lekka, gorąca herbata zielona.

Zenon uśmiechnął się z tej troskliwości o zdro-
wie szanownego Gozdowskiego.

— Powiedz mi pan — przerwał — z kąd to się
wziął i co to za jeden jest ten Jałowcza?

— He? Jałowcza? ten w dworku pod ogrodem?
rozsmiał się Gozdowski, ah! to sobie dobre biedne
człeczysko. Od kilku lat zarabia tu na życie jak
może. A coż pan ma do niego?

— Nic — rzekł Zenon — ale... ale chciałbym wiedzieć co to téż za człowiek? kto? z kąd?

— Czy co przewinił? uchowaj Boże! podchwycił Gozdowski, to go zaraz jutro wyrzucić każę.

— Nie, ale miałem osobliwsze zdarzenie przed chwilą, kończył Zenon. Wszedłem cygaro zapalić do jego chaty, znalazłem go śpiącego na tapczanie, a na stoliku zapisane arkusze, jak gdyby szczegółowy dziennik o Brańsku, jakby jaki raport tajny o nas wszystkich. Rzuciłem tylko okiem na nie, coś mi się to podejrzaném wydaje.

Gozdowski ramionami ruszył.

— At, dziwak! nie ma co robić, to skrobie po papierze. Ale cóż to nam szkodzić może?

— Przyznasz że z tym dziennikiem porównawszy całe postępowanie tego człowieka, którego tu wszędzie pełno, jakoś to się może wydawać podejrzaném.

— Kochany panie Zenonie, począł się śmiać Gozdowski, ale cóż tu on u nas wysledzi? wszakże nie konspirujemy.

— Nie rozumiesz mnie — począł Zenon, nie o to mi idzie, ale książki są w ciężkich interesach, można się zawsze lękać jakichś intryg wierzycieli czyhających na ich mienie.

Gozdowski wziął się za boki od śmiechu.

— A, panie Zenonie dobrodzieju, zawołał — to czyste marzenia! My nieprzyjaciół nie mamy. Kto?

gdzie? Jałowcza jest poprostu pół-waryat i choruje sobie na gryzmołę.

— Ale ten dziennik, którego kilka słów chwyciłem tylko! rzekł Zenon, był w ten sposób zredagowany, że czuć w nim było niechęć ku książętom.

Gozdowski się oburzył.

— A dlaczegożes pan go nie zabrał? zawołał, trzeba było wziąć.

— Jakiem prawem? z cudzego domu, wykraść? tegom się dopuścić nie mogł.

— Co to tam u takiego w podkomorném siedzącego człowieka, podejrzane papiéry! A to nie było co robić ceremonii. Ja jutro rano biorę ludzi, osaczam dworek i konfiskuję wszystko.

Zenon popatrzył, zdziwiony tą stanowczością Gozdowskiego.

— Słowo honoru że to uczynię, i gdyby nie noc i nie to że ludzi teraz nie znajdę, natychmiastbym to spełnił.

— A jeśli to istotnie tylko dziwak i próżniak gryzmołący, ot tak nie wiedząc co począć?

— No to mu się odda co się zabrało i da parę złotych, za to że się nabrał strachu.

Zenon wypił herbatę i po krótkiej rozmowie pożegnawszy plenipotentą, pojechał do domu. Nazajutrz rano, gdy wracał do Brańska, ciekawość go wzięła zajrzeć do Gozdowskiego. Stał właśnie na ganku, ale pomieszany jakiś i nie swój. Zenon, nie zsiadając z konia, pozdrowił go, a plenipotent

dał mu znak, ażeby wszedł z nim do pokoju, bo mu coś ma powiedzieć.

— A wiesz pan co, odezwał się, zaciągnąwszy do kąta pana Zenona— otóż dziś do dnia, bo byłem niespokojny, napadłem na dworek Jałowczy...

— I cóż?

— Ani Jałowczy, ani papierów już nie było— drzwi otwarte, chata pusta, a na ścianie przybił jeszcze papier z napisem:— „*Pomieszkanie letnie do wynajęcia*,” jakby na szyderstwo.

Zenon zaciął usta.

— Widzisz pan, moje podejrzenia nie były bez podstawy.

— Ale cóż to może być? począł Gozdowski. Znać wczoraj zbudził się, domyślił czegoś, posłyszał gdyś pan odjeżdżał, a że się czuł nieczystym na sumieniu, nocą drapnął. Posłałem pogoń, ale to się na nic nie zdało. Manatków nie miał wiele, wziął na plecy, poszedł w las i kto go tam złapie! Tyleście go widzieli.

Zamyślili się obaj.

— Co to u licha takiego może być?

— Nie wiem i nie rozumiem, rzekł Zenon, ale to pewna, że się lękam.

— Mnie się zdaje że to musiał być waryat, dodał Gozdowski — ja go zawsze o rodzaj fiksacyi posądzałem. Ale nie trzeba o tem mówić nikomu.

Po pięciu dopiero dniach pobytu w Brańsku, szóstego uroczyste żegnani, wysłuchawszy mszy świętej odprawionej w kaplicy pałacowej na intencją podróżnych odebrawszy błogosławieństwo, hrabia i hrabianka wyruszyli do Warszawy. Książę Robert towarzyszył im. Wprawdzie w przeciągu tych kilku dni nie było mowy jawnie o żadnych projektach, oprócz między generałem a hrabią—zbliżono się jednak bardzo, zapoznano i obie strony były najpewniejsze, iż małżeństwo to do skutku dojść musi.

Pomiędzy młodém państwem stosunek był szczególny. Panna Alfonsyna, raz sobie powiedziawszy że się zakochała, czyniła z każdym dniem zadziwiające postępy. Ks. Robert jak był pierwszego dnia, takim do ostatka pozostał. Zenon żadnego wyznania dobyć z niego nie mógł, lecz baczném okiem śledząc, przekonywał się że, niestety, choć książę grał narzuconą rolę kochanka z wielkiém bohaterstwem, ciążyła mu ona coraz bardziej.

W przeddzień wyjazdu do Warszawy, Zenon zszedł przyjaciela wśród poprzewracanych papierów, w fotelu, zamysłonego rozpaczliwie, tak że wniścicia jego nie słyszał. Na pierwsze słowo wyrzeczone zerwał się przerażony, prawie nieprzytomny.

— Książę się wybiérasz w drogę?

— Ja? w drogę? a tak! jadę.

Robert przeleciał parę razy po pokoju, otworzył

okno, pociągnął powietrza pełną piersią, tchnął i potarł czoło.

— Zenonie!—zawołał—Zenonie! to trzeba nadludzkiej siły ażeby dotrwać. Ty nie wiesz... O! to coś okropnego!

— Mości księżę, przerwał Zenon, lękając się aby ich nie posłyszano.

Robert ścisnął jego rękę.

— Masz słuszność, należy wytrwać do końca, zawołał śmiejąc się—ani słowa. *Tout est pour le mieux, dans le meilleur des mondes.* Ja jestem rozpieszczony kapryśnik, niegodziwy syn i brat, przyjaciel niewdzięczny.

Widząc go tak poruszonym, Zenon starał się łagodnymi słowy uśmierzyć ten wybuch.

— Nie bój się —odparł uspokajając się Robert, nie bój się, ja wytrwam do końca. Ale się nie powinienes dziwować chwilom dzikiego takiego szalu; jeschcem się z położeniem mojem nie oswoił.

Przed samym wyjazdem, późno w noc, księżę Norbert kazał syna wezwać do siebie.

Widzieliśmy dotąd zdala tylko tę patryarchalną postać głowy domu.

Szambelan był pozostałością XVIII w., którą los przesadził w epokę nową, a szczególne okoliczności oszczędziły jej walki i cierpienia, z powodu zmian zaszłych dokoła, po większej części dla niej zakrytych. Zepsucie wieku nie tknęło tego człowieka, który urodziwszy się w chwili rozpro-

szenia Barszczan, wychowany w tradycyjalnych ideach starych, dorastający przy królewskim dworze, po abdykacyi Stanisława Augusta zamknął się na wsi i mógł, szanowany przez całą rodzinę, pozostać nietkniętym, nieświadomym zmian, złomkiem jakimś przeszłości i archeologicznym zabytkiem. Dostojeństwo głowy rodziny nosił książę Norbert jak rodzaj kapłaństwa, a w rzeczach dotyczących się rodu i familii nie dopuszczał nikomu, nawet ks. sufraganowi, którego wielce szanował, wyrokować i stanowić. Od niego radę tylko przyjmował, generała uważał za subordynowanego sobie i niemal za lekkomyślnego młokosa, mimo jego lat siedemdziesięciu.

Utrzymanie powagi, blasku i znaczenia domu było największą jego troską. Co się tyczy materialnych podstaw bytu familii, o tych staranie zdawał na wierne sługi, wcale się o szczegóły nie troszcząc. Głęboką mając wiarę w jakieś posłannictwo stanu do którego się liczył i pojedynczych członków jego, był pewien że rzeczą jest Opatrzności starać się o zachowanie narzędzi któreimi się posługiwała. Nie przypuszczał nawet aby książęta Brańscy upaść, lub choćby zachwiać się mogli.

Cały też nieszczęśliwy przebieg ich interesów, który co chwila stawał się groźniejszym, był mu zupełnie obcym. Nie mówiono mu o tem, nie chcąc martwić napróżno starego, on zaś z tem co sobie

do rozporządzenia zostawił rządził się tak, jak gdyby zawsze jeszcze Brańscy należeli do najmożniejszych rodzin w kraju.

Nie można mu się było ani sprzeciwić, ani wyperswadować że mogło być inaczej. Często też w tém szczęśliwém zaslepieniu wydawał śmiało asygnacye do kasy, czynił podarunki, rozporządzał summami, których dostarczyć nie było można. Generał, sufragan, Gozdowski wysilali się na to, żeby jaknajrzęczniej ukryć przed nim stan rzeczywisty interesów. Zaledwie w ostatnich czasach dał się przekonać, iż skutkiem ogólnych w kraju zaszłych zmian, przychody się zmniejszyły i interesa utrudniły.

O grożącym niebezpieczeństwie nie miał ani pojęcia. Wszystko też co go otaczało, trwając dotąd bez zmiany, utwierdzało go w przekonaniu, iż Brańscy świetnie stoją. Mówił o dobrach i dochodach z najgłębszém przekonaniem, iż pierwsze są źródłem niewyczerpaném, a drugie starczą na wszelkie fantazyje wszystkich członków rodziny.

Z tych złudzeń po cóż go było wyrwać? któżby miał odwagę osiemdziesięcioletniego starca uderzyć jak piorunem, odsłaniając przed nim nagą i straszną rzeczywistość; która przyszła stopniami, niepostrzeżona, a dziś na nią chyba cud mógł być ratunkiem? Szambelan niewidzialnemi ofiarami rodziny mógł pozostać przy wszystkich swych dawnych nawyknieniach. Odstępując synowi dóbr

i zrzekając się nań Brańska, wymówił sobie stary tysiąc czerwonych złotych, które za bagatelną rzecz uważał, mając za wielką ofiarę ze swęj strony, iż się niemi zaspokoił. Oprócz tego zawarował sobie utrzymanie do jakiego przywykł, sześć koni do karęty, a cztery do powozu, i mnóstwo innych wygódek kosztownych. Nie wiedział że tysiąc czerwonych złotych owe płacono zawsze prawie z pięćniedzy gdzieś pożyczanych, i szafował niemi po staremu, obdarzając sługi i wiernych klientów.

Szambelan podobnym był do ślepego, przed którym ukrywają straty, bo ich dostrzedz nie może. Często bardzo gniewał się na skąpstwo i oszczędność syna, na zaniedbanie pewnych okazałych występów tradycyjalnych, do których, według niego, imię i położenie obowiązywało. Generał tłumaczył to jak umiał.

Pokoje które zajmował książę Norbert urządzone były z wielkim przepychem. Gromadziło się w nich co dom miał najkosztowniejszego. Służba osobista księcia była liczna, dobrana i zawsze czuć obowiązana. Książę Norbert nie rozumiał tego, by mu na czém mogło zbywać, a w razie braku, gniewał się na zaniedbanie, na opieszalność, nie przypuszczając niedostatku.

Dzień i tryb życia był jaknajdrobnostkowiej programem niezmiennym objęty. Książę, nie mogąc spać, budził się zwykle o siódmęj i dzwonił na dyżurnego sługę, który ubrany spędzał noc w krze-

śle w przedpokoju. Wnoszono świecę, jeśli zimą mrok był, książę wstawał, wdziewał ranne ubranie i klękał do modlitwy. Punkt w chwili gdy się ona kończyła, wnoszono kawę z biskoptami. Po kawie czytał książę dzienniki, a następnie przyjmował członków rodziny, syna, córkę, generała.

Godzinę przed obiadem zajmowała korespondencya, do której trzymany był sekretarz. Obowiązkiem jego było dyktowane listy wygotowywać do podpisu i wciągać treść ich lub całość do księgi na to przygotowanej. Na obiad wychodził książę Norbert do sali jadalnej, lub jadał go u siebie. W takim razie zawsze kogós dla towarzystwa zapraszał, gdyż jadać sam nie lubił.

Po obiedzie i kawie stary lubił grać parę partyj bilardu z panem Burskim lub ks. Serafinem, albo z jednym z gości. W lecie przechadzka po ogrodzie, zimą słuchanie czytania głośnego, które sekretarz miał sobie powierzone, zajmowało czas do herbaty i wieczery.

O godzinie dziesiątej następowało uroczyste dobranoc i książę usuwał się do swych pokojów, gdzie pomodliwszy się jeszcze, próbował spać. W razie gdy to się nie udało, wołano sekretarza, który czytał, dopóki książę nie usnął.

Tryb ten życia o niewiele się zmieniał w niedziele i święta uroczyste. Niektóre tylko z nich obchodził książę ze szczególnymi praktykami w kaplicy lub kościele parafialnym, w którym zjawiał

się kilka razy do roku. Naówczas noszono go tam w staroswieckiej rzeźbionej lektyce i sadzano w łoży oszklonej i ogrzanej. Boże Narodzenie, Zapusty, Wielkanoc, Zielone święta, imieniny wszystkie musiały być obchodzone z wielką wystawą; szambelan nie dopuszczał, ażeby się to na włos zmienić miało.

Całe, najdalsze sąsiedztwo zjeżdżało się na przepyszne święcone, w ostatni wtorek bądź co bądź był bal, na św. Norbert piramidy cukrowe i stół na sto osób.

Z tysiąca owych dukatów, które niezawsze wydawał książę szambelan, odprawiał co lat kilka podróż do Karlsbadu. Naówczas szła z nim sześciokonna karéta, czérokonny kocz i furgon, jechała służba i podróżowało się prawdziwie po książęcemu, a tymczasem w domu brakło nieraz pierwszych niemal potrzeb do życia. Chwytano u Żydów, długi się mnożyły, a procenta lichwiarskie rosły.

Godzina w której książę Robert został do ojca wezwany, nadawała temu posłuchaniu znaczenie wielkie, wyjątkowe. Kamerdyner przyszedł do niego i oznajmił, że książę oczekuje w swoim gabinecie; ks. Robert pospieszył. Zastał ojca w istocie w fotelu i ubraniu wieczorném, siedzącego z wielką powagą i zdającego się go niecierpliwie wyglądać. Po ucałowaniu ręki, ojciec wskazał panu rotmistrzowi (tak go nazywał często) krzesło

naprzeciw siebie. Wprzód jeszcze kamerdynerowi wydane zostały rozkazy, ażeby służbę poddalał.

— Siadaj, rotmistrzu, rzekł ojciec—mamy z sobą do pomówienia. Nie chciałem byś się wybrał w podróż, bez porozumienia ze mną co do dalszego postępowania. W ostatnich dniach zaszły pewne okoliczności, które mogą za sobą następstwa ważne pociągnąć. Przybycie tego poczciwego Mościńskiego z córką, zawiązane stosunki, wzajemnie uczuta właściwość ściślejszego zbliżenia naszych rodzin, wkładają na mnie obowiązek otwartego pomówienia z tobą. Mówiono mi iż ci się Alfonsyna podobała? jakże?

Ks. Robert spuścił oczy.

— Jeżeli z innych względów zdawać się będzie ojcowi małżeństwo to właściwem, nie mam przeciwko temu.

— *C'est bien dit*—odezwał się stary, grając palcami po złotej tabakierce — jest to posłuszeństwo synowskie; ale jakże tam z sercem?

Robert, nie chcąc ani kłamać, ani się przyznać do prawdy, nie odpowiedział nic; można to sobie było tłumaczyć, jak się podobało. Księżę stary popatrzył na syna i mówił dalej:

— Jedziesz z hrabią do Warszawy, to bardzo dobrze, pochwalam tę myśl. Żyjemy w czasach, w których o stosowne dla nas związki trudno; wiele familj zubożało, niekażdemu udało się jak nam

utrzymać przy dawném mieniu. Mosciński zebrał znaczną fortunę, panna dobrze wychowana, poważna, rozumna; jest to ożenienie się jeśli nie takie o jakim byłbym marzył dla ciebie, to przynajmniej bardzo przyzwoite. Więc jedziesz? dorzucił stary—to dobrze. Zwrócić chciałem uwagę twoją, bo często widzę lekceważenie pewne zewnętrznych form, moje serce, iż należy przystąpić jak Brańskiemu przystoi. Należy wziąć z sobą najmniej tysiąc czerwonych złotych, karétkę, najlepszych koni cztery, dwóch służących conajmniej, furgon dla ludzi, a w Warszawie przodem posłać, aby najęto apartament odpowiedni.

Robert nie przerywał. Dziwnie mu brzmiały wyrazy ojca, bo był zmuszonym pożyczyć u generała i Zenona trochę pieniędzy jakich podróz ta wymagała, a zamarzyć nawet nie było podobna, by ją z przepychem nakazanym przez szambelana odbywać.

— Zauważyłem to w tobie, kochany rotmistrzu, mówił dalej książę—iż jesteś nazbyt często oszczędny i upodobania masz zbyt proste. Nie jestem ja za niepotrzebną rozrzutnością i przepychem przesadzonym: lecz, *noblesse oblige*, jak cię widzą tak cię piszą. Po zdaniu mém interesów wszystkich na ciebie, stałeś się niejako głową i reprezentantem rodziny, masz obowiązki; książę Brański nie może się pokazać jak pierwszy lepszy na świe-

cie, *il dérogerait*. Proszę cię abys o tém pamiętał, bardzo proszę.

Książę Robert i na to jeszcze nie wiedział co odpowiedzieć: skłonił głowę. Stary wziął mu za dobre to pełne uszanowania milczenie i posłuszeństwo.

— A teraz, rzekł—jeszcze jedna prośba do waćpana. Jesliby już rzeczy skłaniały się ku małżeństwu, jesliby nastąpiło oświadczenie, na które daję ewentualne przyzwolenie moje, wypadnie mi podarek jakiś uczynić przyszłej synowój. Z klejnotów familijnych nie mamy nic stosownego i mało nam ich pozostało, a główne należą do księżniczki Stelli; trzeba więc kupić jakiś kanak, lub dyadem, lub co teraz noszą, conajmniej wartości tysiąca czerwonych złotych. Szczęściem udało mi się oszczędzać potrosze z mojej pensyjki i będę tę sumę miał w gotówce. Proszę jednak nie obracać jej na ten cel, ani na żaden inny, chybaby rzeczy przychodziły do skutku.

To mówiąc, książę zielony woreczek z dukatami podsunął synowi, który go w rękę pocałował. Pomyślał, biorąc je, jakby się dobrze przypadają na opędzenie jednego z tych pilnych i gryzących długów, którym się obronić nie było podobna; ale ojciec ani mógł nawet wiedzieć o nich.

Po chwili milczenia, szambelan wyciągnął ręce i ująwszy głowę syna schyloną, przycisnął ją całując do piersi. Łzy stanęły mu w oczach.

— Mój drogi Robercie — dodał głosem drżącym, jedziesz... losy twe i przyszłość rozstrzygnąć się mogą, niechże ci po staremu błogosławieństwo ojca towarzyszy, niech Bóg Abrahamów i Jakubów da ci szczęście na jakie zasłużyłeś. Byłeś zawsze dobrém, czułem, posłuszném i zacném dziećciem, nosiłeś imię pocziwe, które po wielkich przodkach wzięłeś w spadku, umiejąc szanować drogą puściznę. Bądź więc błogosławiony, niech Bóg zleję na ciebie wszystkie te dary, jakich serce starego ojca ci życzy. Idź, z Bogiem i w imię Boże, zawsze drogą prawą a świętą, na której znajdziesz ślady stóp przodków naszych. W imię Ojca i Syna i Ducha świętego, w drogę pokoju i szczęśliwości!

Starzec mówił to z dziwną powagą i namaszczaniem; mimowolnie Robert ukląkł przed nim, łzy z wyschłych rzuciły mu się powiek, ucałował drżące ręce. Popłakali się obaj.

— Niech Bóg błogosławi! dodał stary za odchodzącym, a pisz mi co się stanie. Wolę Bożą w tém widzę, nie trzeba się jęj opierać. Dobijaj, mój Robercie; umrę spokojniejszym, widząc cię szczęśliwym.

Książę Robert, wzruszony i pomieszany, powrócił do swojego mieszkania i stał chwilę jak odu-

rzony, nie mogąc myśli zebrać, gdy za sobą głos generała usłyszał.

— Zapal-że świecę, dlaczego u ciebie ciemno, co to jest?

— Powracam od ojca—odezwał się Robert.

— A ja chcę z tobą pomówić, wtrącił generał, jutro jedziesz...

Światło zabłysło, księżę Hugon spojrział na twarz synowca i przeląkł się jój hładości.

— Co ci jest?

— Wzruszyła mnie rozmowa i błogosławieństwo ojcowskie—rzekł ks. Robert.

— To dobrze, tak być powinno—dodał Hugon, ja ci jednak *calmans* przynoszę, bo mi się zdaje że przychodzę z dosyć dobrą nowiną. Mówilem poufnie z tym poczciwym Mościńskim. Jemu się nieborakowi zdaje że mnie schwycił, bo tak pragnął tego małżeństwa od pierwszej chwili, jak my go pożądać mogliśmy. Panna się w tobie kocha, ojciec z całych sił żąda tego połączenia, wszystko się składa dla kochanego Benjaminka naszego jak najpożądanej. A w dodatku, oto ks. sufragan gdzieś się biędaczysko zapożyczył i przysyła ci sto dukatów jeszcze na podróż, abys skąpic nie potrzebował.

Robert stał jakoś, nie mogąc się temi wszystkimi dobrymi wiadomościami rozweselić; generał popatrzył nań i sposepniał.

— No, i cóż ty na to?

— Wszystko jaknajlepiej idzie, rzekł chłodno Robert.

— Nie wydajesz mi się jednak szczęśliwym. Młody książę zmilczał.

— Żal mi cię, hm, szczerze; ale, kochany Robercie, dodał, zniżając głos — trzeba się poddać przeznaczeniu, *et faire bonne mine au mauvais jeu*. Gra zresztą tak bardzo zła nie jest, ale ty, kochanie moje, ja się na tém znam, masz jakiś stary ciężar na sercu. Kto go nie miał? Nawet ja, zakonnik siedemdziesiątletni, łysy, siwy, wzdycham jeszcze do marzeń młodzieńczych. Trzeba umieć wesoło znosić te nagniotki przeszłości. Panna młoda, bogata, dobrze wychowana, ojciec jak sztukamięsa kruchy, nie można od losu więcej wymagać. Nawet tę kościstą Angielkę, potrafilśmy zmiękczyć i uczynić nam przyjazną.

— Ja też się nie skarzę na nic, rzekł Robert.

— A jednak, wtrącił generał — ale, niech cię Bóg błogosławi i... dobranoc.

Książę Hugon ucałował synowca i wyszedł.

Robert rzucił się w krzesło przed stolikiem i zadumał. Walczył z sobą widocznie jeszcze. Nagle otworzył szufladę, oburącz wyjął z niej stos papierów i zaniósł go do komina, wydobyl wszystkie świstki które tam jeszcze pozostały, rzucając je na całopalenie. Na dnie ostatni leżał portret kobiety; w czarnych ramach hebanowych, uśmiechała mu się twarz jej młoda, wesoła nadziejami, szczęściem,

wdziękiem kwiatu wiosennego; wlepił w nie oczy, jakby patrzył raz ostatni i żegnał z marzeń życia ostatnie; ręce mu drżały, jakby się wahał czy go do ust i piersi przycisnąć, czy rzucić na stos przygotowany. Siedział tak, zdrętwiały napół, długo, ale odwagi w chwili stanowczej zabrakło.

— Dlaczegożbym miał go zniszczyć? rzekł w duchu — ona sama go zabiła we mnie; to cień i widmo tego co już nie istnieje, to tylko zimna historia przeszłości i kamień na grobowcu.

Wstał, ukląkł, począł znowu zbierać rozproszone listy i układać je nazad do biura. Nad niektórymi z nich, trzymając je przed sobą, zatrzymywał się, czytał i po twarzy chodziły mu wrażenia, odrodzone wspomnieniami.

— Po co mam palić je? To suche liście z drzewa które się komu innemu zieleni; niech leżą i świadczą że był, lub sądził się choć godzinę w życiu szczęśliwym. Wszystko to grobowe szmaty!

I powróciły znowu skazane na stos do stolika. Robert rzucił w niego portret i zamknął.

Nazajutrz rano po nabożeństwie powozy ruszyły z przed ganku pałacowego, na którym stali szambelan, generał, Stella i cały dwór brański. Wszyscy odeszli już, a jedna panna Antonina Żurbianka została na ławce, patrząc jeszcze z jakimś dziwnymi w oczach łzami. Były one tém dziwniejsze, iż nikt weselszym nie mógł być od panny Antoniny, ani mniej mieć do płaczu powodów.

Szelest jakiś daleki rozbudził ją z tego zadumania: otarła prędko powieki, usta się uśmiechnęły, oczy błysnęły, zakręciła się i poleciała.

Ks. Serafin z pod krzyża nad drogą żegnał różańcem swoim oddalające się powozy, a Wincen-towicz szeptał do Burskiego, stojącego z rękami w tył założonemi:

— Jakkolwiek goście mili i obiadki były smaczne, ale dobrze że sobie pojechali, bo spokoju nie mieliśmy... Zwierzyny? z kądem im o tej porze jej dostać? Ryby... a tego, a owego, a tu podwieczorek pod dębami, a jutro śniadanie w brzezynie, a to przejażdżka po stawie, a to na grzyby, a to i a niewiedzieć już co... i wszystko się krupilo na ks. Serafinie i na mnie; bo asan jesteś do niczego, tylko do gotowej miski.

— Ot! ot! ozwał się Burski, a małościę się mnie naposylali?

— A mało się ja sam nalatal? odpowiedział Wincen-towicz, i rąk sobie fajerwerkami napalił— i hrabia mi nawet Bóg zapłać nie powiedział... Jeszcze na tę najpilniejszą porę, niewiedzieć czego najlepszy mój pomocnik mi umknął...

— Jaki?

— A Jałowcza! Musiał go Gozdowski nastraszyć, czy sobie sprzykrzył już Brańsk i jednej nocy, nie powiedziawszy nawet: bywajcie zdrowi, kopnął się w świat...

— Dawno się tego można było spodziwać,

mruknął Burski — waćpan go lubiłeś, a ja ci powiadam, że to był nieczysty człowiek. On robił co mu kto kazał, ale to były pokrywki, bo robił téż cós o czém my wszyscy nie wiedzieliśmy...

— Cóż fałszywą monetę?

— Kat go wie, może.

— Zkądże to pan o tém wiész? szydersko zapytał Wincentowicz.

— Ja? bo ja milczę a patrzę — rzekł spokojnie Burski—i nikt tego nie wie, co ja wiem i o nim i o innych.

— Naprzykład? kusił Wincentowicz.

— I tegoście ślepi nie widzieli, że do niego różni ludzie przybywali, z którymi się on zamykał, i tego nie widzieliście, że wszędzie nosa wścibiał, pytał, notował, zapisywał... Razu jednego *insperatę* późno w noc zastałem u niego jakiegoś gościa, z którym papiéry przeglądali... Gdym wszedł, jakby ich piorun raził; udałem że nic nie rozumiem i pozwoliłem im wmówić sobie, że to był kramarz, z którym Jałowcza miał rachunki o te swoje struganiny... anom dobrze widział, że papiéry jakies, nie registra przepatrywali...

— Tak—i milczałeś a nie mówiłeś nic, dopiero dziś, po harapie—krzyknął Wincentowicz—hę?

— Cóżem miał mówić? co? bylibyście mnie mieli za fiksata i śmieli się, jak zawsze...

To mówiąc, Burski, nadąwszy się, poszedł da-

lej, a Wincentowicz, mocno zadumany, długo jak wkuty w miejscu pozostał.

Gozdowski także zaniepokojonym się uczuł historią Jałowczy i nagłym jego zniknięciem. Jakkolwiek ten plenipotent unikał zbytecznej pracy i nie poczuwał się do obowiązku przesadzonej zabiegliwości — na ten raz ciekawość nawet rozbudzona zmusiła go do śledzenia człowieka, który jak niewiedzieć z kąd zjawił się, tak teraz niewiedzieć gdzie przepadł, a co najgorzej — niewiedziano też co siedząc w tym dworku porabiał. Gozdowski był tak dotknięty tém, że mu się dał oszukać i dozwolił spokojnie siedzieć na gruncie, iż teraz najściślej chciał prowadzić śledztwo co do tego człowieka. Ponieważ Jałowcza odwoływał się do świadectwa dworskich ks. sufragana, że jako tokarz mieszkał w miasteczku, przy piérwszej sposobności plenipotent począł badanie na miejscu w którym przebywał.

Tu niełatwo było dopytać się o owego mniemane go tokarza. Okazało się, że w istocie przez czas jakiś toczył dla Żydka, ale zarazem zajmował się wielu rzeczami do tego rzemiosła nienależącemi, mianowicie prośby pisywał i był prawnym doradcą procesujących się, listy redagował tym co się krzyżem świętym na nich podpisywali... i t. p. Zkąd zaś do miasteczka przybył, o tém nikt dokładnie nie wiedział. Postać była zagadkowa i dziwna... jakiś rozbitek, który szukał wypoczyn-

ku na łądzie... Przetrzęsanie dworku opuszczonego nagle nic o nim nauczyć też nie mogło; za piecem tylko i w śmieciach w sieni nagromadzonych znaleziono wielką ilość podartych papierów, które, po rozpoznaniu, odnosiły się wszystkie do interesów książąt Brańskich. Były tam i przybliżone rachunki ich długów, i zaległe procenta, i zbierane wiadomości o dochodach, i od oka spisane inwentarze folwarków, i różne notatki tyczące gospodarstwa i ruchomości. Pan Gozdowski nie mógł się wydziwić, zkąd ten człowiek to wszystko brał i na co mu się to przydać mogło... Raptularze te rzucono w ogień, a zagadka pozostała zagadką.

Życie pana mecenasa Hartknocha, jak wielu jego towarzyszków, dzieliło się na dwie ściśle od siebie odgraniczone części — i w jednym człowieku mieściło się, można powiedzieć, dwóch ludzi całkiem do siebie niepodobnych. Jeden z nich zajmował się pilnie przez pół dnia interesami klientów swoich, bardzo licznych, gdyż Hartknoch uchodził za jednego z najpraktyczniejszych prawników — drugi, po zamknięciu kancelaryi, zabawiał się i czas przepędzał jak mógł najprzyjemniej. Kancelarya nawet znajdująca się przy Miodowej, umyślnie może odłączoną była całkowicie od pry-

watnego mieszkania mecenasa, który zajmował piękny apartament na Krakowskiem. Ludzie dobrze znający go, utrzymywali nawet, iż miał dwie odrębne fizyognomie, jedną urzędową, chłodną, zamysloną, poważną, drugą domową, uprzejmą, wesołą i miłą. P. mecenas nie był żonatym, lecz dom utrzymywał otwarty, na stopie bardzo świetnej i niemal co wieczora miał u siebie gości, zebrania, małego wista, wesołą pogadankę, dobrą wieczerzę... Schodzili się doń ludzie jak on potrzebujący po pracy wytchnienia i rozrywki, rozprawiano o literaturze, o sztuce, o teatrze zwłaszcza i muzyce, których mecenas był wielkim znawcą i miłośnikiem. Choć się z tém nie popisywał, przyznawano mu parę dowcipnych komedyjek, grywanych z powodzeniem w teatrze Rozmaitości, pod pół - przezroczystym pseudonimem Twardokostskiego.

Hartknoch należał téż do najsurowszych sędziów gry artystów, miał swe krzesło roczne na obu scenach i zajmował się gorąco każdą nowością i każdym debiutem zjawiającego się artysty. Nie poznałby go był, kto po wieczorze spędzonym na miłej gawędzie w jego domu, nazajutrz rano zaszedł na ulicę Miodową. Tu on był tylko prawnikiem, tylko czynnym obrońcą i doradcą swoich klientów; słowa się odeń dopytać nie było można o tém co go wczoraj jeszcze najgoręcej zajmowało. Kancelarya zawsze pełna, przy znacznej li-

czbie sekretarzy i pomocników zaledwie wydołac mogła napływającym na odgłos jego zręczności i gorliwości pacyentom... Trafiło się nawet, iż ci co się opóźnili na Miodową, gonili go potém i szukali na Krakowskiém, lecz napróżno. Hartknoch przyjmował grzecznie przybyłych, ale nielitościwie odsyłał ich do kancelaryi. Wieczorem za nic w świecie nie byłby dał konsultacyi, ani się zajął żadnym interesem.

Pomimo téj surowości, nie zbywało mu na pracy, dochody miał znaczne i wszyscy utrzymywali, że się szybko dorabiał majątku; klient chętnie czekał, byle mu interesu nie odrzucono, byle miał za sobą tak głośnego prawnika.

W prywatném życiu mecenas był człowiekiem rzadkiej delikatności a nawet wspaniałości; nie skąpił ani na życie, ani na ofiary, pieniędzmi sypał i nie żałował wcale na to, co mu przyjemność robiło lub zadowalało fantazyje artystyczne; — w urzędowém, z chłodem osobliwszym i obojętnością zupełną, podejmował się spraw nawet najmniej przyjemnych a niezawsze czystych. Interes dla niego nie miał strony moralnej, ale był zadaniem, którego wartość stanowiło przezwycięzenie trudności. Chętnie i chciwie chwycił takie, o których inni zrozpaczyli, budziły one jego działalność umysłową—grał jakby partyą szachów z przeciwnikami i wysiłał wszystką swą wiedzę i zdolności; aby koniecznie zwyciężyć.

Utrzymywał zresztą, iż o uczciwość interesów powinny się troszczyć strony bojujące, których on był tylko narzędziem. Teoryi tej wartości rozbiierać nie myślimy, to pewna, że jej mecenas ze spokojnem sumieniem używał. Cisnęli się téż doń zdesperowani i tacy, których sprawy polegały na jaknajrzęczniejszych referatach. Prawie bezprzykładnem było, aby Hartknoch kiedy przegrał; jeśli widział że rzecz była w istocie niemożliwą, natówczas przyjmując sprawy nie chciał. Człowiek był, bądź co bądź oryginalny, miał własne wyobrażenia, o które sporów nie toczył, ale według nich postępował.

Po powrocie z wycieczki, w ciągu której wstępował do Lublina i zajeżdżał do Brańska, mecenas powrócił do dawnego trybu życia, dał sobie tylko słowo, jak mówił, iż podróży więcej odbywać nie będzie, gdyż w nich traci się zbyt dużo czasu, doznaje trudów wiele, a gra świecy nie warta.

Właśnie w jaknajweselszém usposobieniu zasiadano jednego wieczoru do herbaty u mecenasa i zwawie toczyły się rozprawy o graniej przed dwoma dniami komedyi konkursowej, gdy służący wszedł zakłopotany i doniósł panu Hartknochowi, iż jakiś nieznamy jegomość usilnie się z nim widzieć domaga; nazwiska powiedzieć nie chce, ale prosi niezwłocznie choć o krótkie posłuchanie, o dwa słowa.

Na wypadek takich natrętów miał mecenas osobny gabinet, do którego wnijsie było z sieni, tam chwilowo przyjmował ich i odprawiał do kancelaryi; nigdy ich jednak nie puszczano do salonu, by swobodnej atmosfery jego oddechem swym nie zatruli. Z wyrazem gniewu prawie pan Hartknoch wstał od stolika i skierował się ku gabinetowi, do którego służący już był wpnścił owego utrapionego, nieproszonego gościa.

— Wracam natychmiast—rzekł do przyjaciół.

W gabinecie paliła się lampa na stoliczku, nieopodal od progu stał w półcieniu nieznamy ję gomość, ze zwitkiem papierów pod pachę. Mecenas na pierwsze spojrzenie poznać go nie mógł.

Był to nizkiego wzrostu, zgarbiony trochę mężczyzna już nie młody, ubrany starannie i zdający się do lepszego należęć towarzystwa. Suknie, kapelus, laska którą trzymał w ręku, obciste rękawiczki pozapinane na guziczki, chustka od nosa wonięjąca Jockey-Clubem, lakierowane buty, przy siwych włosach i pomarszczonęj twarzy, trochę dziwnie odbijały. Mecenas zbliżył się doń żywo, wpatrzył bacznięj i okrzyk podziwienia z ust mu się wyrwał. Zdawał się oczom swym nie wierzyć, wpatrzył się i zawołał:

— Pan Zembrzyński... być-że to może?

— Ja jestem—ja—tak, tak, cichutko rzekł, witając się stary—cicho, proszę pana, cicho! Na chwi-

leczkę, czy mogę się rozmówić? bo interes mam ekstra-pilny...

— Ja, kochany panie, wieczorem i raz wyszedłszy z kancelaryi, żadnym interesem nigdy się nie zajmuję, jest to u mnie prawidłem niezmienném... Lecz—na miłość Boga! co za metamorfoza!

Zembrzyński ruszył ramionami i śmiać się zaczął stłumionym, suchym śmieśzkiem.

— Widzisz kochany łaskawco—trzeba umieć być tēm zawsze, czego okoliczności po nas wymagają. W domu człowiek żyje jak mu się podoba, wychodząc w świat, musi jak mu najwłaściwiej i najrozumniej. Otóż, widzi kochany łaskawca, wypadło mi się teraz ubrać...

— Byłbym pana nie poznał...

— Hej, w zwierciadle ja sam, powiem panu dobrodziejowi — prawie poznać się nie mogłem, ale tēm ci lepiej. Wracając do rzeczy—dodał—o interesie...

— Ja wieczorem przestaję być mecenasem, tak jak pan, wyjeżdżając z Firlejowszczyzny, zrzucasz stary szlafrok...

— A więc na żaden sposób nie możemy...

— Na żaden sposób.

Zembrzyński westchnął.

— Przyjdź pan jutro do kancelaryi przy ulicy Miodowej—rzekł mecenas.

— Do kancelaryi—nie mogę!

— Uczynię dla was wyjątek, przyjmę w domu, jeśli chcecie, ale jutro rano...

Zembrzyński westchnął znowu.

— Nieodwołalny to wyrok? spytał.

— Prawo tak chce! śmiejąc się, dodał grzecznie Hartknoch; szanując inne prawa, musimy i te, któreśmy sobie sami nadali, ściśle wypełniać— przepraszam pana...

— A, to ja przepraszam! zatem jutro— o ósmej, tu.

Mecenas się sklonił i wychodzącego przeprowadził do drzwi. Z przedpokoju słychać było wrzawliwą rozmowę w salonie. Hartknoch powrócił doń zamysłony. Napróżno go się dopytywano dlaczego tak sposepniał — nie powiedział nic — a po chwili rozmowa rozchmurzyła mu czoło. Rozprawiano przy herbacie o wszystkim, co było dnia ubiegłego pokarmem: o ludziach, o plotkach, o przybyłych do Warszawy, o składających się małżeństwach i rozkładających się stadłach... Wesołość była znów powszechną.

— Jeżeliście wczoraj nie widzieli łoży w Wielkim teatrze, która wszystkich oczy zwracała, rzekł do mecenasa ktoś z jego poufałych przyjaciół—to żałujcie... bo było zaprawdę na co patrzeć... Dla wtajemniczonych odegrał się między widzami ciekawszy może dramat w łożach, niżeli na scenie.

— Cóż to było? co? zawołano ze wszystkich stron.

Opowiadającym był niemłody już człowiek, jeden z tych Warszawiaków czystej krwi, którzy nie odjalają się nigdy prawie od miasta nad Wolę, Mokotów i Pragę, człowiek, który od lat dwudziestu nie bywał chyba na kilka godzin na jarmarku w Łowiczu. Znał on tutejsze domy, ich stosunki i najtajniejsze historie buduarów, które zresztą tajemnicą nie są chyba na dni kilka i dla tych co o nich wiedzieć nie chcą. Stary kawaler, ale udający złotego młodzika, zajmował się szczególnie kolporterstwem plotek i to mu dawało wyborne obiady bezpłatne, doskonałe wieczery, a bardzo przyjemne herbaty.

Znano go powszechnie pod nieprawdziwem nazwiskiem, przez kogoś mu nadanem, a wybornie don przyglętem—Kryszpina.

— Kryszpinie kochanie—uszy i serca otwarte na twą powieść czekają. Szeherezado najmilsza... cisza panuje! mów!...

— Mówić nie odmawiam — odchrząknąwszy ozwał się Kryszpin — lecz upokarza mnie wasza nieświadomość rzeczy powszechnie znanych i indyferentyzm na najważniejsze wypadki, którego-byscie się sromać powinni.

— Srom nasze lica okrywa! zawołano — ale mów, nieznośny Kryszpinie.

— Poczynam, za co mi wdzięczni być macie, bez przemowy — rzekł powołany. Rzecz się tak miała... Grano Fredry Damy i huzary, publiczność

była wyjątkowo świetna i liczna. Czy ją przypisać należy geniuszowi Fredry, czy dészczykowi, który kropiąc zaspany, przechadzek nie dopuszczał — zostawiam to sądowi swiatłych moich słuchaczów... W początku pierwszego aktu otworzyła się loża pierwszego piętra i — nieznana rodzina jakas z prowincyi zainstalowała się w niej tak hałasliwie, że kilka razy syknąć na nią musiano. Tym sposobem zwróciła ona na siebie wzrok publiczności, lecz raz tam padłszy, oczy się już od szanownej rodziny zajmującej lożę oderwać nie mogły. Wiécie, czcigodni słuchacze, jak Warszawiak wybrédny ma smak, jak przedziwne poczucie piękna, jakim węchem niezrównanym umie rozeznac zwierzynę od swojskiego drobiu... przepraszam... zwierzyną nazywam z lasów i błót wiejskich przybyłe istoty naiwne, cyranki, gęsi, bekasy i czaple, które w czasie jarmarków na wełnę i karnawału niekiedy przelotnie nas nawiedzają. Loża zajęta była przez tego rodzaju istoty. Siedział w niej otyły mężczyzna z orderem na szyi, rad z siebie, utuczony, z twarzą promieniejącą złotem jego kieszeni — pewien iż ściągnie uwielbienie powszechnie... Naprzeciw niego... widocznie córka, bo nie żona, żółta, nierozkwitła jeszcze piękność, niepokaźna, chuda, ale strojna jak szewc na niedzielę. Porównanie jest trywialne, nie przeczę, ale obrazowe i wyraziste. Jak indyjskie bóstwo okrywały ją klejnoty, fałszywe czy prawdziwe, nie wiem, dosyć że iskrzą-

ce się blaski nadzwyczajnemi... W pośrodku towarzyska, widocznie obco-plemienna guwernantka, czy *dame de compagnie*, raczyła przez lornetkę zgłębiać niziny parterowe i badać fizyognomie śmiertelników którzy zajmowali krzesła orkiestrowe... Wystawcie sobie taką lożę, po długim wygłodzeniu oczów naszych, przychodzącą je nakarmić jakby żywą ilustracją Bertall'a... Lornetki ze wszech stron skierowały się na nieszczęśliwe ofiary, spinano się na palce aby się lepiej przypatrzeć, z obawy by ten czarowny obraz nie zniknął. Szczęściem, wiemy to z doświadczenia, parafianin przybywający ze wsi, ani zapłaconego bifstiku na talérzu, ani kupionego na cztery akty biletu, nie pozostawia niedojezdzonym. Jeszcześmy wyliczali łańcuchy, bransolety, kanaki i klejnoty córki, a unosili się nad przepysznyemi dewizkami rozwieszonymi na aksamitnej kamizelce ojca, gdy loża otworzyła się i wszedł do niej młodzieniec... dziwnej piękności i najczystsiej paryzkiego szyku...

Znalezienie się jego obok tych klejnotów i panny, łatwo się dawały tłumaczyć bez cicerona — panna być musiała posażną jedynaczką, a młodzian wielkiego rodu a osuszonego worka pretendentem do ręki, którą ściśniętą w blade-lila rękawiczce ujrzelśmy na skraju loży i dostrzegli jak konwulsyjnie zadrżała. Na widok młodziana ojciec wstał szybko i nie uspokoił się, póki go na swém miejscu naprzeciw córki nie usadowił. Naówczas do-

piéro światło padające na piękną twarz przybyłego dało w nim wielu znajomym rozpoznać dawno już w Warszawie niewidzianego księcia Roberta Brańskiego. Zdziwienie było powszechne. Otóż na co zeszli Brańscy! szeptano z politowaniem. Wszak panowie znacie, wiecie, słyszeliście przynajmniej, kto są, a raczój czém byli książęta Brańscy! dodał opowiadający.

Głosy potakujące.—A jakże! a juściż! odezwały się zewsząd, a on mówił dalej:

— Nie spuszczaaliśmy ich tedy z oczów. Lecz tu epizodycznie wtrącić muszę pytanie: czy kto z panów swojego czasu słyszał o tragicznej historyi pięknej hrabianki Natalii i Antinouse od huzarów?

— O téj historyi, którój związek z lożą zaczyna się nam zarysowywać, rzekł mecenas, jabym pragnął bliższej informacyi. Słyszałem coś o niej, ale nie mogę powiedzieć żebym ją znał.

— Najchętniej przystaję na powtórzenie jój po raz pewnie pięćdziesiąty w życiu — mówił dalej Kryszpin, lecz nie ufam swym siłom, bo czuję że w niewłaściwym tonie bym ją opowiadał. Czy kto z panów mnie nie zastąpi?

Nikt się nie zgłosił.

— Zatem epizod pięknej Natalii i Antinouse huzara—rzekł Kryszpin—słuchajcie! Onego czasu na horyzoncie nadwisłańskim zjawił się nowo kreowany hrabia, którego zwano niżnikiem czer-

wiennym, nie wiem dlaczego. Zajmował on bardzo wysokie stanowisko, do którego dobił się przez *help you self*. Mówiono jednak że najwięcej sobie pomagał ukłonami, uniżonością i bieganiem za cudzemi wszelkiego rodzaju interesami po błocie. Zaszargał się téż, ale na to nie zważano. Szedł coraz wyżej, wyżej i dopiął się najwyższych stopni. Fama opowiadała o nim, iż niegdyś buty miał czyścić tym, którzy teraz zmuszeni byli stać u niego w przedpokoju. Talentu wielkiego nie miał, za to giętkość przedziwną, fiszbinową. Nic mu nie szkodziło zgiąć się we dwoje, dawać sobie jeździć po plecach, chodzić na rękawach, śmiać się z rzeczy smutnych, a płakać nad wesółmi. Tym sposobem dorobił się on wszystkiego czego tylko dorobić się można, nawet najtrudniejszej rzeczy dla ubogiego — majątku. Znalazły się tedy zaraz i prababkiarystokratyczne, i dziadowie dygnitarze, i herb, i szlachectwo, i koligacye. Brzydki był, czerwony, trędowaty, włos mu rosł kępami, ospa go podziobała, ręce miał burakowej barwy, masyw jak niedźwiedzie łapy, ale trzymał się prosto, suknie miał od Chabou, gwiazdę u fraka. *il avait l'air distingué*. Zachciało mu się żony i to takięj, żeby się nią można było pochwalić. Żyła naówczas w Warszawie z pensyi emerytalnej pani generałowa N. N., niewiasta głośna z wdzięków, z przygód, z podróży odbywanych z różnymi towarzyszami ze skandalików i pojedynków, które dla jej pięknych oczów

odbywano. Lecz z czasem stała się surową, nabożną, niezmiernie gorliwą o duszne zbawienie i najprzykładniejszą z kwestarek. Wychowywała ona córkę, cudo piękności, jeszcze — mówiono — piękniejszą, niż mama była za młodu. Szło o wydanie za mąż téj Wenery, ale nie ładajako: bogato i tak, ażeby na wielkim świecie, do którego zrodzoną była, świetnieć mogła. Matka pilnowała tak tego rozpękającego kwiatka, iż kroku jój bez siebie stąpić nie dała. Kochali się tłumami w nią wszyscy, panna Natalia bawiła się tém, ale niebezpieczeństwa nie było ażeby się dała obalamucić. Serce spało. A że mama uczyła jój arytmetyki i wpoila w nią pytagoresowe zasady głęboko, można było być pewnym, iż panna albo wyjdzie dobrze za mąż, lub potrafi czekać bez niecierpliwości. Piękność jój była tego rodzaju: które się do lat czterdziestu świeżuteńkiemi utrzymują.

Było już lat dwadzieścia i pięć pannie, gdy świeżo kreowany hrabia ów ujrzał ją, namyslił się krótko, oświadczył i ożenił. O kochaniu mowy być nie mogło; było to małżeństwo buraka z wiązką jaśminu. Hrabina zwyciężką stopą wstąpiła natychmiast na Olymp i Olymp powitał ją jednym uwielbienia okrzykiem. Zadowolenie miłości własnej, oklaski musiały szczęście domowe zastąpić. Piękna Natalia królowała, i tego jój było dosyć. Trzeba przyznać że tacy mężowie jak dostojny małżonek hrabiny Natalii, obudzają nawet w naj-

niewinniejszych ludziach chętkę próbowania szczęścia przy nieszczęśliwej ofercie. Hołdy sypały się u stóp piękności, lecz hr. Natalia, przyjmując je, nie dała pierwszeństwa nikomu.

Trwało to czas jakiś i już hymny sławiące cnotę bóstwa tego ukazały się w pismach peryodycznych, w których ona pod imionami Astrei, Celesty, Heliodory i Angeliki wielbioną była, gdy zjawił się na skraju Olympu Antinous huzarów, mówiąc prozą, ksiązę Robert Brański! Chociaż ksiązę Robert dziś jeszcze jest najpiękniejszym mężczyzną swojego czasu (nie przesadzam), naówczas, gdy się tu po raz pierwszy zjawił, młodziutki, świeży, wesół, mężny, szykowny, dowcipny, — okrzyczano go słusznie za cudowne zjawisko. Jedna panna strzeliła sobie z rozpacz, rozmiłowawszy się w nim, w bok i raniła niebezpiecznie wotowany gorset. Rozrywano go, chwytano, zapraszano, szalano, ksiązę Robert stał się *coqueluchem* tych pań, począwszy od najstarszych, do młodzusięńkich.

W pół roku po jego zjawieniu się rozeszła się wieść, iż hrabina Natalia śmiertelnie się w nim kocha, a on w niej. Mąż odbywał naówczas jakąś długą podróż z obowiązku, a hrabina pod opieką matki została. Romans stał się tak jawnym, iż najbardziej pobłażające osoby, znajdowały go *trop accentué*. Dziwiło to ze strony hrabiny, dotąd nad-

zwyczaj ściśle zachowującej formy i przestrzegającej przyzwoitości.

Młodzieniec zas, któremu tego nikt za winę niepoczytywał, był jak obłąkany, upojony, oszalały i nieprzytomny. Z jego strony była to widocznie owa pierwsza miłość człowieka wychowanego surowo, w zasadach chrześcijańskich, który bronił się długo grzesznej myśli i w końcu padł, gotów już wszystko poświęcić sile czarodziejskiej która go zwyciężyła. Więcej go żałowano, niż obwiniano. Byli i tacy co uniewinniali nieszczęśliwą hrabinę, skazaną na małżeństwo z człowiekiem którego kochać, ani szanować, ani znosić nie było podobna.

Miłość tych dwojga kochanków z nad brzegów Wisły zajmowała całe miasto. Sledzono ich tak, że niemal o każdym ruchu, o każdej wiadomości przejażdżce. Nie wiem już jaki nowy przedmiot, przybycie jeźdźców Renza czy orkiestry niemieckiej, — odwróciło od nich uwagę. Ale stosunek ów nieszczęsny trwał dość długo, dłużej niż one trwać pospolicie zwykły. Wszyscy co znali ks. Brańskiego mówili że niepodobna było na ziemi znaleźć nieszczęśliwiej szczęśliwego człowieka od niego. Szalał on, męczył się, upajał i rozpaczał, gryzło go sumienie, przestraszała obawa jutra, męczyła wreszcie ta Natalia, która była dziwaczna, zazdrośna i nie umiała inaczej kochać, tylko z torturami — dręcząc tego kogo umiłowała i siebie.

Melodramat ten trwał, trwał, dopóki na wido-

kręgu wielkiego świata nie zjawił się poprzedzony sławą stugębną wielki Lovelace, pułkownik W. Książę Brański podobnym był do Antinouse, ten przedstawiał typ młodego Herkulesa. Miał też odwagę jego i był z profesyi uwodzicielem. Gdziekolwiek stąpił, drogę swą znaczył tryumfy głośnie- mi, również jak następujące po nich płacze. Puł- kownik czy się zakochał chwilowo w Natalii, czy chciał swęj wyższości nad Antinousem dowieść, bo go gnięwało że ich obu porównywać z sobą śmia- no—dosyć że zaczął bywać, że zwrócił uwagę, że w końcu księcia Brańskiego, jak pospolicie mówią —odsadził.

Ale ks. Robert kochał prawdziwie, była to jego pierwsza a może i ostatnia miłość, nie po świato- wemu ją brał, ale po młodzieńczemu. Opanował go szal rozpaczliwy. Wpadł raz do domu hrabiny, zastał ją sam na sam z pułkownikiem, choć mu powiedziano że pani nie było, i rzucił w twarz Herkulesowi rękawiczkę. Nastąpił pojedynek śmier- telny, książę ranił przeciwnika, czyniąc go kalęką na całe życie, lecz sam nazajutrz rozchorował się i winien był ocalenie tylko nadzwyczajnej troskli- wości lekarza swego, Malcza. Nierychło złamany, osłabły, zrozpaczony wstał z łoża boleści, aby za- kopać się na wsi. Mówiono powszechnie iż w cza- sie choroby hrabinie Natalii wróciła najgwałto- wniejsza miłość ku niemu, że zapomniawszy na wszystko, dnie i noce spędzała u jego łoża; lecz

gdy księżę odzyskał przytomność, a ona na klęczkach błagała go o przebaczenie, odepchnął ją i rozstali się na wieki. Znać z obu stron przywiązanie to musiało być prawdziwém i wielkiém, bo, jak wiadomo — księżę nie pokazał się więcej na świecie, a hrabina, wkrótce potém owdowiawszy, włożyła żałobę, złośliwi mówili nie po mężu, tylko po Robercie, zamknęła się w domu, wyrzekła towarzystwa i pozostała pokutnicą samotną do dziś dnia.

Opowiedziałem państwu tę historiją jak mogłem najkrócej, była bowiem potrzebną dla zrozumienia dalszego ciągu méj powieści, do której powracam.

Stanęliśmy tedy na tém, że ojciec brylantowej panny księcia na honorowém miejscu, naprzeciw córki posadził. Mnóstwo osób poznało dawnego Antinousea i zaczęto pocichu opowiadać sobie jego dzieje, gdy drzwi łoży przeciwległej otworzyły się i weszła czarna, jak zawsze, ubrana hrabina Natalia. Oczy wszystkich, którzy świadomi byli historyi starożytnej, obróciły się z natężoną ciekawością na dwie łoże, ręką losu jakby naprzeciw siebie postawione.

— Otóż tu — rzekł Kryszpin, zadanie moje opowiadacza i malarza staje się nader ciężkiém, — gdyż akcja się rozdwaja i współcześnie scena odgrywa się inna w łoży na lewo, inna na prawo. Uważano że ks. Robert, posadzony przez ojca na-

przeciw panny, przywitawszy ją, podparł się na łokciu, wlepił oczy w teatr i długo pozostał nieruchomym. Panna zaś więcej na niego niż na teatr patrzyła, choć oczy wszystkich były na nią zwrócone. Nagle ks. Robert, wodząc wzrokiem po sali bezmyślnie, ujrzał łożę naprzeciw i w niej siedzącą kobietę czarno ubraną, której twarzy zwróconej ku scenie dostrzedz jeszcze nie mógł. Jednakże widziano jak drgnął, wyprostował się i pobladł. W tej samej chwili, jakby poczuwszy uderzenie tych oczów, jakby iskrą elektryczną zbudzona, odwróciła się hr. Natalia, oczy jej siłą jakąś niewidzialną ciągnione skierowały się na ks. Roberta; ujrzano ją podnoszącą się na siedzeniu, wyciągającą ręce, lekki krzyk słyszeli najbliżsi tylko i hrabina Natalia omdlała runęła na ziemię.

W sąsiednich łożach powstało zamieszanie. W pierwszej chwili ks. Robert zerwał się, jakby chciał biedz także na pomoc omdlałej, potem padł na siedzenie i blady jak trup, zakrywszy twarz dłonią, pozostał tak męczennikiem do końca widowiska. Kilka razy przemówiła don siedząca naprzeciw panna i jej ojciec: zdawał się nie słyszeć lub nie rozumieć. Dotrwał jednak na swém stanowisku do końca i wyszedł razem z rodziną tą, która podobno, jak mówiono, pochodzi z Podola. Jest to hrabia Mościński, którego już w Warszawie przewano Pontiussem Piłatem; hrabianka ma być narzeczoną ks. Roberta i milionową dziedzicz-

ką. Hrabinę Natalią, docuciwszy się jęj, zaniesiono do powozu i odwieziono do domu.

Na tém się skończyło opowiadanie Kryszpina.

Nazajutrz rano na ósmą godzinę zjawił się zamówiony pan Zembrzyński. Metamorfoza o białym dniu wydała się Hartknochowi jeszcze dziwniejszą. Nawykł był tego człowieka widywać w brudnej i starej odzieży, opuszczonym, nędznym, nie mógł się więc wydziwić przemianie jaką woda i suknie mogą dokonać na człowieku. Zembrzyński wydał się bardzo przyzwoicie, rzekłbys że nigdy w owym szlafrocжку podpasanym rzemieniem nie chodził i drewek sobie przed Firlejowszczyzną nie łupał. Odmłodniał pod brzytwą balwierza, stał się bardzo przyzwoitym obywatelem, a nie widać było żeby mu te suknie ciążyły, obracał się w nich jakby do nich nawykł. Co więcj, taki był wpływ zaszłej w nim zmiany, że się stał śmielszym, mniej uniżonym, pokornym, a nawet głos podnosił niekiedy z pewnym akcentem i odwagą. Mecenas patrzył nań jak na ciekawe przejście dobrze i z talentem ucharakteryzowanego artysty.

Prosił go siedzieć—Zembrzyński siadł, począł zdejmować rękawiczki.

— Łaskawca mi pozwolisz iż pepiéry przygo-

tuję. rzekł, bo tu idzie o zadecydowanie, czy nie czasby było wymierzyć cios stanowczy. Oto jest, najłaskawszy mój dobrodzieju, *praeter propter* stan majątku, rozległość jego, rozkład gruntów, ilość pól ornych, sianożęci, nieużytków, lasów...

— Zkądżeś to pan mógł wziąć? zapytał mecenas.

— A! to się tam wystarało, odparł Zembrzyński. Miałem tam na gruncie mojego człowieka, który parę lat około tego chodził, bo, widzisz mój dobrodzieju, wszystko należy zbadać dokładnie, chcąc działać na pewno. Bolesnieby mi było i niebezpiecznie omylić się w rachubach. Musiałem wiedzieć doskonale o wszystkiém. Tu są inwentarze, dalej, mój łaskawco, spis długów i dłużników, dalej notaty objaśniające.

Podniósł Zembrzyński oczy do góry ku zdumionemu mecenasowi.

— Tyle się lat pracowało, odezwał się wzdychając—zdawało się że ot, ot, jest się u celu. Ludzkie sprawy! Wiész mój łaskawco, iż temu gmachowi, który ja długimi laty wznosiłem po cegielce, chleb sobie od ust odejmując, zagraża teraz najzupełniejsza ruina? Tak jest?

— Zkąd? spytał mecenas.

— Ks. Robert może się ożenić z córką hr. Mościńskiego... w takim razie magnat ten znajdzie kapitał na oczyszczenie dóbr, a że umie się rzą-

dzić, jeśli w imieniu córki obejmie Brańsk, ja przepadłem.

— Ależ waćpan musisz w takim razie odebrać swoje pieniądze? zawołał Hartknoch.

— A co mi po tych pieniądzach? odezwał się Zembrzyński, co mi po tych pieniądzach?...

— O cóż panu idzie? rzekł zdumiony prawnik. Chcesz dóbr?

— Na co mi te dobra? powtórzył stary, co mi po tych dobrach?

— Czegóż więc waćpan pragniesz? prawdziwie nie rozumiem go.

Stary uśmiechnął się jakoś gorzko, ale słowa które miał wyrzec zatrzymały mu się na wargach... nie odpowiedział nic.

— Idę dalej—począł, grzebiąc się w przyniesionych papierach. Przeciwno zamierzonemu małżeństwu użyję wszelkich możliwych środków, będę się starał otworzyć oczy hrabiemu, trafię do niego. Jeżeli jednak blask mitry tak go zaslepią, że się ruiny Brańska nie złęknie, będzie należało przyspieszyć akcyą i nim się młodzi pobiorą, wytoczyć procesy, nałożyć inhibicye, majątki zagarnąć w administracyą, słowem przynajmniej narobić hałasu i strachu, a...

— Cóż mnie pozostaje do czynienia? spytał mecenas, nie badając już więcej klienta.

— Pan dobrodzieju, łaskawco mój najdroższy— rzekł, zniżając głos, Zembrzyński, raczysz mieć

się, w zupełnej gotowości, ażeby na dany znak atak ze wszech stron przypuścić, w imieniu Dawida Salomsona, w imieniu Bambergerów, Pulwerschmidtów, Hagelbornów i wszystkich tych, którzy moje nazwisko zasłaniają. Moje nie powinno być wymienioném nawet, dopóki ja do tego nie upoważnię. Mnie tu uięma, ja jestem i pozostaję niewidzialnym.

— Wszystko to dobrze — odezwał się mecenas, ale pozwól sobie uczynić jedną uwagę, kochany panie Zembrzyński. Bądź co bądź, całej téj sprawy nie prowadzisz do grania z Brańskimi w ciuciubabkę, jest w tém cel. Ja, człowiek praktyczny, mimo twojego wypięrania się, przypuszczam zawsze, że ci się chce tych dóbr ks. ks. Brańskich. Masz pan bardzo znaczne kapitały, zebrane pracą, oszczędnością, spekulacyami, trochę lichwą, frymarkiem majątków i t. p., jest to owoc całego waszego życia. Jednakże kapitały te, choć znaczne, nie starczą na nabycie dóbr Brańskich. Jeżeli, zapaliwszy się, pokusisz o kupno przechodzące siły, możesz paść sam ofiarą.

Zembrzyński się śmiać zaczął tak naiwnie, serdecznie jakoś i dziwnie spokojnie, że Hartknoch prawie się obraził. Ludzie nawykli do mentowania drugim, niełatwo znoszą, gdy im kto omyłkę w rachubie wytknie.

Lice mecenasa okryły się purpurą.

— Czegóż się waćpan śmiejesz? zawołał oburzony.

— Bo, kochany łaskawco, jesteś śmieszny! rzekł, ściskając jego rękę. Zembrzyński—za kogóż mnie pan masz? ale za kogóż? Czyżbym ja miał być, z pozwoleniem, tak głupi, tak ślepy, żebym sięgał po dobra ks. ks. Brańskich? Niech je sobie kupuje? kto chce, byle jaknajtaniiej. Nabywaj pan, prosz przyjaciół, a mnie to do czego? Powiem panu więcej — mam gruby kapitał, w pocie czoła krwawym zebrany na tych majątkach—otóż... otóż gotowem z niego coś stracić, byle Brańscy utracili jaknajwięcej, a jeśli można, wszystko, i wyszli z koszulami.... boso. Tak!...

Zembrzyński bez wzruszenia, na oko sobie chłodny—uśmiechnął się.

— Więc to zemsta tylko? rzekł mecenas.

— Nie, mój kochany łaskawco, nie — odezwał się zimno zawsze Zembrzyński — w Piśmie świętym powiedziano ząb za ząb, oko za oko, a ja nawet tak wiele nie chcę, ja się sobie tak, ot tak, bawię. Jestem stary kawaler, nie mam co robić, szukam rozrywki. Czy pan nigdy nie doznałeś tego uczucia, idąc piechotą, gdy cię obryzga, jadąca karéta, że radbyś do niej sięść i także trochę owałać tego co cię obrukał?... Na starość przyplątują się do człowieka fantazyje różne, a ja jestem dziwak. Ot cała rzecz. Zemsta! A za cóżbym się ja miał mścić na nich? Ja ich, mogę powiedzieć, tak

prawie, jak nie znam, no, nie znam! Tylko lubię nigle płać.

— Panie Zembrzyński — zimno odparł mecenas, spoglądając na zegarek i zbierając papiéry— doktorowi i prawnikowi nigdy nie trzeba prawić wymysłów; biorą oni za puls i dobadują się tego co im chory chce ukryć. Zresztą ja się pana nie pytam już o nic. Ciekawym nie jestem. Powiniennem był wszakże wiedzieć cel pana, aby się do niego zastosować.

— Mój cel, mój cel — szepnął Zembrzyński. najprostszy w świecie. żeby ich *diabli wzięli*, ot i po wszystkiem. Jak i któredy ich poniosą, to mi wszystko jedno.

Dzikim śmieškciem zaczęły mu drgać usta i z pokorą począł mecenasa całować po ramionach, chociaż się ten z pewnym wstrętem usuwał.

— Bawisz pan w Warszawie? spytał Hartknoch?

— Muszę, muszę niestety, i dowiem się jeszcze do mojego dobrodzieja i łaskawcy.

— Zatem do zobaczenia— żegnając go, zamknął mecenas, jest to moja godzina, w której do kancelaryi spieszyc muszę— darujesz mi... śpieszę.

— Masz pan powóz?

— A nie, pieszo.

— Podwiozę pana, moja karéta stoi u drzwi, a ja też jadę w tamtą stronę.

— Pańska karéta? karéta pańska? powtórzył zdumiony Hartknoch.

— A no, tak, raz w życiu trzeba spróbować jak się jeździ na resorach, rozśmiał się stary — służę panu.

Przybywszy do Warszawy na nieco dłuższy pobyt, gdyż panna Alfonsyna miała brać lekcyę muzyki u najpiérwszych tutejszych nauczycieli— hrabia Mościński nie mógł pozostać w hotelu. Piérwszych kilka dni przebyto w nim, ale szukano apartamentu stosownego, i choć z dosyć wielką trudnością, bo hrabia był bardzo wymagający, znaleziono piérwsze piétro przy ulicy Senatorskiej, przepysznie umeblowane, które rodzina jakaś, wyjeżdżająca do Włoch, na kilka miesięcy odnajmowała.

Dla hrabiego Mościńskiego, który na wsi pracować umiał i zbierać, w Warszawie nic nadto wspaniałém być nie mogło. Szło mu téż o to, aby hrabianka, o którą się starał książę Brański, pokazała się tu z przepychem imienia jej godnym.

— Trzeba tu tym Warszawiakom zaimponować, mosanie—mówił hrabia—niech znajdą Podolaka! Człowiek na to pracował życie całe, żeby przecię trochę użyć i dziecku kochanemu dać przyjemności skosztować.

Poszło za tém, że musiała być karéta, konie, służba liczna, kucharz i wszystko co pański dom

stanowi. Metrów dla panny Alfonsyny szukano metodą hrabiego nie najlepszych, ale najdroższych.

— Widzisz, szanowna pani, mówił hrabia do miss Burglife, ja się tam na tém nie znam, ale jestem stary ówik. Wziąć najdroższego, ten pewnie będzie najlepszy, inaczej nie może być. Co mi to tam za nauczyciel, który po rubelku za godzinę po błocie chodzi; ja dam pięć, i jestem przynajmniej pewny że dostanę znakomitość. Jeżeli zaś jest taki co bierze dziesięć, piętnaście, jeszcze lepiej. Potem, jak Alfonsyna będzie grać, (choć ona ślicznie gra), wszystko jedno—powiedzą: uczyła się u tego a tego, to dosyć. Pani nie wie ile to osób znakomicie gra dlatego, że dwa razy był u nich Szopen. Ludzie są ludźmi.

Hrabia był człowiekiem w swoim rodzaju nader praktycznym. Dom urządzono według tej samej metody, brano wszystko tam gdzie było najdrożej. Najmniej może hrabia dbał o siebie samego; zostawił sobie lichą izdebkę na tyle, w której spał w kątku na niewiedzięc jakiem łóżeczku, a w południe listu w niej przeczytać nie mógł; dla reprezentacyi jednak oddzielił sobie pokój wspaśniały, w którymby mógł przyjmować. Tu na niczem nie zbywało, co okazałość zwiększyć mogło. Tylko nie lubił tego pokoju hrabia, był w nim jakby obcy, wolał swoją brudną izdebkę, w której zabrukać się mógł bez żadnej ceremonii. Gości przyjmował zwykle w paradnym pokoju, żył zaś

w tym zakątku. Miss Burglife i Alfonsyna wyrzucały mu to.

— Dajcie mi pokój—mówił—co to komu szkodzi? ja tu sobie jestem jak w domu.

W domu hrabia miał także taki pokój poufaly, w którym nie było się na co oglądać, bo tylko zabrukany stół; połamane krzesła i stara sofka go meblowały.

Właśnie przy oknie zajęty był rozpatrywaniem rachunków hrabia Mościński, gdy służący wszedł i zameldował mu jakiegoś pana, który karętą przyjechał i chciał się widzieć z interesem bardzo pilnym.

— E! karętą przyjechał? zawołał Mościński, gromadząc rachunki — o godzinie kwadrans na dziesiątą? Cóż to może być? Z interesem? Ale jak się zowie?

— Nie powiedział — domaga się jednak koniecznie widzenia z jasnym panem.

— Jakże wygląda?

— Wychylił się przez okno od karéty: stary, siwy już—rzekł służący.

— Z interesem? ale ja tu żadnych w świecie nie mam interesów, ja tu nie za interesami przyjechałem. Cóż to może być?

Pomyślał hrabia jeszcze.

— Karętą powiadasz przyjechał? a no, to prosić, ale do żółtego pokoju.

Żółty pokój był paradnym hrabiego, który się

ogarnął, przejrzał w zwierciadle, powiódł dłonią po niegolonej brodzie i wyszedł; zmieniwszy szlafrok brudny na atłasowy—do żółtego pokoju. Tu, przy próżném biurku, zaczął biały papier przeglądać, gdy drzwi się otworzyły i wszedł z miną nadzwyczaj pokorną a grzeczną, mały, zgarbiony, siwawy człowieczek, posuwając się drobnemi kroczkami ku hrabiemu.

— Najmocniej przepraszam hrabiego, iż śmiem w tak niezwyčajnej porze i zupełnie mu nieznamy, przerywać jego zajęcia, odezwał się cichym głosem — lecz interes najwyższej wagi zmusza mnie być natrętnym. Spodziéwam się, jeśli mnie hrabia wysłuchać raczysz, iż uznasz mię niewinnym i gniewać się nie będziesz.

— Ale z kimże mam honor? zapytał hrabia.

Stary jegomość zaciął się, brwi do góry podniósł i jeszcze bardziej niżonym głosem odezwał się:

— Zupełnie nieznana hrabiemu osobistość i nazwisko. Jestem prawnik z powołania, nazywam się, (tu, jakby się zadławił, mając skłamać) — zowie się Piątkiewicz, z powołania adwokat.

— Bardzo mi przyjemnie! odparł hrabia—proszę siadać.

„Piątkiewicz! powtórzył w duchu — musi być jakiś kuzyn tego Wtorkiewicza u Fredry.“

Stary, który się Piątkiewiczem nazwał, nie siadł, ale się jeszcze bardziej zbliżył do hrabiego.

— Najprzód muszę hrabiego spytać, czy mu nie przeszkadzam, mam dosyć wiele do mówienia — rzekł; powtóre prosiłbym, ażebyśmy mogli zupełnie na osobności mówić i tak by nas nikt nie podsłuchał.

Hrabia, coraz bardziej zdziwiony i zaciekawiony ruszył ramionami.

— Widzisz pan dobrodziej — odezwał się, że jesteśmy sami, a w moim domu, mogę panu zaręczyć...

— Przepraszam! przepraszam! to dosyć kłaniając się nisko, począł ów Piątkiewicz.

Usiedli naprzeciw siebie, stary się z krzesłem przysunął, obejrzał i mówił powoli:

— Unizenie błagam hrabiego abyś się nie niecierpliwił i dał mi czas do zupełnego wytłumaczenia się. Jestem w takiem położeniu względem pana dobrodzieja, iż ułamkowo i pobieżnie nie sposób mi usprawiedliwić się z mojego kroku.

— Ale proszę mówić — słucham! rzekł hrabia, trochę przestraszony w duchu, myśląc: tam do diabła — będzie niezawodnie dał pieniędzy. Jeden z tych żebraków niebezpiecznych, co karętami jeżdżą, najnieznośniejsza rzecz w świecie.

— Chociaż ja nie mam zaszczytu być hrabiemu znanym, ciągnął dalej Piątkiewicz — imię pańskie, w kraju szanowane i ogólnie znane, oddawna nie było mi obcém. Wiedzą wszyscy do jak znakomi-

tęj fortuny doszedłeś pan geniuszem swym, zabiegliwością, gospodarnością wzorową...

„Oto mi kadzi! oto kadzi! pomyślał hrabia, ani chybi z trybularzem do worka dąży — ale oddaje sprawiedliwość geniuszowi, zawszem się posądzał że mam geniusz.“

— Tacy obywatele, mówił dalej Piątkiewicz, są wielce krajowi potrzebni—los ich obchodzi nas wszystkich, a jeśli któremu z nich zagraża niebezpieczeństwo, czujemy się w niem zagrożeni wszyscy.

„No, no, elokwencya, znać że adwokat! myślał hrabia — ale jak on tu skręci z tego gościńca do kieszeni?“

— Nie wiem czy zgodnie z prawdą, czy téż fałszywie, powszechnie głoszą—kończył Piątkiewicz, iż hrabia córkę swą jedynaczkę przeznaczasz księciu Brańskiemu za żonę.

— Za pozwoleniem, wybuchnął, wstając, hrabia, cóż to do kogo należy? Niéma postanowionego nic, to sprawa dwóch młodych serc, ja jeszcze o tém nic nie wiem, no—lecz przypuściwszy żeby tak być miało, to cóż? kto ma prawo w to się mieszać?

— Nikt na świecie — odparł spokojnie bardzo Piątkiewicz — hrabia uczynisz co mu się podoba. Jest to sprawa dwóch młodych serc, ani słowa, ale na nieszczęście, jest to razem sprawa dwóch kieszeni.

— He? odezwał się hrabia—co takiego?

— Niema w kraju szanowniejszój, czcigodniejszój, piękniejszój rodziny nad książąt Brańskich. Ludzie zacni—mówił przybyły—imię historyczne, charaktery szlachetne, osobistość księcia Roberta godna ze wszech miar szacunku;... cóż, kiedy na nieszczęście—niema rodziny któraby tak jak ci biedni książęta Brańscy była *zruinowaną ostatecznie*.

Hrabia słuchał, słuchał—a w końcu ogromnym śmiechem wybuchnął; Piątkiewicza to nic a nic nie zmieszało. Spojrzeli na siebie: Mościński spoważniał.

— To są magnaci! zawołał.

— Byli magnatami—mówił cicho Piątkiewicz, niema wątpliwości; gmach ten stoi jeszcze na oko cały, świeci się, lecz jutro, jutro jedna z niego cegielka wypadnie i—runie.

— Co mi to waćpan dobrodziej powiadasz, to nie może być! krzyknął, unosząc się hrabia.

— A zatem racz pan spojrzeć w ten wyciąg urzędowy z ksiąg hipotecznych i w dodatkowy spisik procentów i długów nieintabulowanych, ozwał się Piątkiewicz, dobywając papiery, które przed hrabią oniemiałym rozłożył.

— Dobra książęce, drogo je szacując, warte być mogą około trzech milionów, mówił ciągle adwokat, patrząc w błędniejącą twarz hrabiego, któremu się prawie słabo robić zaczynało — przypuścemy iż warte są nawet trzy miliony. Racz-że hra-

bia przekonać się ze spisu, iż wierzycielom wszelkiego rodzaju należy się więcej niż ta summa.

— Trzy miliony! trzy miliony! powtarzał jak ogłuszony i nieprzytomny Mościński, mnąc papier w rękach, które drżały gwałtownie. X

— Widzisz hrabia dobrodziej z tych dowodów prawnych, autentycznych, dających się skontrolować każdej chwili, iż rzeczą było sumienia o takim stanie majątkowym przestrzedz pana. Nie wątpię iż z kredytem pańskim, jego umiejętnością rządzenia, Brańscy mogliby być uratowani, lecz w takim razie musiałbyś hrabia poświęcić swe dobra podolskie, albo je zadłużyć lub sprzedać. Operacya ta musiałaby się odbywać z nadzwyczajnym pośpiechem, zatém z nieuchronną stratą; kredyt pański zostałby zachwianym, a ofiara kto wie czyby się na co przydała, bo nimbyś hrabia mógł zebrać kapitał, Brańsk poszedłby na subhastę.

Hrabia nic już nie mówił, trząsał się, patrzył na papier, usta mu się otworzyły mimowolnie, słuchał i każdy wyraz tego człowieka, z nielitościwą logiką padając na jego myśli rozgorączkowane, sprawiał na nich wrażenie kropli zimnej wody na rozpalonem żelazie.

— Taką jest sytuacya pańska — ciągnął Piątkiewicz — rzeczywiście, odarta ze wszelkich złudzeń. Jeżeli jednak miłość dwojga młodych ludzi jest tak wielka, że i oni i hrabia gotówes jej poświęcić wszystko, ha! niema już co o tém mówić więcej;

choć, tu znowu zachodzi pytanie, czy ten nieszczęśliwy a czcigodny ks. Robert, po takiej tragedyi miłosnej jaką przeżył, po takiej krwawej awanturze z hr. Natalią...

— Jak? co? awanturę miał? kto? księżę Robert, podchwycił hrabia—kiedy?

— Wypadek księcia Roberta, rzekł spokojnie adwokat, znany jest powszechnie—każdy panu go opowie. Młodzieńcza, pierwsza, prawdziwa miłość szkaradnie zdradzona, zdrada pomszczona okrutnie. Nie można nawet zaręczyć po wczorajszym omdleniu w teatrze hr. Natalii, spowodowanem niespodzianym księcia widokiem, żeby historia ta była skończona; hrabina jest wdową, jest wolną, a powiadają że ks. Robert zachował dla niej w sercu najżywszą namiętność.

Ostatnie wyrazy, przypomnienie wypadku w teatrze, którego był świadkiem hrabia, nie rozumiejąc go, przybiły tak nieszczęśliwego Mościńskiego, złamały go, iż dwa strumienie łez z oczów mu się puściły. Chwycił za ręce Piątkiewicza i głosem omdlałym napół, począł wołać:

— Na miłość Bożą, ulituj się człowiecze — daj mi tchnąć, pozwól myśli zebrać!

Stary skłonił głowę, umilkł natychmiast i czekał cierpliwie — Mościński zapomniał o wszelkiej względem nieznanego obawie, o potrzebie poskramiania się, wstał i z załamaniem rękami począł się po pokoju przechadzać.

— O ja nieszczęśliwy! o ja nieszczęśliwy! Alfonia w nim zakochana, Alfonia go serdecznie kocha, to jój pierwsza niewinna miłość. Niechby już grosza nie miał, ale ta jakaś Natalia, ten romans! To są chyba fałsze. To człek prawy, onby nie atentował córce mojej, gdyby inną miłość miał w sercu. O mój Boże! cóż za piorun!

Piątkiewicz chciał coś mówić.

— Proszę pana, już dosyć, nie chcę słyszeć nic więcej. Zlituj się pan nad ojcem, przerwał hrabia, daj mi pan zebrać myśli. Nie, to człowiek szlachetny,

— Najszlachetniejszy z ludzi—potwierdził adwokat, ja nawet sądzę, iż gdybyś go hrabia otwarcie zapytał, nie zataiłby stanu swego serca.

— Jakimże sposobem, nawpół do siebie mówiąc, dodał hrabia—jakim sposobem mogli oni nas z takim przepychem przyjmować, jak utrzymywać pańsko tę rezydencją i taić stan swych interesów?

— Interesa dla nikogo, oprócz hrabiego, a może starego szambelana, tajemnicą nie są, tłumaczył Piątkiewicz. Dom ten starożytny i zasłużony szanując, nie chcąc spokoju czcigodnego starca zamącić—wierzyciele hamują się, folgują—dają uprosić. Przecież przyjdzie tej powolności koniec panie hrabio.

Mościński słuchał, coś rozmyślał i za rękę chwycił nagle Piątkiewicza.

— Tak, to wszystko prawdą być może—pozwa-

lam, rzekł — a no proszę i błagam waćpana, powiédź że téż mi, co za miłóść bliźniego osobliwsza, gorliwość heroiczna, bezprzykładna o cudze dobro dbałość, napędziła tu pana, abys bezinteresownie zdejmował łuskę z moich oczów i przedsiębrał uratowanie mię z téj topieli? Wszystko rozumiem, tylko tego zrozumieć nie mogę.

Piątkiewicz lekko się zarumienił.

— To nie jest wcale bezinteresowność heroiczna — odparł spokojnie — to fakt, który się tak prosto po ludzku tłumaczy, iż dzieckoby zrozumiało po co ja tu, reprezentując pewną masę wierzycieli, do hrabiego przyszedłem. Jeśli hrabia wydasz swą córkę za księcia Brańskiego, będziesz rodowych posiadłości jego bronił, a my je właśnie z licytacyi korzystnie kupić mamy nadzieję. Czy jasno?

— Bardzo jasno, odpowiedział hrabia głosem złamanym. Lecz godziż się to? godzi?

— Co? odebrać dług swój? spytał Piątkiewicz, wziąć ziemię niedoależnie zagospodarowaną i z niej wyciągać korzyści jakie dać może przy pracy, a których zapuszczona i zaniedbana nie da nigdy? Książęta są najczcigodniejsi ludzie, nie przeczy nikt, ale to posągi siedzące na grobach, cudnie rzeźbione przez wielkiego mistrza, wielkiego stylu znakomite dzieła, szkoda tylko że się nie ruszają. Daj im pan dwa razy taki majątek i kapitały, pojedają ich używać za granicę, otoczą się zbytkiem,

siądą marzyć i wzdychać, apoczekawszy, chwasty pola zarosną i pieniądz się w mgłę rozplynie.

— Waćpan jesteś niesprawiedliwym względem nich — oburzył się hrabia — to są deklamacye demagogów, ja to znam. Książęta stracili nie swą winą majątki, przyczyniły się do tego okoliczności — naostatek ich powołanie było inne, a nie robienie marnych pieniędzy. Tacy ludzie jak ja — hreczkosieje, dodał hrabia — są do tego stworzeni, to nasza rzecz.

— A zatem... uśmiechając się i zagarniając papiery swoje, rzekł Piątkiewicz.

— Zatem, zatem nic, ja nie wiem; zostaw mnie pan, bym się namyslił — rzeczy są wielkiej wagi, chmurno począł hrabia, przechadzając się ciągle po pokoju.

— Spełniwszy co mi sumienie kazało — kłaniając się, dokończył przybyły, mam honor...

— Za pozwoleniem! adres pański? pochwycił hrabia — czy wyciąg hipoteczny możesz mi pan zostawić?

— Nie — zimno, chowając go do kieszeni, odpowiedział adwokat — możesz go pan kazać wyjąć i sprawdzić. Co do mojego adresu, jestem prawnik, wszyscy mnie tu znają. Pierwszy lepszy do różkarz powie hrabiemu. Do nóg upadam.

Mościński skłonił się lekko, a gdy się obejrzał, już owego Piątkiewicza nie było i turkot karęty

w dziedzińcu zwiastował że musiał odjechać. Hrabia, łzy mając w oczach, rzucił się na kanapę.

W godzinę potém służący, oznajmując odwiedziny księcia Roberta zastał go jeszcze na tém samym miejscu, ze wzrokiem osłupiałym i rękami załamanemi, nie mogącego zebrać myśli i postanowić co pocznie.

Słabym głosem kazał prosić ks. Roberta, który w chwilę potém wszedł krokiem mierzonym do pokoju.

Witając się, w milczeniu spojrzeli na siebie; książę spostrzegł nadzwyczajną zmianę w twarzy hrabiego i pomyślał, że pewnie wczorajszy wypadek w teatrze musiał ściągnąć jego uwagę, a może i zasłyszec mógł coś o nim; hrabia znalazł też księcia bladym, zmęczonym i jakby przelękłym. Położenie ich wzajemne było nadzwyczaj przykre. Nie rychło Mościński się zdobył na wypowiedzenie głosem słabym:

— Niechże książę siada.

— Czyś hrabia nie chory?

— A tak, tak, czuję się dziś niedobrze, sam nie wiem co mi jest, ale jakbym był słaby. To powietrze miejskie... ja do wsi przywykłem, życie odmienne... czuję się nieswój.

— Może potrzebaby lekarza?

— O! nie—to samo przejdzie—pośpiesznie dorzucił hrabia, ciągle się przypatrując księciu i wzdychając mimowoli.

Zamilkli potém i rozmowa się żadna zawiązać nie mogła; hrabia począł ważyć to co mu nieznanomy mówił i znalazł iż należało wprzód sprawdzić jego twierdzenia, nimby księciu o tém coś wspomnieć można. Wszakże mogły to być tylko złośliwe jakieś bajki i plotki.

Postanowił zostawić wszystko *in statu quo*, nie dając poznać po sobie iż coś doszło do jego wiadomości, a zasięgając wprzód lepszych i pewniejszych informacji. Zadzwoził więc na służącego, aby zapytał pań, czy księcia przyjąć mogą, a sam, pod pozorem ubiérania się, wyszedł, gdyż panna Alfonsyna kazała powiedzieć, że natychmiast będzie w salonie.

Wróciwszy do brudnej swojej izdebki, hrabia naprawdę płakać począł — kochał dziecko swoje, a czuł iż trochę nierozważnym postępowaniem mógł zachwiać jego przyszłość.

— Poco mi było iść na tę sufraganią, po co do nich zajeżdzać, dać się im zbliżyć, poznać i jeszcze pomagać jój biednej do zakochania się w człowieku, który jój nigdy może kochać nie będzie? Tego sobie nigdy nie przebaczę! Biedne dziecko moje jedyne! pierwsza miłość! a to człowiek wyżyty, ostygły!

Łamał ręce i rozpaczał. Chciał natychmiast iść, radzić, rozpytywać się—lecz—do kogo? Naprózno szukał w głowie imion starych przyjaciół i znajomych, żadne się nie nastęrczało. Z gorączkowym

pośpiechem począł się ubierać, bo mu na myśl przyszło, że dobrzeby było zbytniemu zbliżaniu się młodych ludzi przeszkodzić,—a zastał ich właśnie sam na sam, gdyż miss Burglife umyślnie była odeszła, by Alfonsynce nie zawadzać. Ale ks. Robert stał smutnie oparty o komin, a Alfonsyna, siedząc na fotelu, badając zbladłą twarz, oczy w niego trzymała wlepione.

Nadejście ojca, który udawał już teraz zdrowszego i spokojniejszego, smutne to *tête à tête* przerwało. Usłyszawszy głos hrabiego, miss Burglife pośpieszyła z drugiego pokoju. Ks. Robert, krótko bardzo zabawiwszy, pożegnał się i wyszedł. Hrabia, nie wiedząc jeszcze co pocznie, pędzony tylko niepokojem, natychmiast wybrał się także na miasto.

Od owdowienia swego hrabina Natalia usunęła się była od świata; wdziała żałobę i chodziła czarno, ograniczyła się szczupłym kółkiem znajomych, zamykając drzwi złotej młodzieży, która się do niej cisnęła, mając nadzieję pozyskania łaskawych względów. Zaszła w niej zmiana zupełna, którą sądzono zrazu przemijającą, ale się okazała trwalszą niż prorokowano. Nie było w osamotnieniu tém przesady, nie czuć było popisu — zaczęto się więc

dorozumiéwać, że to co zrazu miano za kaprys i drożenie się z sobą, było istotną duszy potrzebą.

Hr. Natalia pozostała obojętną dla świata i prawdziwie wdową, w całym znaczeniu tego wyrazu, nietylko po mężu, którego kochać nie mogła, ale po złudzeniach i dramacie serca. Przyjmowała osób niewiele, pokazywała się rzadko; czasem widywano ją w teatrze, często bardzo w kościele. Pobożność jej wszakże nie miała tej cechy namiętnej, przesadnej, popisowej, która zawsze oznacza chłód serca a rozgorzenie głowy. Znajdowano ją do niepoznania zmienioną. Uboga z siebie, żyjąc tylko z zapisu męża i odziedziczonej po nim pensyi emerytalnej dosyć znacznej, dom swój postawiła na stopie przyzwoitej, niewykwintnej, raczej skromnej niż pańskiej. Nie było i w tem przesady żadnej, żadnego popisu, ani z zamożnością, ani z ubóstwem.

Zmiany te, które przeżyły naznaczone im przez wszystkich trwanie i stałą przybrały cechę, wiele osób surowych zasad, dotąd stroniących od kobiety do której imienia wiązało się wspomnienie głośnej awantury, zbliżyły do niej i przejednały z nią. Hr. Natalia ani szukała, ani zbyt unikała towarzystwa. Opowiadano tylko, że wszelkie próby adoratorów wskrzeszenia w sercu jej uczucia żywszego, zbywała pogardliwem i obojętnem milczeniem. Nakoniec musiano powiedzieć sobie, że

się wyrzekła wszystkiego coby pokój, którego szukała, zamącić mogło.

Była jeszcze w tym wieku, w którym piękność kobięca rozwija się w pełni i dochodzi do najwyższego blasku; cierpienie nadało jęj urok nowy, nie ujmując żadnego z wdzięków, któremi dawnięj czarowała. Powaga jaką się oblokła, skromność, chłód nawet dwoiły nieprzystępną jęj piękność, zdającą się pogardzać światem i nie nie żądać od ludzi. Artyści nie mogli się napatrzeć tęg idealnęg twarzy; młodzieńcy którym pięrszy wysypywał się puszek, pierwiosnki natchnień poetycznych składali potajemnie u stóp tego anielskiego posągu.

Ci którzy mieli szczęście bywać w jęj domu, a wybranych liczba była bardzo małą, opowiadali o jęj życiu zajętęm czytaniem, muzyką, robotami kobięcemi i czynnym udziałem w Towarzystwie dobroczynności. Dawnięj dowcipna i sławna z iskrzącęj się rozmowy, w której rzadko jęj kto mógł dotrzymać, hr. Natalia stała się teraz milczącą, małomówną, nawet rzadko okazywała by ją przedmiot jaki żywięj obchodził. W twarzy, mowie, ruchach jęj malowała się rezygnacya spokojna, pod którą domysłać się było można jakichs dogorywających ruin, zniszczenia i ciężkięj ducha żaloby.

Lekceważenie ogółu poczęło się zwolna na korysć hrabiny zmieniać w szacunek dla nięj, we

współczucie i uznanie zasługi téj walki, z którój wyszła zwyciężko.

Ks. Robert od ostatniego pobytu swojego, od rozgłosnego pojedynku i choroby, ani razu nie pokazał się w Warszawie—zapomniano o nim trochę, tak że gdy się teraz ukazał, obudził powszechne zajęcie. Nikt jednak ani śmiał o nim wspominać przed hrabiną, która przybywszy do teatru przypadkiem, zobaczyła go zupełnie niespodzianie i to było powodem jój omdlenia, w obec zbyt licznych widzów, ażeby niepostrzeżoném przejść mogło. Omdlenie to wywołało sądy, domysły, zdania i rozprawy najrozmaitsze. Przyjaciele i nieprzyjaciele hrabiny nosili się z niém, gardlując namiętnie, broniąc lub potępiając.

Nazajutrz nawet z najserdeczniejszych przyjaciółek jój nikt dowiedzieć się o zdrowie nie przybył. Dom był zamknięty, hrabina zachorowała, wiadano że nie przyjmowała nikogo, na ks. Roberta skierowały się oczy ciekawe, i gdyby to było podobieństwem, śledzonoby każdy krok jego. Dla wszystkich zagadką było niesłychanie zajmującą, czy w sercu księcia zagasło na wieki uczucie i wspomnienie, czy się ono nie mogło odrodzić—jakie będzie dalsze postępowanie Natalii i t. p. Miano jój w ogóle za złe, iż uległa wzruszeniu, że skompromitowała się tak okrutnie omdleniem. Wszystkie dawne uprzedzenia przeciw niój wróciły. Złośliwe kumoszki, uśmiechając się, szeptały

iż zawsze były tego przekonania, że pokuta była tylko dobrze odegrywaną komedią. Przyjaciółki wzdychały, bronić nie śmiać. Z natężoną uwagą czekano.

Nazajutrz księcia widziano w ulicy, dosłyszano że jeździł do hrabianki; ciekawość rozbudzona, w braku pokarmu, gryzła wędzidło i rzucała się na najśmielsze przypuszczenia. Słyszano że do hr. Natalii wzywano doktora, nie można tylko było dojść którego, bo niezawodnie zachorowałoby kilka osób, by go wezwać i wypowiedać.

Wypadek w teatrze zwrócił też powszechną uwagę nie tylko na ks. Roberta i hr. Natalią, ale na Mościńskich także. Imię ich powtarzano sobie i wiadomości o rodzinie chętnie chwymano. Znaleźli się starzy znajomi, których właśnie tak pragnął znaleźć hrabia, potrzebując rady i pomocy.

Pomiędzy nimi najwięcej dawniej zbliżonym do hrabiego był pan Aureli Zaręba Zarębski, majątny obywatel, niegdyś sąsiad Mościńskiego, dopóki się nie wyniósł na Podole, wdowiec, który wyposażywszy dzieci, zamieszkał w Warszawie, pragnąc resztę dni spędzić swobodnie. Byłto człowiek już nie młody, chociaż tajemnicę lat swych starannie ukrywał, niegdyś słynny z piękności mężczyzna, a w późnym wieku jeszcze bardzo szlachetnych rysów i szykownej postawy. Ta piękność, z której był głośny i z której, jak po cichu mówiono, umiał swego czasu korzystać, stanowiła je-

go wybitny przymiot, nie mógł więc o niej, choć już sześćdziesiątletni, zapomnieć. Ubięrał się zawsze po młodemu, trzymał prosto, wysiłał na ruchy swobodne, jeździł konno i przekładał towarzystwo wesolej młodzieży nad inne. Był on nestorem i ulubieńcem złotych paniczów, ich wyrocznią, ich bożyszczem. Poufale zwano go Rębusiem i wszyscy kochali Rębusia, bo, gdyby nie lekkomyślność źle się godząca z siwemi a nawet farbowanemi włosami—był to bardzo dobry człowiek, raczej fanfaron zepsucia, niż istotnie zepsuty. Udawał on wietrznika, chociaż nim rzeczywiście nie był. Ciężka mu już ta rola, a porzucić jej jakoś żal było, bo cóżby wreszcie na świecie robił?

To mu nadawało wziętość, to stanowiło jego sławę. Dzieci płaciły mu kilkadziesiąt tysięcy, które przeżywał wesoło, rozpożyczał wiecznie zgłodniałym koleżkom, lub szafował na coroczne wycieczki do wód, bez których obejść się nie mógł. Rębus bywał wszędzie, począwszy od zamku, aż do najmniej znanych salonów; uprzejmym był i przystępnym, wiedział nowiny najświeższe, znał kogo tylko znać było można, należał do obu resurs, nie wyłączał się od żadnych kwest i loteryj, gotów był służyć gdzie go tylko zażądano i umiał sobie pozyskać tak dalece serca ogółu, iż mógł być pewnym, na wypadek śmierci, kilkotysięcznego orszaku na Powązki, nawet w słotę i błoto.

Mościński znał pana Aurelego jeszcze za mło-

dych czasów jego donżuańskich, zapomniał o nim, a nie domyślał się że go znajdzie w Warszawie. Jakież było podziwienie hrabiego i radość, gdy przechodząc koło Lourse'a, uczuł rzucającego się w swe objęcia Aurelego, którego by był nie poznał, gdyby mu się nie przypomniał.

Zaręba także nie domyśliłby się dawnego przyjaciela w otyłym obywatelu, gdyby mu go wczoraj nie pokazano w teatrze.

— Al! jakże jestem szczęśliwy że cię spotykam, odezwał się hrabia, chwytając go pod rękę — a to mi cię Pan Bóg, Opatrzność zesłała. Mój Aureli, nie wiesz, nie wiesz jak mi w porę przychodzisz.

Papatrzyli na siebie.

— Ty się nie zestarzałeś, nawet włosy ci nie posiwiwały, zawołał Mościński — a ja!...

— Ty lepiej wyglądasz odemnie, rozśmiał się stary, ale około siebie, jak ja, chodzić nie umiesz. Ja jestem potajemnie siwiuteńki, tylko wody odradzającej używam. Nieprzyjemna rzecz świecić włosami białymi. Ale cóż ty tu robisz? slyszalem żeś przybył z córką i mówią że z przyszłym jej narzeczonym.

Mościński zaczął rękami trząść i przeczyć całym sobą. Uderzył wyraz jego twarzy poczciwego Zarębę.

— Czyś nie chory?

— Nie — ale jako staremu przyjacielowi wyznać muszę, że mam strapienie wielkie; jeżeli zachowa-

Jeś mi dawne uczucie, a masz chwilę czasu, jedźmy do ciebie.

— Najchętniej.

Doróżka którą wzięli pod teatrem, dowiozła ich prędko na Nowy-Świat, gdzie w połowie pierwszego piętra, bardzo ładnie po kawalersku urządzonej, mieszkał pan Aureli. Usadowił zaraz w wygodnym fotelu Mościńskiego, drzwi zamknął, służącego postawił na straży, i dobył cygara.

— No, teraz mów! odezwał się, słucham i jestem na twe rozkazy.

— Ale najprzód dłoń i słowo, że to zostanie między nami.

— Słowo i dłoń—bądź spokojny.

Mościński się obejrzał i zawołał po chwili:

— Jak mnie widzisz, jestem najniezwyklejszym z ludzi: wpadłem w awanturę, z której nie wiem jak wybrnę. Chciał los nieszczęśliwy mój, żebym po drodze wstąpił do ks. Brańskich. Są mi dalekimi krewnymi, a ani o ich stanie majątkowym, ani o ks. Robercie nie wiedziałem nic. Jedynaczkę mam córkę, książkę się o nią począł starać, a tu—dowiaduję się...

Mościński zamilkł, trąc czoło i wzdychając.

— Przyjacielu stary—dodał—na miłość Bożą cię zaklinam, mów mi o nich co wiesz, objaśnij, radź.

— O cóż ci idzie? spytał Zaręba—ks. Brańscy są źle w interesach, to wiadomo powszechnie, ks.

Robert miał ongi romansik z hr. Natalią, o tém wróble na dachach świergoczą; ale Brańscy są piękną i zacną rodziną, ks. Robert jest pełnym szlachetności młodzieńcem, czegoż ty chcesz?

— Ale oni są doszczętnie zruinowani! krzyknął Mościński.

— O tém cię nie potrafię objaśnić, a zresztą, nie wiem kto dziś nie zruinowany.

— Znasz mecenasa czy adwokata Piątkiewicza?

P. Aureli, który znał wszystkich w Warszawie, począł powtarzać to nazwisko, poszedł do kalendarza dla sprawdzenia i—rzekł po chwili:

— Mogę ci zaręczyć, że żadnego tego nazwiska prawnika w Warszawie niema.

— Mówił mi że go wszyscy znają.

— To bezczelnie kłamał.

Mościński opowiedział szczegółowo całą swą ranną przygodę z owym Piątkiewiczem; Aureli dziwnie głową kiwał.

— To jakaś intryga, rzekł, człowiek z nazwiskiem fałszywém, zatém cała rzecz podejrzana.

— Cóż mówisz na wczorajszy skandal w teatrze?

— Jest to zapewne wypadek bardzo smutny, szczególnieź dla téj biednej hrabiny Natalii, którą ja czczę i wielbię — ale cóż temu ks. Robert winien, że takie pasye obudza?

— Lękam się bardzo, zniżywszy głos, mówi Mościński— żeby mi się córka nim nie zajęła, to człowiek złamany, wyżyty!

— Przepraszam cię, przerwał Aureli, my jego życie doskonale znamy; hr. Natalia była jego pierwszą i ostatnią słabością. Był młody, zakochał się, strzelał, odchorował, usunął, cóż naturalniejszego? gdzie tak wielka wina? Dlaczegooby teraz i kochać nie mógł pocziwie, i być najlepszym mężem?

— Ale oni są bankrutami!

Aureli ruszył ramionami.

— O tém nie wiem, dodał, może to być, a może przesadzają — zainformuję się łatwo. Jednak imię piękne, człowiek uczciwy, a jeśli się córka nim zajęła, niema co, *il faut passer outre*. Znam Roberta z dawniejszych czasów; choć mówią że się wielce odmienił, że stetryczał, ostygł, ale to był gorącego serca, wielkiej prawości, prawdziwie rycerskiego charakteru chłopiec. Rodzina godna szacunku. Gdzież ty dziś znajdziesz dla córki i familią i człowieka, któryby lepsze dał rękojmie szczęścia?

Mościński się zamyslił.

— I powiadasz, że żadnego Piątkiewicza niema na świecie?

— Przynajmniej takiego jak mówisz tu u nas niema. Piątkiewicz któryby jeździł karétą? Ależ ja znam wszystkich co karétami jeżdżą — co do jednego. Żaden mecenas nie używa karéty, wszyscy chodzą pieszo, lub skromną obywają się dorózką. O córce twój wszyscy wiedzą, że ma znaczny po-

sag i jest jedynaczką, gołych i zruinowanych pannieczków co nie miara, to się łatwo tłumaczy. Chcą ks. Roberta usunąć, a podsuną ci innego jakiego pozłacanego młodzieńca.

— Cóż tu począć? westchnął Mościński.

— Nic, nic, — zostawić rzeczy jak są, aby się same wyklarowały, nie zrywać, nie widzieć czego nie jesteś zmuszony, córki nie trwożyć. Zresztą, ja przy tobie — dodał Zaręba — biorę cię w opiekę, całe miasto znam, rachuj na mnie, nie dam cię wprowadzić w matnię. Dziś sprawdzę Piątkiewicza, jutro przywiozę ci różnych wiadomości wórpelny.

W ten sposób uspokoiwszy Mościńskiego i dawszy mu się zaprosić na śniadanie u Bouoquerel'a, Zaręba odprowadził go w weselszym nieco humorze do domu. Na obiad wczoraj jeszcze był zaproszony ks. Robert, ale się słabością chwilową wymówił.

Nowym to niepokojem nabawiło hrabiego, pokrył go jednak przed córką. Wieczorem pojechali do teatru — Robert się nie ukazał.

Po teatrze hrabia kazał się zawieźć do niego.

Zastał go nad otwartą książką, bladego, przybitego, lecz z rozmowy ostrożnej niczego się do badać nie umiał, oprócz że był cierpiący, co zresztą z twarzy nawet było widocznem.

Po odjeździe gościa, który zabawił krótko, Robert chodził do późna po swoim pokoju i nad ra-

nem dopiero znużony poszedł na spoczynek. Twarz blada Natalii stała przed jego oczyma, słyszał jej krzyk, nieprzewyciężona jeszcze miłość ciągnęła go ku niej—lecz z tą namiętnością walczył mężnie, kilka razy w ciągu tego dnia chciał już biedz do niej, ale wspomnienie ojca, rodziny, obowiązków wstrzymało go. Lękał się jednak samego siebie i czuł że najbezpiecznijszém było uciec z Warszawy, wrócić do Brańska. Przewidywał że Natalia może odezwać się, napisać do niego i jedném słowem złamać najmocniejsze jego postanowienie. Cierpiał okrutnie.

Chociaż dłuższa znajomość z Alfonsyną dozwoliła mu bez widocznego przymusu znosić jej towarzystwo, być uprzejmym i grzecznym dla niej, czuł niezwyknięty wstręt ku niej, drażnił go głos jej, niecierpliwił widok, przestraszała okazywana czułość. Brzydził się kłamstwem i uczucia wcale zmyślać nie umiał—nie silił się więc na okazywanie miłości, lecz młode dziewczę brało ten chłód za wymaganą w wyższém towarzystwie formę i niemal się cieszyło poszanowaniem a nieśmiałością jaką budziło. Miss Burglife utrzymywała ją w tém przekonaniu, sądząc że się ojcu i księżętom najlepiej przysługuje. Widziała ona lepiej od swjej wychowanki brak uczucia w księciu, obojętność i zimną tylko grzeczność, ale czuła się w obowiązku zaręczenia Alfonsynie, iż tak zwykle na wielkim świecie się kochają i dopiero po ślubie nastę-

puje wybuch długo ukrywanéj czułości. Dlatego, tłumaczyła ona, młodzi małżonkowie natychmiast zwykle udają się w podróż, ażeby pierwszych wynurzeń przywiązania niczyje nie dojrzało oko. Alfonsyna z każdym dniem mocniej zakochaną była w ks. Robercie i wyznała przed przyjaciółką, iż żyćby bez niego nie mogła.

Życie w Brańsku szło niezmiennym porządkiem swym, brak tylko ks. Roberta zostawił w niém próżnię, która się wszystkim czuć dawała. Od wyjazdu jego nie było nawet listu, co księżę szambelan synowi miał bardzo za złe. Generał starał się to wytłumaczyć znaną poczt nieregularnością i wielkiem zajęciem młodego księcia. Panna Alfonsyna téż, która przyrzekła pisać do księżniczki Stelli, milczała dotąd. Za każdym przybywającym z poczty posłańcem, napróżno się o korespondencye dopytywano. W rozmowach swych z generałem szambelan już o przyszłości mówił, jako o rzeczy pewnej i postanowionej, nie wątpiąc na chwilę o ożenieniu ks. Roberta. Przyznając sobie prawo stanowienia o rodziny losach, zawczasu żądał wyprzedaży dóbr na Podolu, a nabycia dokoła, dla przyłączenia do Brańska, wszystkich majątności niegdys do niego należących.

Nie domyslał się wcale stary stanu własnych in-

teresów. Gdy je synowi oddawał, były już długi znaczne, ale te on wedle własnego programu miał za spłacone i rachował, że nawet cósby już kapitału zapasnego zostać było powinno. Nie śmiano go wyprowadzać z błędu. Po długim oczekiwaniu nadszedł list ceremonialny od hrabiego pisany przed wypadkiem w teatrze i odwiedzinami Piątkiewicza, oraz bilecik na najśliczniej przyozdobionym cyfrą i koroną papierku, od Alfonsyny do Stelli. W obu, oprócz komplementów i ogólników, nic nie było; Robert nawet do siostry nie pisał.

Cały dwór tymczasem razem z szambelanem budował zamki na lodzie, począwszy od ks. Serafina, aż do Burskiego. Wincentowicz przemyśla o fajerwerku z cyframi na przenosiny, nie wątpiąc iż starym zwyczajem uroczyste przenosiny odbyć się muszą. Szambelan wcześniej obradował o apartamencie państwa młodych, sprzecząc się nieco z generałem, który chciał im dać pokoje na pierwszym piętrze.

Tak stały rzeczy, gdy jednego rana, w czasie modlitwy generała odmawiającego swe oficyum, wpadł do niego Gozdowski tak zmieszany, błądy i wylękły, że nierychło potrafił przyjść do słowa. Księżę generał wstał od klęcznika, przeżegnał się, popatrzył na niego i w pierwszej chwili, widząc to pomieszanie, zapytał go:

— Czy się pali?

— Panie generale, o! bodajby się paliło! krzyknął Gozdowski, składając ręce.

— Nieszczęście jakieś, mów—mów!

— Nie wiem co obudziło naszych wierzących, zawołał plenipotent—patrz pan, na najbliższy termin wszystkie należytości wypowiedziane, pozwy o wypłaty pokładzone. Siedzieliśmy spokojnie, w jednej chwili piorun spada nam na głowy. Ja tego nie pojmuję nawet!

— A ja to doskonale pojmuję—odezwał się generał—ludzie już wiedzą o przyszłym ożenieniu się Roberta, każdy chce odzyskać co włożył; to są strachy na Lachy.

— Lecz niektóre terminy są nadzwyczaj blizkie; jeśli nie zapłacimy, nastąpią tradycye i subhasty.

— Jakiż waćpan jesteś krótkowidzący — odezwał się stary wojak; nim formy sądowe się dopełnią, Robert się ożeni i my zapłacimy wszystko. Tylko, na miłość Bożą, nie strasz pan i nie mów nic mojemu bratu. On o długach nie ma wyobrażenia, toby go okrutnie dotknęło.

— A cóż mam począć? rzekł Gozdowski.

— Nic—milczć i czekać. — Ożenienie się ks. Roberta pewne, a z hrabią ja wszystko ułożę.

— Ale panie generale—czy hrabia zna stan naszych interesów?

— Cós mu się o tém napomknęło że kilkakroć potrzebować będziemy; to dla niego bagateia.

Gozdowski nie wiedział już co mówić dalej—ale

nie uspokoiło go to tak dalece. Prawdę rzekłszy, generał dodawał odwagi Gozdowskiemu, a sam trochę się strwożył, tego jednak nigdy po sobie nie pokazywał.

— Więc pan generał sądzi, że to nie jest groźném?

— Bynajmniej. O jakąż summę pozwani jesteśmy?

— O wszystkie! zawołał Gozdowski. Ja nie wiem co się tym ludziom stało! To znowa! To rozbój! Niechby jeden, dwóch wypowiedziało—ale wszyscy!

— Wszyscy? powtórzył generał. To nie — to nie—należy się pilnować formalności i czekać.

— Ale wszystkich terminy przeszły, odparł Gozdowski, długi są niezaprzeczone, a ja w kasie nie mam ani grosza.

— Widzisz, ofuknął generał — widzisz, jak jesteś nieopatrzny; a jakże to może być, ażebyś tak bez grosza w kasie mógł pozostawać?

Gozdowski zdumiony słuchał i nie wiedział co odpowiedzieć — generał z powagą wielką mówił dalej:

— Pan kochany opuściłeś się trochę. Jak można przy takich dobrach nie mieć pieniędzy? Widzisz, to wina twoja.

— Panie generale, pan chyba żartujesz—zaczął plenipotent, rachuj-że pan co te dobra czynią, a jakie są potrzeby dworu. Płacimy panu szambelanowi dwadzieścia kilka tysięcy rocznie, podatki,

procenty, utrzymanie sług i oficjalistów, należność pańska, pensya ks. Roberta, księżniczki. To nigdy nie może się opędzić bez zaciągania długów.

— Już ty mi tego nie mów, łagodnie odparł generał—to wszystko prawda, ale dobra ogromne i starczyć powinny. Opuściłeś się.

— Panie generale...

Generał przybrał postawę chmurną.

— Panie generale—ja nie widzę ratunku, krzyknął Gozdowski. Trzeba wysłać sztafetę do hrabiego, wszystko mu wyznać i żądać spiesznej pomocy, inaczéj licytować nas będą.

— Weź waćpan adwokata.

— Żaden w świecie nas obronić nie może.

— Jakże można było dopuścić do tego? ofuknął książę generał z wyrzutem—to wina pańska.

— Przypomnij pan generał sobie, że ile razy przestrzegałem, nie chcieliście mnie wierzyć.

— Ja waćpanu i teraz nie wierzę, odezwał się książę — to są strachy na Lachy. Nie ważą się. Cały kraj potępiłby ludzi, coby się osmielili napaść na nas tak i wydziierać nam ojcowiznę! To nie może być powiadam waćpanu. Oni znają słabość pańską i chcą z niej korzystać.

— Nie pozostaję mi więc nic—rzekł Gozdowski, tylko w niebytności ks. Roberta, zdać w ręce pańskie moję plenipotencyę.

— A! za pozwoleniem, począł generał—piękna

rzecz, nawarzywszy piwa, zostawić je nam do wypicia.

Gozdowski się za głowę pochwycił.

— Zatem posyłam do ks. Roberta.

— Ani mi się waćpan waź! żwawo począł generał—proszę tego nie czynić, przestraszyłoby go to bezużytecznie i przeszkodziło mu wstaraniu o pannę, odbierając swobodę umysłu.

— Potrzeba przecież coś radzić.

Księżę pochodził po pokoju.

— Niema nic do czynienia—rzekł—trzeba mieć cierpliwość—hrabia posiada kapitały.

— Ale hrabia...

— Dosyć—przerwał stary kawaler maltański—proszę czynić com powiedział i nic nadto. Mój kochany Gozdowski—dodał mięknać—nie gniewaj się, byłeś nieopatrzny—mam w Bogu nadzieję że to się poprawi wszystko, idź, milcz i nie obawiaj się. Niech wierzycciele czynią co chcą, waćpan temporyzuj i kroków stanowczych nie przedsięwierz żadnych. Nadewszystko zaś proszę, aby ani księżniczka, ani, uchowaj Boże, pan szambelan o niczén się nie dowiedzieli. Ja sam napiszę z należytemi ostrożnościami do księcia Roberta.

Nieszczęśliwy rządzca chwycił się za głowę, chciał jeszcze coś mówić, ale na dany znak generała zamilkł i powoli się powlókł do dworku. Tu przyszedł mu na myśl pan Zenon, kazał conajprę-

dziej zaprzęgać do bryczki i popędził do folwarku o milę odległego, który dzierżawił stary Żurba.

Był to najpiękniejszy niezaprzeczenie kawał ziemi z całych dóbr Brańskich.

Stary Grzegorz Żurba, który się tu przed laty dostał z małym bardzo kapitałikiem, pracą i skrzętnością, oraz pomocą ksiąząt dorobił się na nim majątku—zagospodarował niemal jak na dziedzictwie. Nie znać tu było żadnej elegancyi i wykwin-tu, ale pilne gospodarstwo i dobry byt czuć było wszędzie. Mieszkalny dom, przerobiony ze starego folwarku, otaczał sad owocowy i ogrody warzywne; tylko jedna altana lipowa z dawnych czasów, zdawała się stać dla ozdoby, a i z téj jeszcze pszczoły do niedalekiej pasieki miód zabięrały. W dziedzińcu okolonym płotem bardzo porządnym mieściły się tuż zabudowania folwarczne, stodoły i owczarnie. Żurba miał wszystko pod okiem, i cały téż folwark we wzorowym był utrzymany porządku.

Owdowiawszy, a córkę oddawszy księżniczce Stelli za towarzyszkę, Żurba sam tu się rządził długo, od niedawna dopiero dostawszy w pomoc syna. Pan Gozdowski, człek przy panach wzrosły i do ich obyczajów nawykły, spoglądał zwykle z góry na Żurbę i mówił o nim, że to człek prosty, ale poczciwy. Poczciwym się zaś zwał, bo na zawołanie pieniędzy pożyczzał i o zwrot ich nie dokuczał wcale.

Teraz, gdy straszliwe *Mane-Tekel-Fares* błysnęło przed oczyma pana Gozdowskiego, gdy okazało się, że z generałem nie było co mówić nawet, przerażony plenipotent spieszył na radę do Żurbów. Pan Zenon był biegłym prawnikiem.

Bryczka zatrzymała się przed gankiem, starego nie było w domu, wyszedł Zenon. Rzadki to był gość pan Gozdowski; z Brańska przyjeżdżali tu czasem książęta na podwieczorki, ale Gozdowski rzadko odwiedzał dzierżawcę, znajdując, że tam u niego ani pocziwego kieliszka wina, ani dobrej herbaty napić się nie było można. Do tych zaś wygódek stary smakosz, popsuta gęba, wielką, zbyteczną przywiązywał wagę.

Zdziwił się pan Zenon, zobaczywszy go o tej porze i z twarzy zaraz wymiarkowawszy, iż go jakaś niedobra wiadomość lub bięda sprowadzała. Weszli do środka.

— Panie Zenonie kochany—odezwał się padając na kanapę Gozdowski, przybiegłem po radę—jesteśmy najokropniej zdradzeni przez wierzycieli Weź papiery, patrz! Naraz pozywają nas wszyscy—to spisek! Szambelanowi o niczem wspomnieć nie można, generał nic rozumić nie chce, ja głowę tracę, a ks. Roberta niema. Cóż tu robić?

Nic nie odpowiadając, Zenon wziął papiery do ręki i począł je rozpatrywać—w końcu z widocznym wzruszeniem spojrzął na Gozdowskiego, który wyroku czekał, i rzekł:

— Interesa są fatalne — o tém jednak ja wiedziałem oddawna i byłem poniekąd przygotowany. Przyznam się wszakże, iż tak złemi ich sobie nie wyobrażałem. Nie widzę innego środka: przekaz pan na mojego ojca, zbierzemy co mamy, oddamy wam, zepchniecie przynajmniej co najpilniejsze—reszta widząc że kredyt macie, poczekać może.

— Tak—to doskonała myśl, to zbawienny środek! ściskając go, począł Gozdowski—wyście ludzie anielscy, ja zawsze na wasze złote serce rachowałem, wy nas wyratujecie.

— Idzie o to co mój ojciec ma i co dać może — zimno odparł Zenon.

Rozmowa wszczęła się o Brańsku, o sprawach, o projektowaném ożenieniu, Gozdowski opowiedział o swém ranném z generałem spotkaniu.

Tymczasem i stary Żurba z pola, wózkiem, którym się sam powoził, starą swą klaczą gniadą — nadjechał w szarej kapocie i długich butach kozłowych. Jak tylko zobaczył plenipotentą, domyślił się czegoś niedobrego, bo wiedział, że do niego tylko się w biedzie udawano. Podszedł ku niemu żywo.

— A cóż tam słyhać w Brańsku? przynajmniej wszyscy zdrowi?

— Kochany ojcze, wtrącił Zenon—zdrowi wszyscy, ale o to rzecz taka... trzeba ratować książąt.

W kilku słowach opowiedział co się święciło;

stary słuchał z uwagą i spokojem. Już pod koniec przemówienia, synowskiego począł szukać kluczków w kieszeni.

— Zobaczymy co tam w domu jest, rzekł—tu niema co rozmyślać, trzeba głowę bodaj zastawić a ratować ich od zguby, ale ja wam niewiele dać mogę. Wytrząsłszy wszystkie szufladki, z pod serca dobywając, znajdę może sto tysięcy, a co wam po tej kropli w morzu?

— Zyskamy na czasie! zawołał Gozdowski—zbawicie nas!

— A no—niema co i rozmyślać—dodał stary, idąc do biurka. Zenon każe podać śniadanie, a ja przeliczę listy zastawne; księżętom winienem wszystko, niema czegobym dla nich nie uczynił. Tylko proszę asandzieja — rzekł ciszej, żeby im o tém nie wspominać, żeby oni mi tam nie dziękowali, bo mnie to konfunduje. To najprostsza rzecz w świecie—niema o czém mówić.

Z tą prostotą serdeczną Żurba poszedł, włożywszy okulary, liczyć pieniądze — syn mu pomagał. Gozdowski drżącą ręką kwit naprędce napisał, śniadania nie czekał i wyniósł się, ponawiając dziękczynienia.

— No, teraz, odezwał się do syna Żurba. stojąc w ganku i poglądając za odjeżdżającym —jestem już goły jak tego dnia, gdym obejmował gospodarstwo, a no, zawsze wiele zyskałem. Dzieci się wychowały, przeżyło się kawał czasu poczciwie,

Antonina niczego nie potrzebuje, bo ma posag w głowie, ty jesteś prawnikiem i chleba ci nie zabraknie, póki ludzie pieniać się będą, a tym nieszczęśliwym naszym książętom pomóż, to prawdziwa pociecha.

I nie rzekłszy ani słowa więcej, Żurba wdział kapelusz słomiany, wracając nazad do swojego gospodarstwa. Syn oczyma łzawemi powiódł za poczciwym ojcem, którego uczucia całym sercem podzielał.

Gozdowski tymczasem prawie tryumfujący do domu powracał, siłąc się na wymyślenie środka, którymby wierzycieli mógł upokorzyć i skonfundować.

Daliśmy już poznać zacnego Gozdawę czytelnikom naszym. Był to człowiek niewielkiej głowy, długim spokojem ukołysany, niemający oddawna potrzebnej do działania w interesach podobnych bystrości i trafności, może nadto poczciwy ażeby mógł być dobrym plenipotentem. Po długich namysłach, Gozdowski wpadł na nieszczęśliwy plan, ażeby pożyczonych tak niespodzianie stu tysięcy użyć na wypłacenie zaległych procentów pilniejszych, pewien będąc, że tym otumani wierzycieli, uspokoi i na długo pokój okupi. Nim dojechał do domu, plan ten stanowczo został postanowiony i Gozdowski wieszował sobie bystrości, z jaką go wynalazł, zawczasu tryumfując, iż niebezpieczeń-

stwo zaklnie na długo. Tymczasem zaś księżę się ożeni i wierzycieli pooplacają.

Rachował wszakże, nie domyślając się wcale iż wierzyciele ci byli po większej części jednym tylko, który trzymał w ręku losy Brańskich i odebraniem procentów wcale się zadowolić nie chciał, że układy z nim były nie możliwe—a małżeństwo uważane za pewne, w tej właśnie chwili najmocniej było zachwianem.

W Warszawie wszystko jeszcze było w tym stanie, w jakim widzieliśmy hrabiego, księcia i Alfonsynę ostatniego rana. Przyjaciel Aureli wyszedł na zwiady, a że znał cały świat, kilkunastu godzin dosyć mu było, ażeby dokładnych zasięgnąć wiadomości. Trafił na Hartknocha, który nie miał najmniejszego powodu ukrywać przed nim stanu interesów Brańskich.

— To są ludzie ze szczętem zrujnowani, rzekł poprostu—nie ich uratować nie może, chyba... chyba złoty deszcz z niebios. Mogę wam zaręczyć, że długi przenoszą majątek.

Dość już było tej wiadomości panu Aurelemu, który z nią, zmartwiony, nie tracąc chwili, do starego przyjaciela pośpieszył. Znalazł go w domu—nie było co złocić pigułki.

Kochany hrabio, rzekł, czy się ks. Robert kocha czy nie kocha w Natalii, czy powróci do niej czy nie, to są rzeczy podług mnie podrzędne,— znam go jako uczciwego człowieka, to starczy. Główna, najważniejsza rzecz, że ks. ks. Brańscy są istotnie w przededniu najzupełniejszego bankructwa i ruiny. Jak do tego przyszli, nie wiem. Z jednej strony ofiary, z drugiej nieopatrność i zbytek — to pewna, że nie mają nic — ale co się zowie *nic*—prócz ogromnych długów.

— I ani generał, ani żaden z nich słowa mi o tém nie powiedział! zawołał przerażony hrabia— to zakrawa na podejście i zdradę—to ohydne!

— Kochany Mościński, o ile ja ich i im podobnych znam, mogę prawie na pewno ręczyć, że oni sami o swęj ruinie nie wiedzą dokładnie i ludzi się muszą.

— Cóż tu począć? zadumany wyjąknął hrabia— wpadła mu matka.

— Namysł się dobrze—ja ci powiadam jedno, dodał Aureli, że wołałbym Brańskiego bez grosza, niż innego jakiego z milionem.

— Tak—ale Brański zbankrutowany, to mi nie smakuje—dodał Mościński, że fałszywe położenie, ten pozór dostatku, ten pozór okazały, stopa na jakiej żyją, nawyknienie do mierzachowania się z niczém.

Mościński zgryzł się mocno. Po krótkiej rozmowie przyjaciel odszedł, a ojciec pozostał sam z myślami.

O snie mowy nie było; panna Alfonsyna z miss Burglife były jeszcze w teatrze. Hrabia, namysliwszy się dobrze, przez służącą zażądał, aby po powrocie miss Burglife mogła się z nim widzieć sama na sam. Nie wiedział dobrze co pocnie, gotów był uleść nareszcie skłonności córki dla jej szczęścia — lecz postanowił wprzód rozmówić się o tém z Angielką, w której rozum praktyczny nawykł był wierzyć.

Długo przyszło mu oczekiwać na powrot z teatru; nareszcie powóz zaturkotał, panie powróciły, a w pół godziny potém służąca przyszła dać znać, że miss oczekuje w salonie.

Hrabia wyszedł po cichu, Angielka nie mogła pojąć co znaczyło to tajemne wezwanie, domyślała się jednak że jest w związku z księciem i jego staraniem.

— Łaskawa pani, szepnął hrabia, odchylając ją do okna — nawykłem ją uważać za przyjaciółkę mojego domu, w ważnych okolicznościach wiem że mi nie odmówisz światłej rady. Właśnie dziś jestem w położeniu takim... Potarł czoło. Osądź pani sama, powiem to w dwóch słowach. Zostałem oszukany, acz szukałem się sam. Ks. Brańscy, których widziałas pani przepych, których ja sądziłem bogatymi — są najzupełniej zrujnowani. Lada chwila wyzuci będą ze wszystkiego.

Angielka aż krzyknęła z podziwu i przerażenia.

— Czyż to być może?

— Jest co do słowa jak mówię. Alfonsyna może się do zbytku już z méj winy przywiązała do ks. Roberta. Jest to uczciwy młody człowiek, lecz i tu jest—ale... Pomijam to, mów mi pani, co poczwać? zerwać? iść na przebój? Alfonia ma dosyć dla siebie i dla męża, choćby był księciem, to pewna, lecz jeśli przyjdzie dźwigać jeszcze całą familią?

Angielka powtarzała—och! i — ach! łamała ręce, chodziła — pomieszana była nadzwyczajnie. Hrabia czekał co powie.

— Wiész hrabia co—rzekła w końcu—ja—ja nie mogę na siebie brać odpowiedzialności za radę żadną, lecz wychowałam tak uczenicę moję, tak wierzę w jej rozsądek zdrowy, iż sędzę najwłaściwszém wprost się do niej odwołać. Powiedz jej pan szczerze jak rzeczy stoją, niech ona o sobie rozstrzyga. Jeslibyś pan uważał iż serce zbyt wielką ma nad nią przewagę, odezwiemy się naówczas... Alfonia jest daleko dojrzałą niż pan sądzisz.

— A! nieszczęśliwe dziecko — jęczał hrabia—nieszczęśliwe dziecko, jeśli się już do niego przywiązało, nigdy sobie tego nie przebaczę.

— Bądź pan spokojny—ja mam pewien wpływ na nią; do jutra namyśl się kochany hrabio—przy śniadaniu ja państwa samych zostawię, powiesz jej wszystko otwarcie.

— Na miłość Bożą, do jutra staraj się ją pani

przygotować! dodał hrabia — radbym jej oszczędzić cierpienia.

— Bolesć jest naszym udziałem! patetycznie, dygając, dokończyła miss Burglife.

Tak tedy stanowcza rozmowa odłożoną została do jutra rana. Nocą snił wzburzony wypadkami dnia hrabia, że się bił z generałem, który mu jego żelazną kasę chciał skonfiskować. Obudził się cały w potach i z bólem głowy.

Godzina śniadania nadeszła aż nadto prędko, radby ją był odsunąć. Alfonsyna przyszła dosyć wesoła i to jeszcze bardziej utrudniło ojcu zwie-
rzenie, które ją zasmucić miało. Wyjście miss Burglife było znakiem chwili stanowczej, hrabia zaczął od pocałunków, uścisków i oświadczeń miłości ojcowskiej. Panna słuchała ich dosyć obojętnie, jak rzeczy do której była nawykła.

— Moje dziecko drogie, począł wreszcie, nie bez trudności, zagajając ten przedmiot drażliwy—
jesteś już w wieku, w którym własną się wolą i rozsądkiem rządzić możesz... nie ścieśniam twęj woli, nie chcę się opierać uczuciom, pewien będąc ich szlachetnego kierunku. Obowiązkiem jednak ojca jest dziecku wszystko przedstawić, co doświadczenie dozwala przewidzieć w przyszłości. Przyznam ci się, że ja stary, ostrożny, praktyczny człowiek, zostałem przecież, jak się tu przekonywam, oszukany. Uważałem projekt małżeństwa z ks. Brańskim za bardzo świetny.

Alfonsyna zmarszczyła brwi, ojciec się poprawił.

— Mówię nie przeciwko człowiekowi, wszyscy go chwala — lecz niestety! oni są... oni są... bar' uci!

— To nie może być! zaprzeczyła Alfonsyna.

— Daję ci na to słowo honoru, grosza przy duszy nie mają. Lada chwila majątki idą na licytacyą i te palace, i te wspaniałości, i ten przepych co ich o zgubę przyprawił — w proch się rozsypią. Co tu robić? Chceszże ks. Roberta zrujnowanego, bez majątku?

Hrabia, mówiąc, wlepił oczy w córkę i ciągle mu się zdawało że będzie mdlała, spoświadłość na twarzy, sięgał już po dzwonek, ale przemógłszy pierwsze wrażenie, hrabianka zmarszczyła się, zachmurzyła, zacięła usta — nie mówiła nic. Ojciec czekał.

— Papa wie o tém dobrze? odebrała się sucho.

— Zaręczam za to.

Nastąpiło milczenie.

— Więc nas chcieli podejść i oszukać? szepnęła Alfonia.

— Myślę że nie — któż ich wie i zrozumie? ks.

berta chwalał wszyscy. Lecz to są ludzie lekko-myślni — sami może nie wiedzą jak stoją. Jednego wala posądzam, ten filut być musi. A jeśli tak nieopatrni, co za rękojmia na przyszłość? Mię trzeba karmić i smarować, he? Jak ja oczy

zamknę, ty sobie z nimi rady nie dasz, nie do zjedzą. A co potém?

Córka i ojciec zamilkli, ale w końcu: zamiast mdłości, łzy wytrysnęły z powiek Alfonsynie, nie łzy żalu, ale gniewu, z którym wybuchnęła tak widocznie, iż ojciec się na nim omylić nie mógł. Uczucie to uradowało go prawie, znajdował je w córce bardzo naturalném i szlachetném, wolał je zresztą, niż boleść i gwałtowną miłość. Odetchnął biedny. Panna Alfonsyna rączką uderzyła w stół.

— To niegodziwie! to szkaradnie! zawołała. Ja nigdy nie przebaczę! Niech papa natychmiast odnajmie mieszkanie, wracajmy na wieś, ja go widzieć nie chcę! Takiego oszukaństwa nie zniosę! To oburza!

— Na miłość Bożą, przerwał uradowany hrabia, pohamuj się—ja wszystko biorę na siebie. Dam ks. Robertowi grzeczną odprawę, zerwę, jeśli chcesz.

— Tak jest, zerwać! podchwyciła Alfonsyna—zerwać natychmiast!

— Ale się wszakże nie oświadczył? rzekł hrabia.

— Zamknąć mu drzwi, jeśli tylko polowali na majątek! dodała panna.

— Dobrze, moje dziecko, dobrze! dzięki Bogu, znajduję w tobie tyle rozsądku i poczciwój dumy, ilem się nawet nie spodziéwał. Bardzo to ładna rzecz nosić tytuł książęcy, ale przy nim cierpieć

biędę i wplątać się do licznej familii, którą całą-
byśmy potem utrzymywać musieli...

Alfonsyna płakała, ojciec ją utulał jak mógł, miss Burglife, czatująca pode drzwiami, weszła w pomoc ojcu, rzucając się w objęcia swęj wychowanki.

— Widzisz pan, zawołała z pewną dumą do ojca, iż nie daremnie odwoływałam się do córki pańskiej, której wychowaniem się szczycę. Przemówił w niej rozsądek—niech to... uspokoi na przyszłość.

Mościński był w zachwyceniu, córka... wiem jakby odgadła jego myśl: trzeba było... z Brańskimi. Ze wszystkiego to mu się zdało rozsądniejszém — ale jak? Hrabia, który... le umiał obchodzić się z najprzebieglejszymi kupcami, gdy szło o sprzedaż pszenicy w Odessie, w innych życia wypadkach był niedoświadczonym i bojaźliwym. Nie chciał sobie narazić Brańskich, ani zbyt rozgłośném uczynić zerwania, łamał głowę napróżno nad wyborem środków, a w końcu musiał znówu lecieć do p. Aurelego po radę.

— Przyjacielu drogi—do twojego serca się odzywam. Głupstwo moje zadzierzgnęło węzeł; naucz mię jak go rozwiązać gładko i pocichu.

Taką przemową ledwie powstającego z łoża po wesołym wieczorku, siedzonym w zbyt młodém towarzystwie, powitał hrabia p. Aurelego Zarebskiego.

— Mów jaśniej i bez metafory; o co chodzi?

— O zerwanie z ks. Robertem. Moja droga, złota Alfonia odrzuca go, nie chce, wyraźnie mi to oświadczyła. Oburzyło ją to, że się o majątek starano, nie o nią. Al! co to za charakter! powiadam ci, to dziewczę jakich niema. Musiemy zerwać, wyjedziemy natychmiast, idzie o to, żeby awantury nie robić. *Des gens comme nous n'ont pas l'habitude de casser les vitres.*

— Powc' , powoli, ziewając rzekł Aureli. Zerwać jest bardzo łatwo. Masz doskonały pozór, nie tv' ąc drażliwój strony majątkowój. Powieśz st, bardzo grzecznie, iż wypadek w tea- l zbyt rozgłośnym, abys o przyczynach je- wiedział, dodasz, że szczęścia córki nie mogłbyś powierzyć człowiekowi, który resztki dawněj pasyi nosi zapewne w sercu, cós w tym rodzaju.... Dasz sobie radę, ja ci tylko temat na- stręczam.

Hrabia, zawsze skłonny do czulości, rzucił się w objęcia przyjaciela.

— Masz słuszność! tyś genialny! Wystaw sobie, że mnie to nawet na myśl nie przyszło. Doskonale! Będzie to trochę przykra chwila do przebycia — ale dla jedynego dziecka należy się poświęcić.

Środek więc był znaleziony, a Mościński, pragnąc jaknajrychlej zbyć się ciężaru, kazał natychmiast jechać do mieszkania ks. Roberta. Zastał go,

jak zwykle, w fotelu, zadumanego, ze zgasłem cygarem. Ocucił się, jakby do spełnienia obowiązku, ujrawszy Mościńskiego i poznał od razu z jego twarzy jakąś zmianę. Prosił siedzieć, nie dopytując się jednak.

Hrabia, tak zwykle miękki i serdeczny, nagle stał się krochmalnym i kwaśnym. Z samego przywitania można było wnosić że coś zaszło. Ks. Robertowi było to obojętnem dla siebie, lecz szło o los rodziny. Niespokojnie trochę zwrócił się ku swemu gościowi, który miał rękawiczki i karetkę w rękach.

— Księżę, wydlawił z siebie Mościński, nie tu przykry sprowadza dziś obowiązek. — Patrzył nań, nie badając — czekał co da się powiedzieć.

— Z prawdziwą życzliwością otworzyłem księciu dom swój i zbliżyłem go do swej córki, będąc pewnym, że serce jego było i jest wolnem; na nie szczęście głośna przygoda w teatrze...

— Oszczędź-że sobie, kochany hrabio, trudu mówienia dalej, ja już rozumiem — rzekł ks. Robert spokojnie. Masz pan zupełną rację. Posłuszny woli mojej rodziny, pewien będąc że raz wzięte na siebie obowiązki spełnię uczciwie — starałem się o hrabiankę, ale się nie narzucam, panie hrabio — jak skoro pan znajdujesz...

Mościński spodziewał się, że to pójdzie trudniej.

— Ja za kilka godzin wyjadę — dodał księżę,

wstając z krzesła z zupełną swobodą, głosem spokojnym—niechże hrabia nie zadaje sobie żadnego trudu, nie zmienia projektu pobytu w Warszawie. Ja wyjeżdżam. Proszę byś raczył złożyć moje uszanowanie hrabiance i miss Burglife.

Mościński, w tej chwili odprawiony, tak bez ceremonii, bez żalu, bez wymówek, czuł się niemal upokorzonym; zdało mu się że nie on księciu, ale księżę jemu dał odprawę.

Robert wyglądał tak dumnie, tak pańsko, tak niewzruszenie pogodnie, jakby najmniejszego nie miał żalu po Alfonsynie. Oburzyło to czu- oj- ca. Z sędziego zmieniał się na ofiarę; sta- luszem, nie wiedząc co począć, co mę- wyjsć — dziwnie mu było niewygodnie i Scenę tę całą wyobrażał sobie, jadąc, całkiem miennie—sądził że księżę uniewinniać się będzie, prosić, przebłagiwać, że wyjdzie zwycięzko naostatek, a wyszedł pobity, małeńki jakiś i skonfundowany.

Ks. Robert z wymuszoną grzecnością odprowadzał go aż do drzwi samych, kłaniając się z uśmiechem; Mościńskiemu wyrazów brakło, gniewał się i nie mógł już wypowiedzieć swojego gniewu. W samym progu ks. Robert się zatrzymał.

— Pozwolisz mi pan hrabia na ostatku przy pożegnaniu uczynić sobie jedną uwagę, która mu na przyszłość będzie przydatną. Ja—jakkolwiek przybyłem do Warszawy towarzysząc państwu,

ani hrabiance Alfonsynie, ani panu dobrodziejowi urzędownie się nie oświadczyłem. Nie przeczę że miałem myśl, że mogł mieć projekt, jeśliby serce moje przemówiło. Ale serce nie przemówiło. Właśnie dziś byłem zdecydowany pożegnać państwa i powracać do Brańska, gdyś hrabia mnie tak niespodzianie a szczęśliwie uprzedził. Lecz, kochany hrabio, jako kuzynowi, pozwól bym ci oświadczył, iż do tego wystąpienia nie miałeś najmniejszego prawa; któż za mnie mógł zaręczyć, że ja się staram? *Między nami*, rzekł z przyciskiem—*między nami*, panie hrabio, *nic nie było. J' ai l'honneur de vous saluer!*

To mówiąc, ks. Robert skłonił się nisko i zamknął drzwi za hrabią, który był czerwony i trząsł się gniewu.

— A to kawaler! niema co mówić! miły chłopiec! mruczał, odchodząc. Co za ton, do lokajaby tak nie mówił! Dobrze im tak, niech giną, zasłużyli! Niepoprawieni są!

Wróciwszy do domu, Mościński poszedł do córki, ale nie wprzód, aż się uspokoił i ochłonął. Hrabianka Alfonsyna nie śmiała go spytać o nic—oczy miała czerwone. W pokoju słychać było wodę pomarańczową, laurowe krople, wódkę kolońską, wszystko co towarzyszy pocieszeniu gwałtownie strapionych. Miss Burglife siedziała przy nieboracze.

— Tego ... co chciałem mówić — odezwał się

w progu Mościński — my nie mamy potrzeby się spieszyć — dałem mu porządną odprawę, on sobie jak zmyty dziś jeszcze rusza, gdzie pieprz nie rośnie. Przebyłem, prawda, dla miłości Alfonsyny, ciężką chwilę, bardzo przykrą — ale rzecz skończona, zerwana stanowczo. On jedzie, myśmy wolni. Alfonsyna rzuciła się w objęcia miss Burglife, która potajemnie dała znak hrabiemu, ażeby się nad tem nie rozszerzał.

Mościński zamilkł, ale mu się to nie podobało. Gdy po chwili wysunął się z pokoju córki, miss Burglife wybiegła za nim.

— Omyliliśmy się — szepnęła — ona go kocha, były mdłości. Prawda że się pognięwała, że w gniewie się wyrzekła, lecz w sercu tkwi głęboko miłowanie. To przejdzie kochany hrabio, czas ją uleczy. Znajdzie się ktoś inny. Już to nie można powiedzieć inaczej, tylko że księżę jest bardzo, bardzo dystyngowany człowiek i piękny mężczyzna, jednak z czasem go zapomni. Ja będę się starała, niech hrabia będzie spokojny.

Ze spuszczoną głową Mościński powlókł się do brudnego pokoiku. „Niema nieszczęśliwego człowieka nademnie, myślał w duchu — robię co ona chce, a nigdy nie jest zadowoloną. Kazała mi dać odprawę, teraz się rozpada! Kobięty, nawet najrozumniejsze, zawsze, zawsze są niekonsekwentne. Bądź-że tu mądry! Teraz go już napowrót nie zła-

pie, i lepiej, lepiej... Niech się przemęczy raczej, niż miałyby całe życie być nieszczęśliwą.

Po wyjściu hrabiego, ks. Robert chwycił natychmiast za dzwonek; wbiegł służący.

— Pakować! zawołał—jedziemy!

Na stole, niepostrzeżony dotąd, leżał od rana list z poczty miejskiej; oczy księcia padły na kopertę i twarz oblała się purpurowym rumieńcem. Patrzył nań, jakby obawiał się wziąć go w rękę, stał nad nim i drżał cały. Po wyjściu służącego wyciągnął dłoń, spojrzął na pieczętkę. Tak, była to też sama którą znał dobrze, którą tyle razy łamał, okrywając pocałunkami. I pismo toż samo było które mu przynosiło szczęście. Długo wahał się książę Robert i list położył na stole.

— Poco budzić to, co przysute popiołami? poco wracać do przeżytych bólów? Znalazłbym ból tylko, tylko nową truciznę, cierpieć dosyć.

Odwrócił się od listu, poszedł do okna — stał osłupiały i myślał znowu.

— Ostygły jestem, wszak to już na mnie żadnego nie powinno uczynić wrażenia. Dlaczegożbym miał odmawiać kobiecie prawa bronienia się, którego nie odmawiają zbrodniarzom? Ona chce pewnie tylko czystą, czystsza okazać się w oczach moich. Miłości między nami być nie może, miłość

to zabita, okrwawiona; lecz czemużbym jój nie miał posłać wyrazu przebaczenia i pociechy? Tak — obawa moja przesadzona. Przed godziną nie mógłbym, nie powinienem był dotknąć tego listu; w tój chwili jestem już wolny, należę do siebie.

Zbliżył się ku papierowi leżącemu ciągle na stoliku, brał go już ręką drżącą i cofnął się znowu.

— Nie—myle się—mówił w duchu—miłość ta nie została zabita, ona trwa, jam się nią palił i dręczył, jam się jój pozbyć chciał, choćby najdroższą uczucia wszelkiego ofiarą... nie mogłem. Cóż będzie, jeśli przygasła odżyje—jeśli ona się uniewinni? Jam nie miał dowodu winy — jam miał tylko namiętność ślepiącą. Co będzie, jeśli padnę do jój nóg, prosząc o przebaczenie? A! nie—stokroć nie! Ja nie należę do siebie, ja jestem własnością rodziny, dla której jak najdrożej sprzedać się muszę. Poco? Ale jedna jeszcze w życiu szczęścia godzina! jedna chwila! błysk! jeden—a potem choćby umrzeć. Spojrzeć w te oczy, w których boska pali się iskra, usłyszeć głos, uczuć jój dłoń!...

I jak szalony ks. Robert chwycił za list, rozerwał kopertę, rzucił okiem, czytał, pożerał. Twarz mu bladła i czerwieniała, wargi drżały, po licu biegały płomienie, brew się marszczyła i opadała nieruchoma, usta krzywiły się jak do jęku i otwierały jakby chciał krzyknąć. Stał tak długo, znać czytał i odczytywał znowu i nie mógł nasycić się

temi wyrazy. Nagle list wcisnął do kieszeni, chwycił kapelusz i wybiegł.

Ktoby go widział przesuwającego się ulicą, z oczyma które nie widziały nic, potrącającego przechodniów, nieumiejącego znaleźć drogi aż nadto znanéj, pomijającego znajomych bez powitania, łatwoby się domyślił, że ten człowiek był pod władzą despotyczną uczucia, które nim miotało, odejmując mu przytomność. Dobiegł tak aż do wskazanego domu, w którym mieszkała hrabina Natalia, zadzwonił, służący mu otworzył i nim pośpieszył go wstrzymać, spytać, zagrozić mu drogę, Robert już był w salonie, a nie znalazłszy w nim nikogo, szedł przez dwa pokoje, nie zastanawiając się aż u drzwi sypialni. Gwałtownie rozwarł je— wszedł.

Hr. Natalia klęczała i modliła się. Odwróciła głowę, wyciągnęła ręce, krzyk się dał słyszeć, potem cisza. Biedna kobieta, ze złytku szczęścia którego się nie spodziwała, zemdlała. Lecz omdlenie które mogło zabić, przeszło w jedną chwilę, otworzyła oczy, wskazała mu krzesło. Grobowe milczenie panowało przez chwilę, płacz tylko słychać było.

Robert, ze spuszczoną na ręce głową, siedział jak wkuty.

— Przychodzę przebłagać— daruj mi— rzekł— kochałem cię nadto, bym mógł trzeźwo sądzić. Dla mnie dosyć było widzieć go u ciebie; nie wie-

działem że wszedł, przepłaciwszy sługi, mimo twój woli, i gdym go zastał, ty...

— Posłuchaj mnie — głosem znękanym odezwała się kobieta — moje życie się skończyło, moje serce zeschło, jam łzy wyplakała. Niczego nie chcę, niczego się nie spodziewam, lecz pragnę jednej na świecie tylko rzeczy, jednego dobra... chcę być w twych oczach czystą. To mówiąc, chwyciła krzyż stojący na kłęczniku. Robercie—zawołała—na to znamię zbawienia i na zbawienie méj duszy ci przysięgam, jam cię nie zdradziła. Chciałam byś tylko te z ust moich usłyszał słowa—nie chcę nic więcej. Jesteś wolnym—idź.

— Natalio, przebacz!

— Przebaczyłam ci wszystko, kochałam cię może mocniej, dlatego żeś mną pogardził i chciał mieć czystą... kochałam, lecz dziś już we mnie serce zamarło. Podajmy sobie dłonie, powiedzmy sobie nazawsze, na wieki: żegnaj cię! i—rozstańmy się. Idź, błagam, proszę cię—idź!

— Nic więcej — głosem stłumionym odezwał się Robert, unaję się nademną, siły mi braknie. A! gdybyś ty wiedziała, ale ty tego nigdy wiedzieć nie będziesz, co ja wycierpiałem... Jam cię kochał nawet wyrzucając zdradę, jam nigdy nikogo nie kochał, nie kocham, nie potrafię ukochać, prócz ciebie. Ale ja jestem niewolnik—dodał ciszej—ja muszę być sprzedany...

Ironiczny śmiech przesunął mu się po ustach.

— My jesteśmy zrujnowani, my nie mamy nic. Dla mnie—cóż to dla mnie znaczy? ja poszedłbym znowu nosić karabin; ale ojciec stary, ale siostra, ale to ciężkie spadkobierstwo imienia. Tak—Natalio, ja będę sprzedany, jam się już o mało nie sprzedał, mówił ciągle z goryczą—ale kupiec znalazł mnie niedość dobrze zachowanym. Cóż mnie to obchodzi? dla mnie bez ciebie życia niema, szczęścia niema... ja tak powoli dogoreję, z obrazem twoim w sercu i myśli. Słuchaj, Natalio—mówisz o swém sercu umarłém, niech choć w zdrętwiałém zostanie dla mnie wspomnienie. Jam cię tak kochał, jak nigdy człowiek żaden niewiastę—ja dziś, pod brzemieniem obowiązku, ze wspomnieniem ojca, domu, tych wszystkich, którym poświęcić się muszę, — czuję, że za chwilę może zdradziłbym ich, zapomniał, wyrzekł się, gdybym...

— Dosyć, Robercie — dosyć! nie mów! krzyknęła Natalia, zrywając się z siedzenia—zaklinam cię — idź — nie wskrzeszajmy szalu, nie budźmy niemożliwych nadziei. Na ziemi niema i nie może być szczęścia; są błyski, myśmy taki błysk przeżyj! umiejmy żyć pamięcią chwili. Dziś, dziś już na szczęście zapóźno! Nic wskrzeszonego nie żyje. Ale dopóki zeschę to serce bić będzie—jam twoją—o! jam twoją!

Robert się zerwał, kobieta splakana klęczała u kolan jego i obejmowała je, płacząc jeszcze.

— Przebacz mi, rzekła — byłam płochą może, nim poznałam ciebie, lecz pragnęłam ciebie być godną, podniosłeś duszę moją. Miłość twa oczyściła mnie! przysięgam ci że w tém sercu, po tobie, chyba Bóg zamieszka. Ono było i jest twojem!

— Uwierz-że mnie—uwierz że m kochał i kocham, i przeklinając, jeszcze był twoim cały. Pamiętasz ten obraz twój, który chwyciłem gwałtem wówczas, gdy się miłość moja otwierała jak kwiat do słońca. Aż do dziś dnia pozostał on przy mnie, jako jedyna pociecha strutego życia. Sto razy chciałem go rzucić w ogień i stokroć gotówem był paść w płomień, by go ocalić. Całe dni z nim byliśmy sami, nie przeżyłem dnia jednego bez niego. Budziłem się by nań patrzeć—zasypiałem ze wspomnieniem.

— Idź! idź! zawołała wstając Natalia — ja się lękam, ja cię proszę! Podaliśmy sobie dłonie, przedjednani rozstańmy się siostrą i bratem na wieki. Zdala żyć będziemy z sobą zawsze.

— Pozwól mi zostać—to mój dzień ostatni. Jadę—muszę jechać. Tam czekają na mnie. Twój krzyk bólesci w teatrze ocalił mnie nadługo pewnie. Więzy które już zakuć miano — rozpadły się, oddycham chwilę. Niech ją z tobą przeżyję.

Natalia płakać zaczęła.

— Lękam się, rzekła, aby ci widok mój dzisiejszy nie zatarł wspomnień obrazu—ja chcę być

zawsze dla ciebie tą, którą pierwszy raz zobaczywszy, ukochałeś jednem wejrzeniem. Dziś—ja trupem tamtęj jestem.

— O! nie—przerwał Robert—mnie spaliła boleść, tyś w niej nabrała męczeńskiego blasku, tyś jak anioł piękna, a ja cię Kocham! ja cię Kocham!

Słyszac ten wykrzyk, hrabina odsunęła się od niego.

— Robercie, zaklinam cię — odejdz! Klęczałam u krzyża gdyś wszedł, chce być godną pokłęknać przed nim znowu, gdy ci podam dłoń do pożegnania nazawsze. Niech miłość którą krew oblała zostanie czystą, świętą, braterską. Błagam cię.

— Niech będzie czystą, braterską i świętą! powtórzył Robert.—Lecz, droga Natalio, nie wypędzaj mnie od siebie, nie rachuj mi chwil, daj mi się napaść blaskiem twych oczów, nasłuchać głosu twojego, aby mi one świeciły, aby mi on brzmiał w osamotnieniu i niewoli. W życiu może się nie zobaczymy więcej; ja nie przyjdę, bo nie chce być krzywoprzysięzcą, ty mnie szukać nie będziesz. Pozwól mi zostać.

— Chodźmy więc do salonu—zawołała, drzwi otwierając, Natalia. Wpadłeś tu przebojem, niech ludzie myślą co chcą! lecz nie uciekajmy od nich, ja tam o ciebie i o siebie spokojniejszą będę. Zostań! zostań!

Wyszli oboje. Hrabina Natalia zadzwoniła drżącą ręką.

— Brat mój przyjechał na chwilę — odezwała się do służącego, drzwi moje zamknięte, nie przyjmuję nikogo.

Służący wyszedł, zostali sami. Szał pierwszego spotkania ostygł powoli, ochłonęli oboje. Natalia otarła łzy, zaczęła się cicha rozmowa... Któż taką rozmowę powtórzy? Był to kwiat co wykwił między dwiema przepaściami — przeszłością bez powrotu — przyszłością bez nadziei. Kobięta pierwsza odzyskała panowanie nad sobą i trochę rezygnacyi a spokoju. Robert pozostał w gorączce. Co chwila hamować go musiała wzrokiem i słowem, a pohamowany zrywał się znowu szalem i namiętnością. Siedzieli tak, milcząc, godzinę, zapomniawszy dnia, nie czując czasu. Służący wchodził, mówił coś, oznajmywał, wychodził... nie wiedzieli co powiedział i z czem przyszedł. Robert się zrywał odchodzić, Natalia prosiła go, ażeby został jeszcze chwilę, jeszcze minutę. Potém ona kazała mu iść, on się od progu zawracał.

Zmierzchało, gdy u drzwi cicho rzucili się sobie w objęcia i pozostali tak z rękami splecionemi na szyi, aż Robert rozerwał jej dłonie, ukląkł, ucałował jej stopy, a gdy Natalia otwarła oczy, już go przed nią nie było.

Wieczór był letni, słońce zapadało za lasy ciemne; ogród brański cały leżał w mrokach i chło-

dzie. Około dworu panowała cisza zwyczajna, uroczysta, przerywana zaledwie ostrożnym chodem sług i szeptem spotykających się ludzi. Ks. Serafin wracał z kapliczki, odmawiając resztę paciérzy. Wincentowicz szedł z polowania od lasu, z torbą prózną, z głową zwieszoną. Burski przechadzał się z rękami w tył po napoleońsku założonemi, dumając może o legionach i czarnookich Włoszkach. Okna pokojów generała były pootwierane, a on sam gospodarował około ulubionych swych sprzętów. Zbroja jedna zaczęła mu była rdzewieć, kazał ją przy sobie czyścić i napuszczać oliwą. Szambelan słuchał monotonnego czytania swego sekretarza, który mu z Bielskiego kroniki nie wiem który raz bitwę grunwaldzką powtarzał. Starzec udawał że słucha, lecz myślą znać był gdzieindziej i roztargniony.

— Daj waćpan już pokój temu, trochę ciemno się robi, dokończym to innym razem. Proszę się spytać, czy posłaniec z poczty przyjechał.

Sekretarz poszedł, wrócił i oznajmił, że posłaniec był, lecz listów żadnych nie przywiózł z sobą.

Szambelan, który przed swym dworem nie zwykł się być nigdy wynurzać z myślami, choć go to zdziwiło mocno, nie rzekł nic.

— Proszę waćpana generała do mnie wezwać, jeżeli ma czas.

W kwadrans potém chód żywy ks. Hugona dał się słyszeć w przedpokoju—otwarły się drzwi.

— Dobry wieczór. Co szambelan rozkaże?

— Nic ci, mój bracie do rozkazania nie mam, westchnął stary, a radbym się tylko poskarżyć. Wystaw-że sobie, znowu poczta przyszła próżna. Listu jak niema tak niema: niedarowane niedbalstwo! I hrabia niegrzeczny, i ten Robert. Czy tak się tam zapamiętała kocha?

Generał ruszył ramionami.

— E! nie—rzekł, ale zawsze też sama historia z tą Warszawą. Gdy się tam człowiek dostanie, na nic czasu nie ma, to wiadoma rzecz. Nie trzeba się tém niepokoić. Nawet panna Alfonsyna, która Stelli przyrzekała pisać, od pierwszego swego biciku już zamilkła. Może być że im się tam trudno urządzić, to, owo... Wszystko to wyklaruje się wprędce. Bądź pan brat spokojnym.

— Jednakby już czas było, ażeby o sobie znać dali, szepnął szambelan. Robert się nigdy tak nie zaniedbywał w swych obowiązkach.

— Kochany bracie, na ten raz należy być wyrozumiałym—staranie o pannę, świat, znajomości, bieganina—rzekł generał.

— Lecz jużby też na napisanie kilku choćby słów czas się powinien znaleźć, zwłaszcza do ojca, powtórzył ks. Norbert.

Na to generał jakoś nic odpowiedzieć nie umiał.

— Wierzaj mi, Hugonie, dodał powoli stary—choć do naszego domu nie dopuszczamy zatrutego oddechu wieku, wciska się on mimo nas. Ludzie

się psują, stosunki rodzinne wypaczają, znika dla starych poszanowanie, lekceważą się obowiązki. Młodzi górę biorą na świecie, a czy ich panowanie lepszym będzie—to rzecz wielce wątpliwa.

— Robertowi wszakże pod tym względem nic zarzucić nie można, bronik ks. Hugon; pomimo że do lat czterdziestu się zbliża, uległości synowskięj wcale się nie zaparł. Dobry to, zacny i poczciwy chłopak, który wstydu nam nie robi.

— A niech-że nas Bóg strzeże, by się w rodzinie znalazł kto, coby gniazdo nasze czyste pokalał—odezwał się szambelan. Znam Roberta, jak wy, i kocham go pewno niemniej od was, tylko mi się to postępowanie nie podoba. To już ta nieszczęsna emancypacya! Emancypuje się wszystko i wszyscy, z pod rządów Bożych, z pod władzy ojcowskieję, z pod posłuszeństwa mężów i rodziców.

Rozśmiał się książę Hugon.

— A! tylko nie w Brańsku! nie w Brańsku! przerwał wesoło—u nas jeszcze patryarchalny, na miłości oparty trwa stary porządek.

— I mam nadzieję że nam tu nowych idei a nieładu z niemi nie wniesie hrabianka Alfonsyna, choć ją Angielka wychowała, a między Anglikami nurtują różne opinie. To zdaje mi się dobre dziecko.

— I mnie się tak zdaje—potwierdził generał—zresztą, gdyby nawet weszła w nasz dom z trochę innemi wyobrażeniami, wpływ tutejszēj atmosfery

musi na nią oddziałać — nie może się nam zbuntować.

— Ze wszech miar szczęśliwe obiecuje się małżeństwo, dodał szambelan. Robertowi, choć to jeszcze młode, czas było żonę pojąć, sama pora. Imię dobre, choć hrabstwo niekoniecznie, ale się to utarło; ojciec poczciwy człek, choć mu na powadze zbywa, majątek słyszę bardzo znaczny, pan-na wychowana starannie, a że nie piękna, — bo trudno powiedziéć żeby piękną była — to i lepiej. Robert się do twarzy przyzwyczai, a dobrą żonę kochać będzie; jéjmość zaś nie tak w sobie zakochana, jak bywają owe cuda wdzięków, przywiążę się łatwiej do wiejskiego domu i życia. Słowem, mój generale, ja w tém wszystkiém widzę rękę Opatrzności i opiekę Jéj nad domem naszym. Byle przyszło do skutku.

— Ale to nie ulega wątpliwości — zawołał książę Hugon — hrabia pragnie tego związku nad wyraz wszelki. Umié on ocenić co znaczy nazwisko, które spadnie na jego córkę, jedno z najpiękniejszych imion w kraju. Alfonsyna formalnie zakochana w Robercie, czemu się nie dziwié.

— A on? a on? spytał ojciec.

— Hm! Robert dla kobiet w ogóle jest zimny — mówił generał — nadzwyczajnej pasyi po nim wymagać było trudno, jednakże zajął się nią wyraźnie. *Il lui faisait la cour*, jakem się niespodziéwał, bardzo przyzwoicie, i zawrócił głowę hrabiance.

— Robert każdéjby się musiał podobać, rzekł szambelan. Podobniusiénki do mojego ojca, a ten, jak wiész, na dworze saskim należał do najświetniejszych gwiazd. Król August mówił o nim, że piękniejszego nie widział mężczyzny. Teraz—kończył szambelan, myślę tylko już o weselu. Hrabia musi wymagać aby się odbyło na Podolu. Proszę cię, co to za kłopot, powozy, ludzi, konie tak odlegle przeprowadzić. Hrabia wystąpi pewnie, przy przenosinach, o którychby zawczasu pomyśleć należało. Dla mnie podróż—jeśli jeszcze pora roku będzie niedogodną—bardzo ciężka, a pojechałbym zyczył. Wszakże to syn jedyny.

— No—do tego jeszcze daleko może! rozśmiał się generał.

— Zwlekaćbym nie chciał — jestem-bo stary, to darmo, metryka przypomina memento mori. Chciałbym już Roberta widzieć ożenionego, dobra sąsiednie okupione, dawną świetność domu przywróconą i umrzeć o mój ród spokojnym.

— Zapomniałeś o Stelli, musisz poczekać przynajmniej, póki jéj za mąż nie wydamy — odezwał się Hugon.

— Zdaje mi się że z jéj pięknością, imieniem — a no — i posagiem, mówił ojciec, nie będzie to trudném, choć ja z méj strony muszę być wybrednym, Lada komu jéj nie dam! to anielska dziewczyna.

— Tak, ale kto tu ją na wsi zobaczy?

— O to się nie troszcz. Ja mam przecucie, że

na weselu Roberta, na tém Podolu bogatém znajdzie się jakie tamtejsze ksiąŜątko. Czetwertyńskich jest duŝo, a ludzie bardzo pięknie wychowani, choć niemajątni, no, i Światopelki. Stelli bym nie chciał wydać za prostego hrabiego lub bogatego szlachcica, chociaż w samym domu Zamojskich mamy tego przykłady. Ale zawsze Zamojscy, to Sariusze, szlachta dorobkiewiczze, nie innego tylko dobra szlachta!

Rozprawiali tak i byliby nie wiem jak długo, puściwszy się na heraldykę, rozmawiać mogli, gdyby nie weszła księżniczka Stella, która ręce ojca ucałować chciała. Stary zobaczywszy ją, uśmiechnął się i ze wzruszeniem pocałował w słiczną główkę. Piękną-bo była, jak postacie w raju Fra-angelica, rozpromienioną swém anielstwem, a pełną wdzięku, jak młody kwiatek w poranku—pieszczona ojca dziecina, ukochana całego domu i nie zepsuta miłością, ale nią wyszlachetniona. Przybieŝy do kolan starego ojca, schyliła się do nich i drŝące ręce ujęła w białe dłonie. Generałowi, który stał z boku, łza się zakręciła pod powieką, coś mu jakby przeczucie ścisnęło serce; nie mógł ustać w miejscu i przypomniawszy że swych zbroi nie pozawieszał, powrócił conajśpieszniej na górę.

Wieczór był juŝ dość późny i zmrok coraz gęstszy, tak że dla poustawiania rozłożonego ŝelaztwa, trzeba było światło zapalić. Kroki jakieś ciche da-

wały się słyszeć w przedpokoju. Księżę Hugon sądził, że służący przynosi lampę i zawołał nań głośno, gdy wśród ciemności ktoś się zbliżył krokiem powolnym, ostrożnie. Poznać nadchodzącego było trudno, dopiero gdy przystąpił o kroków parę, generał postrzegł w nim księcia Roberta i z podziwienia krzyknął, a rękawica żelazna na ziemię mu padła.

— Co to jest? wróciłeś? kiedy?

— Cicho, kochany stryju, na miłość Bożą!— rzekł stłumionym głosem przybyły, chodźmy do gabinetu, musimy pomówić z sobą.

Niespodziane przybycie, ton jakim wyrazy te były wymówione, sama postawa Roberta i tajemnica którą się zdawał ukrywać, nad wszelki wyraz przeraziły generała; dorozumiewał się jakiegos nieszczęścia, ale nie mógł przewidzieć co się stało. Weszli razem do gabinetu.

— Kiedy wróciłeś? dlaczego? jak? począł generał, co to znaczy?

— Mówmy cicho—potrzeba się naradzić, ażeby ojcu nie uczynić przykrości, odezwał się ks. Robert. Powróciłem, bo nie miałem co robić w Warszawie. Koniec końcem, ani ja hrabiance, ani hrabianka mnie się nie podobała — musiałem zerwać.

— Jakto? ty? dlaczego? to coś nadzwyczajnego! mów mi prawdę!

— Hrabia znać musiał się dowiedzieć o stanie

naszego majątku — dodał ks. Robert, dosyc że on pierwszy krok zrobił. Nie mogłem postąpić inaczej, musiałem z méj strony...

Stary padł na krzesło i pochwycił się za głowę.

— A wiesz ty do czego to prowadzi? zawołał.

— Szambelan w błogiéj nieświadomości nie domyśla się niczego, ale my, tak dobrze ty jak ja — wiemy że małżeństwo i posag były jedynym ratunkiem, inaczej... zginęliśmy.

— Winy z mojęj strony niéma — rzekł sucho Robert. — Jakkolwiek, szczerze mówiąc, panna mi się wcale nie podobała i podobać nie mogła — zmuszałem się do grzeczności. Kazaliście mi jechać, pojechałem, chodziłem za nimi posłuszny, a w końcu... w końcu mi dali odprawę.

— Hrabia? ale cóż mu się stać mogło? oszalał!

— Zląkł się ruiny, rzekł Robert. Rzecz jest spełniona — nie mamy co mówić o tém. Zdaje mi się, że gdy kto raz odmówił Brańskiemu, nie możemy się, z sobą napraszać, trzeba myśleć co powiemy ojcu. Ojciec musi się uczuć obrażonym, dotkniętym, radbym mu oszczędzić cierpienia i dlatego, nie pokazując się we dworze, przyszedłem do stryja na radę.

Książę Hugon słuchał jak ogłuszony, nie zdawał się rozumieć wyrazów; zasepiony to podnosił wzrok na Roberta, to go rozpaczliwie spuszczał na ziemię. Ale rada którą miał dać synowcowi nie

przychodziła. Zbolały, zwątpiały, czuł tylko własne znękanie:

— Jeżeli stryjsądzisz, że mniej zaboli ojca mój kaprys, niż odrzucenie starań moich przez hrabiego — powiemy mu że wina jest moja. Może lepiej by się gniewał na mnie chwilę; niż uczuł że nami tak pomiatać można. Dotknie go to i upokorzy.

— Ja nic nie wiem, z ciężkością ozwał się generał — bądź co bądź, trzeba ojca twego oszczędzić, musimy skłamać. W jego wieku doznane nagle upokorzenie, oburzenie, gniew, są groźne. Szambelan żył i żyje, dzięki Bogu, w błogim spokoju, — oszczędźmy mu, ile się to da, cierpienia. Powiedzieć mu całą prawdę odrazu, znaczyłoby może go zabić. My, co żyjemy więcej z tym światem nowym, tak od starego odmiennym, wiemy że się po nim niczego pono spodziwać nie można — ale on — on! biedny, poczciwy Norbert!

Zalamawszy ręce, generał chodził i wzdychał.

— Ty się tu długo ukryć nie możesz. Któs wypadkiem powie żeś przyjechał, szambelan się domysli czegoś złego, może gorszego niż jest, to go może zabić. Trzeba natychmiast radzić.

I znowu przechadzał się zadumany.

— A no! — rzekł, zdaje mi się że to będzie jedyny sposób: Pan Bóg mi przebaczy pobożne kłamstwo moje. Pójdę i powiem mu, że ktoś wracający z Warszawy przywiózł mi wiadomość iż

powracasz i posłuch że jakoś z hrabią i hrabianką nie idzie, jakby Brańskiemu starającemu się o taką Mościńską iść powinno. Może go to trochę zmartwi, a jutro już ty oficjalnie przyjedziesz, no.... i—opowiesz jak ci się będzie zdawało najlepiej. Dziś przenocuj u Gozdowskiego, żeby cię nikt tu nie widział, albo u Zenona.

To mówiąc, uściskał go ze łzami w oczach. W téjże chwili dał się słyszeć dzwonek, zwołujący na herbatę i wieczerzę.

— Idź, żeby cię tu kto nie zastał—myśl co jutro powiesz; ja będę też głowę łamał—a jutro pójdziemy razem do starego.

Uściskali się w milczeniu.

— Ha, rzekł w duchu generał, schodząc powoli.—już teraz o ocaleniu nas mowy niema, idzie o to tylko, aby ruinę przeciągnąć, ażeby ją ukryć przed szambelanem. My, niedobitki, będziemy z godnością dźwigać nędzę naszą, ale ta biedna Stella, ten anioł, który...

W téj chwili wchodził do rzęsisto oświetlonego salonu. Jak na przekorę wszystko się w nim śmiało, jakby nikt nie przeczuwał jutra. Sparty na ramieniu córki, stary wchodził, uśmiechając się do niej, znowu rozweselony i z czołem bez chmury. Stella prowadziła ojca z czułością, z troskliwością poszanowania pełną, posadziła go na jego krześle, złożyła mu pod nogi jego poduszkę, przysunęła co zwykł był jadać wieczorem.

Antonina przybiegła jej pomódz, szambelan rozczulony opierał się tym zbytnim pieszczotom.

— Ale moje panny, moje panny kochane—mówił, śmiejąc się—ja bo nie chcę być tak starym, dam sobie radę; aż mi wstyd, że mnie tak dorlotujecie. Cóż to generała nie widać?

Generał spóźnił się był umyślnie; zato cały dwór pozostały był na swych miejscach, a do niego przyłączyli się młody Żurba i Gozdowski. Ks. Serafin odmawiał modlitewkę, złożywszy ręce; Wincentowicz się przeżegnał, spoglądając z ukosa na Burskiego, który tych praktyk religijnych w wojsku się oduczył, chociaż do kaplicy chodził regularnie.

— Cóż tam, księżę kapelanie, ryby mówią? spytał szambelan.

— Milczą, jasnie panie, rozśmiał się kapelan, nawykły do tego często powtarzającego się pytania; nawet raki się wyszeptaly — *silentium* jak u trapistów.

— Ale połów asindzieja dzisiejszy? boś pewnie na ryby chodził? he?

— A jakże! muszę, inaczejby w piątek z mięsem gotowano, więc to obowiązek sumienia. Dzisiaj tylko jeden szczupak niezgorszy, reszta płotki, parę linów i tyle.

— A pan Wincentowicz czem się pochwali?

— Jednym szarakiem, mości księżę—i to... kulawym—rzekł Wincentowicz, okazało się że mu

któs nogę dawniej przestrzelił, że się bez lekarza wykurował i dziś padł ofiarą. Jakoś tego roku zwierzyny mało.

— Ale ba—szepnął szambelan, wszystkiego dobrego na świecie coraz mniej. Cóż pan kapitan Burski porabiał?

— A cóż, mości książę, z kolei rzekł legionista, nie mam żadnej funkcyi na dworze waszjej książęcej mości, więc z założonemi rękami używam świeżego powietrza—jem i śpię, obserwuję tylko niebo i chmury.

— Wróży się pogoda?

— Niepewna, bo mnie coś po kościach łamie, a to u mnie barometr najpewniejszy.

Szambelan zwykł tak był po monarszemu wszystkich u stołu swego siedzących obchodzić pytaniami i darzyć słowem łaskawem; był to niezmienny obyczaj w Brańsku. Obrócił się więc do Żurby.

— A pan doktor praw czy zdrów i co porabia?

— Dziękuję w. ks. mości—na zdrowiu mi nie zbywa, ani na ochocie do roboty — ale zajęcia nie mam. Ojciec mnie nie dopuszcza do pracy i robi za nas dwóch.

— O! czcigodnyż to ten twój dobry ojczysko! zawołał książę—jak go długo nie widzę, to mi za jego pocziwą twarzą i sercem tęskno.

Odwrócił się do Gozdowskiego.

— Asińdziej jeździłeś pono kędyś?

— Za interesami w. ks. mości; nigdy na nich nie zbywa.

— Spodzielam się że nic tak ważnego?

— Nic—tak ważnego —tak ważnego niema nic, spuszczać głowę odezwał się cicho plenipotent, ale trzeba się zawsze pilnować.

— Dobry wieczór kochanej pannie Maryannie, kiwając głową, dokończył wreszcie szambelan.

P. Maryanna przysłała go w rękę pocałować.

— Konfitury się pewnie smażą, bo to właśnie czas! rozśmiał się staruszek — powodzenia życzę, cha! cha!

Wtém wszedł i generał, którego miejsce po prawicy szambelana stało opróżnione, ale chmurny widocznie. Stary dostrzegł to zaraz i pochylił się ku niemu!

— Co ci to? spytał, możeś list jaki odebrał, od Roberta czy od ks. sufragana.

— Nie — listu nie mam—bardzo cicho począł szeptać generał, schylając się także ku bratu; ale przejeżdżający z Warszawy Parsnicki do mnie zawitał i miałem przez niego nienajlepsze wiadomości.

— W jakim względzie?

— Tyczące się konkurów Roberta.

— Cóżby się tam miało popsuć? he?

— Zdaje się—Parsnicki zwiastuje nam nawet bardzo rychły powrót księcia.

— Ależ nie zerwał przecie? nie może być!

— Zerwać nie zerwał—odezwał się general— on tam dobrze tych szczegółów nie wie — słyszał tylko że coś zaszło i że Robert powraca; snadź dlatego nie pisał. Jutro pewnie będzie.

Gospodarz, który pił, słuchając, herbatę swoją, postawił filiżankę i popatrzył na brata.

— Tylko mi ty nic nie taj, generale. Wy macie ten nieszczęśliwy system, że obawiając się o mnie, kryjecie coś często przedemną. Ja nie jestem dziecko.

— To mówię co słyszałem, nic więcej nie wiem. Parsnicki powiada, że w stolicy strasznie się nasi hrabstwo wydają parafiańsko i śmiesznie, że to może Roberta zraziło. Nieprzyjemna w istocie rzecz, gdy ci się z narzeczonej śmieją, a powiem prawdę, Alfonsyna przy angielsce gustu nie nabrała, hrabia zaś nigdy go nie miał.

Szambelan sposepniał i milczał, drobił bulkę na obrusie zamyślony; nie odpowiadając nic, spojrzął na brata.

— Nie trzeba obwiniać ks. Roberta, on to bardzo dobrze rozumie, że księżna Brańska śmieszna być nie powinna. Gdyby królowną była a nie umiała się znaleźć, nie możnaby mu jój narzucać, boby się jój ciągle wstydzić musiał. Ale Parsnicki przesadza. Zaczny to obywatel, zda mi się wszakże iż chwycił nieco idei demokratycznych.

— Może—potwierdził general.

— Robert ma takt wielki. Zresztą zobaczymy

gdy przyjedzie, jeśli prawda że wraca. A hrabia?

— Ten podobno zostaje w Warszawie z córką.

— No i rotmistrz może tylko dla pomówienia z nami przyjeżdża.

— I to być może.

— Zawsze do jutra będę cokolwiek niespokojnym.

— Ja także, mruknął generał—a ponieważ nie ma jednak czem się tak bardzo niepokoić, zostaw mnie troskę i śpij, nie myśląc o tém—ja za dwóch będę się gryzł.

Nie chcąc okazać że się czegoś niemilego dowiedział, szambelan przybrał fizyognomią pogodną i począł znowu rozmowę ze swym dworem. Księżniczka Stella poznała tylko po twarzach stryja i ojca, że coś zająć musiało.

Nazajutrz rano po mszy świętej sekretarz przyszedł z wiadomością do szambelana, że ks. Robert powrócił. Prawie w tej samej chwili księżniczka Stella, w kapelusiku jeszcze i z książką do nabożeństwa, wbiegła o jego przybyciu oznajmić. Szambelan posłał natychmiast aby go do siebie prosić, dodając żeby się nie przebięrał. Wedle zwyczaju ks. Robert winien był suknie podróżne

zrzucić i prezentować się ojcu w rannym stroju domowym. Na ten raz uwolniono go od zachowywanéj formy.

Pomimo że rozkazowi ojca jak mógł najprędzej starał się Robert zadosyć uczynić, staruszek chodził niespokojny, znajdując że nie przybywa dość prędko. Gdy się ukazał w progu i zbliżył do ręki ojcowskiéj — szambelan obejrzał się dokoła, aby świadków nie mieli.

— Cóż to tak prędko z podróży? rzekł—hę? tu do nas jakieś wieści doszły, nie wiem czy mam im dać wiarę? Zaszło coś?

— Stanowczego nie zaszło nic — odpowiedział Robert, usiłując się spokojnym okazać—lecz—po bliższém poznaniu, zaczynam wątpić, ażeby to małżeństwo, którego kochany ojciec życzył sobie, a na które byłbym się zgodził chętnie, idąc za jego wolą, mogło przyjść do skutku.

— A to dlaczego?

— Nie sędzę żebym mógł pozyskać szczerą sympatyą panny Alfonsyny, charaktery nasze niedosyć okazują się zgodne.

— A hrabia?

— Hrabia, rzekł Robert — hrabia, zbyt ufny w swój ogromny majątek, zdaje mi się nadto wymagającym dziś, a cóżby dopiero było później. Radby sam wszystkiém, więc zapewne i przyszłém pożyciem, kierować i rządzić.

— Parafianin? spytał ksiązę—złego tonu?

— Zapewne—ale z tą wadą możnaby się oswoić; gorzej że jest nieco absolutny i rubaszny.

— Ale — nie uchybił ci? niespokojnie spytał stary.

— Bynajmniej—tylko codzień mniój dojrzesmy się z sobą godzili, a w końcu zdawało mi się najwłaściwszém na jakiś czas odjechać.

Szambelan siadł zadumany, spuściwszy głowę.

— Jakoś mi to mówisz, obwijając — niejasno.

Czyś zerwał?

— Ja? nie.

— A hrabia?

— Niezupełnie — lecz... lecz być bardzo może, iż gdy mu się tam co innego trafi...

Szambelan porwał się z krzesła cały.

— Co innego? cóż? co lepszego od księcia Brańskiego? ciekawybym był! Może królewicz Golkondy, czy cesarzewicz brazylijski. Cóż lepszego? cha! cha!

Pomimo iż pozornie spokojnym chciał się okazać szambelan; na twarzy jego oburzenie i tłumiony gniew znać było.

— Jak skoro ty mi to mówisz, w zupełności wierzę, iż wina jest hrabiego. Żaden Brański z ręką swą, imieniem i majątkiem nie napraszał się nawet równiej sobie, cóż dopiero takiej tam hrabiance. Zatem, to rzecz skończona, nieodwołalnie skończona, zerwana! Hrabia zapewne rozmyśli się — może zechce wrócić — ale — *ja nie pozwalam, ja*

nie chce! — mowy już o związku z nimi być nie może. Dość, i o tém ani słowa!

Po krótkiej pauzie rzekł tonem rozkazującym, biorąc syna za rękę.

— Proszę cię, mój Robercie, wyręcz mnie w tém i powiedz generałowi, Stelli, wszystkim naszym, aby tu więcej nigdy mowy o hrabi i hrabiance nie było. Proszę o to — nie istnieją już dla nas — nie znamy się — i... koniec. Ani wspomnienia, ani słowa o nich. Do ks. sufragana napisać też aby przybywszy tu, oszczędził mi przykrości i nie mówił o nich.

Skończył i siadł szambelan. Ks. Robert złożył przed nim na stole powierzone sobie tysiąc dukatów, a rozmowa w tejże chwili zwróciła się na Warszawę, na przyozdobienia w niej zaszłe i zmiany — na wypadki społeczne, na dawnych księcia znajomych.

O godzinie zwykłej sekretarz wszedł, a Robert, rad że mu się udało małym stosunkowo kosztem wytłumaczyć, powłókł się biędny do siebie. Nie dano mu wszakże dojść, bo z jednej strony Stella z Antoniną, z drugiej generał czatowali na niego. Osobliwie kobiety ciekawe były, co mogło tak prędko zwrócić Roberta, a na twarzy panny Żurbianki, zwykle ożywionój, malowała się ciekawość, radość, uciecha jakaś niewytłumaczona, dziecinna, której wybuchy ledwie Stella pohamować mogła.

— Jakabo ty dziś jesteś osobliwie wesola! ode-

zwała się księżniczka, powiedziałby kto, że się cieszysz z tego, iż biedny Robert podobno z grochowym wiankiem powrócił.

— Ja? krzyknęła Antonina—ja? a cóż mnie do tego? Ja się cieszę że powrócił—a księżniczka nie?

— Ja cieszę się że powrócił, ale nie mogę tego pojąć, że się znalazła kobieta która go—nie chciała.

— A może on jęj nie chciał? spytała Antonina. Daruj mi, droga Stello, ja taka jestem prosta sobie szlachcianeczka, że nie mogę, myśląc coś, całej swęj myśli nie wypowiedzięć. Wystawiała-żes sobie hrabiankę Alfonsynę księżną Robertową? Byłaż ona stworzona na nią? Jam nigdy przypuścić nie mogła, aby ta ubrylantowana złota laleczka...

— Jaka ty jesteś złośliwa, ja nie chcę słuchać tego! zawołała Stella, ja ją przez pryzmat serca widziałam, przez miłość moję dla Roberta, rozwijającą się z tych obsłonek, twardych trochę, i na ślicznego wyrastającą motyla.

— Stello, najdroższa moja pani, na motyla! zanosząc się od śmiechu wołała Antonina, chyba na éme.

— Doprawdy ja się ciebie aż boję, taka zła być umiesz.

— Pozwól mi nią być tylko dla nięj.

— Ale dlaczego?

— Bo ksiązę Robert wart jest przecie czegós idealniejszego nad nią, serca gorętszego, coby go kochać umiało i....

Zamilkła nagle, bo Robert nadchodził właśnie, a generał gonił za nim. Na smutnej twarzy księcia znać było wrażenia podróży.

— Wracasz więc nam — biegnąc go uściskać, odezwała się Stella. Nie potrzebuję mówić jak jesteśmy ci radzi... i jak ciekawi...

— O, ciekawi bardzo! dodała Antonina.

Księżę spojrział z uśmiechem.

— Nie będę miał czém ciekawości zaspokoić, bo nieprzywożę nic, nad wątpliwość i mgliste domysły.

— Alfonsyna?... podchwyciła Stella.

— Bawi się, uczy śpiewać, bywa w teatrze i stroi się.

— Czy piękniej jak tu u nas? szepnęła złośliwie Antonina.

Robert zmilczał, Stella nie pytała, patrzyła mu tylko w oczy, jakby z nich coś chciała wyczytać, a widziała w nich tylko smutek, który walczył z sobą, aby się nie pokazać ludziom.

— Myślisz powrócić do Warszawy? odezwała się cicho siostra.

— Bardzo, jak na teraz, wątpię — równie zniżonym głosem odpowiedział brat.

To jedno starczyło; księżniczka nie sądziła właściwem rozpytywać go więcej. Generał odciągał go już na bok, niecierpliwy.

— Chodź ze mną, mamy do pomówienia, przejdziemy się po ogrodzie.

Nadchodził też pan Zenon z powitaniem niby, choć wczoraj już u Gozdowskiego z Robertem mówił i więcej trochę wiedział niż inni. Panny z żalem i zawiedzioną nieco ciekawością usunęły się, wracając do swych pokojów — mężczyznom zostali sami.

— Muszę najprzód prosić generała — zagał Robert, abys mnie powagą swą w spełnieniu woli ojca wyręczył. Szambelan czuję się obrażonym za mnie, wydał więc rozkaz, aby o hrabi i hrabiance więcej u nas mowy nie było i wspomnienia.

— Bardzo to uczuł? czy się zarumienił, czy pobladł? rzekł książę Hugon. Jeśli się zaczerwienił, to przejdzie, jeśli zbladł, to odchoruje.

— Nie zdaje mi się, żeby to tak bardzo wzięło do serca.

— A ty? spytał generał.

Na to pytanie, którego nie dosłyszał może młody książę — nie było odpowiedzi.

Pomimo ślepoty zacnego Gozdowskiego, którego długie lata spokoju napoiły tym przekonaniem, iż książęcemu domowi nie się nigdy stać nie może, że wierzyciele nie będą mieli odwagi zaczepić Brańskich, że opinia publiczna potępiłaby tych, coby śmieli targnąć się na tak zasłużoną krajowi

rodzinę, od niejakiego czasu plenipotentowi z pomocą pana Zenona otwierały się oczy—strach go ogarniał.

— U tych ludzi teraz niema nic świętego! powtarzał Żurba—gotowi się rzucić na nas.

Dlatego, odwracając niebezpieczeństwo, Gozdowski użył stu tysięcy chwyconych u dzierżawcy na jaknajprędszy spłat zaległych procentów. Zdawało mu się iż to zaspokoi na jakiś czas wierzycieli i da środki ratunku obmyśleć. Do nich najpierw należało ożenienie ks. Roberta. Gozdowski wiedział już iż na nie wcale rachować nie można, a o drugą milionową dziedziczkę nie tak było łatwo. Nie chcąc dalszych kroków w tak niebezpiecznym składzie okoliczności brać na siebie, szanowny plenipotent postanowił, zawsze nic nie mówiąc szambelanowi, złożyć rodzaj rady, powołując do niej ks. sufragana, generała, ks. Roberta, a jako doradcę prawnego młodego Żurbę. Wysłano więc wezwanie do ks. biskupa, prosząc tylko żeby przybyciu swemu nadał pozór inny i bratu nic nie wspominał. Zenon tymczasem zabrał papiéry, miał ułożyć bilans i zapowiedział wahającemu się Gozdowskiemu, iż ściśle wejrzy w najdrobniejsze szczegóły, gdyż złudzenia w interesach uważa za największe niebezpieczeństwo. Gozdowski, który nigdy głębiej nie wglądał i ścisłej się nie obrachowywał, nawykły do marzenia i okłamywania się dobrowolnego, lękał się rachunków Żurby — lecz

nie można ich było uniknąć. Pan Zenon na kilka dni zamknął się w domu.

Na list generała, biskup odpowiedział obietnicą przybycia niezwłocznie—rad był téż z ust synowca dowiedzieć się czegoś o hrabi i hrabiance. Oznajmiono szambelanowi przybycie brata, wyporządkowano pokoje na jego przyjęcie, ks. Serafin, który chodził w przeszarzanym habicie, włożył nowy i wystąpił ze świeżemi paskami. Ze zwykłą ceremonią przyjęto jego ekscelencyą w ganku i wszyscy ucałowali ręce biskupa, który cichutkim głosem błogosławił. Generał odprowadził go do przeznaczonych mu pokojów, tych, które zawsze zwykł był zajmować. Wieczorem długa była narada ze starym szambelanem i cicha rozmowa o hrabi, bo do ks. biskupa rozkaz wydany się nie rozciągał. Nazajutrz w dworku Gozdowskiego potajemnie mieli się zgromadzić wszyscy w rannéj godzinie.

Już w wigilią pan Zenon z papierami był gotów. Gozdowski usiłował go badać wzrokiem i zaczepiał słowy, nie dobył z niego wszakże nic nad to, że interesa są w jak najgorszym stanie.

— Nie masz pan tego na sumieniu, dodał Zenon, pocieszając strwożonego, gdyby otwarcie i śmiało postępować było można, byłbyś pan mógł coś zrobić; tu, gdzie milczeć kazano, a słuchać nie chciało i rachowano zawsze na niespodziewaną interwencyą Opatrzności—pan nie mogłeś nic.

— Bóg widzi, zem nie mógł! westchnął plenipotent.

Po śniadaniu i po mszy, gdy się wszyscy pod pozorem przechadzki porozchodzili... w dworku Gozdowskiego znalazła się cała rodzina, plenipotent i Zenon. Biskup zajął miejsce na kanapie, z twarzą jeszcze smutniejszą niż zawsze, generał siadł przy nim, Robert, obojętny na pozór, stał w oknie. Gozdowski zagaił tém, iż widząc stan coraz krytyczniejszy, obłożonym będąc pozwami, które się nagle posypały, lęka się brać na swą odpowiedzialność dalsze prowadzenie interesów i chce je poddać pod sąd ks. Roberta i rodziny. Mieszał się tak i plątał, że go ledwie dosłuchano. Zenon niecierpliwie wyglądał tylko kiedy mu przyjdzie mówić i począł:

— Raczyli mi państwo powierzyć zbadanie stanu majątkowego; spełniłem to ze ścisłością największą i nie waham się powiedzieć—stan to zrozpaczony. Wcześniejszy ratunek mógłby coś ocalić—dzis wątpliwém jest czy się to da zrobić. Łudzić się byłoby zgubném, przerażać jednak nie należy. Mężném okiem trzeba spojrzeć w przepaść i myśleć jak się ją zgłębi.

— Mój dobry panie Zenonie, na rany Chrystusa, lecz cóż się stało? możeż to być? zawoła biskup, taki majątek!...

— Ksiądz biskup zechce wejrzeć w spis długów, oto jest. Szacunek dóbr weźmy jak największ-

szy. Wszyscy wierzyciele dopominają się. Maluję położenie jak je widzę, pan Gozdowski sprawdzić może regestr należności.

— Sprawdziłem go—wtrącił Gozdowski. Z wyjątkiem stu tysięcy procentów zaległych, któreśmy świeżo zapłacili, a które tu zapisane nie są, bo na to pan Żurba pieniędzy pożyczył... nie mam nic do zarzucenia.

— Moi panowie—odezwał się przystępując do stołu biskup, w liczbie długów są takie, które wypowiedzianymi być nie mogą, są spłacające się amortyzacją, są legaty... Mówmy o tem co pilne i wymagalne.

— Bardzo słusznie—odpowiedział Żurba. Wymagalnych długów, o które nas zapożyczają, jest około miliona.

Biskup za głowę się pochwycił.

W istocie Zenon podał tę cyfrę ogólną dlatego tylko, aby ściślejszą a jeszcze większą nie zastraszyć.

— Idzie więc o to—dodał—z kąd możemy wziąć milion.

Głębokie, grobowe milczenie panowało w izbie radnej. Robert ani słowem się nie odzywał, biskup zdawał się modlić po cichu i lzy mu spływały z oczów, generał siedział zasepiony.

— Gdybyśmy nawet poświęcili każdy z nas—szeptal ks. sufragan, ostatki tego co mamy, posprzedawali co kto ma kosztowniejszego, zawsze

i do połowy tój summy nie możemy osiągnąć. Zkądże ją wziąć?

Ks. Robert patrzył za okno.

— To nieszczęsne ożenienie przyjsć do skutku nie mogło! westchnął generał,

Zenon słuchał długo i czekał — z kolei wszyscy tylko wzdychali, poglądając na siebie.

— Proszę o głos! rzekł wreszcie. Państwo nie zechcą wątpić o mojem szczerém przywiązaniu dla dostojnego ich domu: proszę mi nie brać za złe, że znajdę się tu tak, jak ów niezgrabny Kozak, co swego miłościwego książęcia, chcąc ratować tonącego, za włosy pochwycić musiał. Ja muszę być tu surowo prawdomównym; obrażę może pojęcia odmienne, do których księżęta są nawykli — lecz zdaje mi się, że szczerą miłość dla nich uniewinnić mnie powinna. Życie sztuczne, nieopatrzność, brak rachunku, łudzenie się nadziejami, brak stanowczości w interesach zgubiły państwa. Dziś ratunek trudny, sądzę wszakże iż nie jest całkiem niemożliwy, ale lekarstwo musi być heroiczne. Trzeba starać się z wolnej ręki sprzedać znacznieszą część dóbr, popłacić pilniejsze długi, zostać przy mniejszém, ograniczyć wydatki i umieć przyjąć twardą rzeczywistość czołem pogodném. Wiem iż szambelan nie zniósłby tego — ale mógłby nie wiedzieć o tém, możnaby go otoczyć tak pilną strażą, aby trwał w złudzeniu, że Brańscy posiadają to co mieli. Oszczędności w domu dałyby się

wytlumaczyć. Nie widzę innego ratunku: aby ocalić coś przynajmniej, trzeba resztę umieć poświęcić.

Ks. biskup zakrył twarz rękami. Generał wstał z kanapy, z oczyma obląkanemi prawie.

— To nie może być! zawołał—do tegośmy jeszcze nie przyszli, ażebyśmy wywłaszczając się musieli! Mamy stosunki, znajdziemy kredyt, wyprosimy przedłużenie—ks. Robert może stę ożenić. Ja na to nigdy nie pozwolę!

— Mości książe, podchwycił Zenon, jeśli państwo sami tego nie uczynicie, gwałtem dopelnia tego wierzyciele, a w takim razie straty będą większe jeszcze.

— Waćpan jesteś pesymista! Jakto? oburzył się ks. Hugon, nie próbując, nie wzywając do układów, nie wiedząc czy się co nie da zrobić, zaraz się wyprzedawać? to nie może być! toby było samobójstwo!

— Więc, zdaniem księcia, wierzyciele mają być do układów wezwani?

— Przecież to najpierwsza rzecz, najnaturalniejsza! Musiemy się bronić! należy dotknąć niebezpieczeństwa. Każdy woli układ, niż proces. Czytajmy listę wierzycieli.

Zenon odczytał cały szereg imion z niemieckich brzmiących, bankierów i kapitalistów.

— Rozpisać do nich listy. Pozwy położone dadzą powód do tego. Pomówienia nie odmawia się nikomu.

— Jakież możemy dać im warunki? zapytał Zenon.

— Jakie? będziemy prosić o czas, możemy przedstawić im, że proces musi być kosztowny i długi, że my się od wypłaty nie uchylamy, dorzucić im coś procentu?...

— Ale gdzież na to hipoteka? odparł Zenon. General się pogniewał.

— Nazwij nas sobie marzycielami, ludźmi niepraktycznymi, ale myśmy nawykli wierzyć w Opatrzność. Ks. Robert może się i musi bogato ożenić.

Zenon się uśmiechnął—ks. biskup powstał.

— Kochany panie Żurbo! rzekł, wyście ludzie nowiej epoki, nawykli do rachunku, a odwykli od wiary i modlitwy, nazwijcie to przesądami, a ja ci z generałem powtórzę: my ufamy pomocy Bożej.

— Ja wierzę także w opiekę i łaskę Bożą, lecz ludzkim okiem nie śmiem iść tak daleko, aby odgadywać kiedy one przyjsć mogą. Bóg próbuje, Bóg często upadkiem zmusza do podźwignięcia się człowieka. Jakże to osądzić, co może być wolą Jego?

— Koniec końcem, tu nie czas teologować— rzekł generał—mówmy stanowczo. Pan żądasz byśmy się wyprzedali, my nie możemy się na to zgodzić, nigdy, nigdy! Prosimy o radę jak odwrócić cios dziś... jutro w rękach Opatrzności.

— A więc — z rezygnacją składając papiery

i wstając od stołu rzekł Zenon — próbujcie państwo układów z wierzycielami.

— Tak jest, to jedno nam zostaje.

— Lecz jeśli układy się nie powiodą?

— To być nie może.

Zenon zamilkł znowu i zwrócił się do ks. Roberta, jakby od niego wyzywał słowa.

— Ja tu nic do powiedzenia nie mam; szanuję starszych zdanie, ale co do mnie, poszedłbym za radą Zenona—odpowiedział młody książę.

— Ale na to czas jest zawsze! oburzył się generał, spróbujmyż wprzódę środków które ocalić mogą. Wywłaszczyć się z rodzinnych naszych dóbr, które od lat trzechset z górą z imienia nie wychodziły i nigdy do niego nie wróca!.. To samobójstwo! powtórzył, to samobójstwo!

— Sądzę, że generał ma słuszość— dodał cichym swym głosem ks. biskup—trzeba wszystkie środki wyczerpać, nim się najboleśniejszą spełni ofiarę. Dla zachowania tych majątności nierozdzielniemi i ja i brat wyrzekliśmy się w nich naszych części.

Generał uderzył się nagle w czoło.

— Za pozwoleniem, odezwał się głosem drżącym, tonący brzytwy się chwyta. Prawda że ja rzekłem się mojej części—lecz, jeżeli chcecie, urzędownie niema na to dowodu. Prawnie jestem pono dziedzicem jednej trzeciej części dóbr brańskich;

przecie w ostateczności i to na cós przydać się może.

— Mości księżę—zawołał Zenon — mylisz się; nie protestowałeś dotąd, nie obronisz się od ciężających długów, zresztą nie chciałbyś pozywać brata, a takieby było następstwo niechybne tego środka.

— Mości panie—zahuczał kawaler maltański— waćpan nie śmieć mnie posądzać, abym ja tego środka miał użyć. Koszulę z siebie zdejmę, aby długi Brańskich popłacić, lecz nim mi ziemię odbiorą—wolno mi się bronić.

To mówiąc, rozgniewany księżę Hugon spojrzął ostro na Zenona, którego oko nie ustąpiło przed jego wejrzeniem; zmieszał się, postąpił kilka kroków i rzucił mu się na szyję rozczulony.

— Jesteś szlachetnym człowiekiem — wyjąknął — mnie się z rozpaczy w głowie miesza. Daruj mi, jam winien.

Z kolei Zenonowi się na łzy prawie zebrało. Skłonił się generałowi, odstąpił od stolika i usiadł na boku.

— Niech-że Gozdowski wezwie wierzycieli, spokojniiej zakończył generał — ale na miłość Bożą, nie tu, nie do Brańska.

— Zjazd może się odbyć w domu mojego ojca— dodał Żurba.

— Tak—dobrze—bo gdyby się szambelan dowiedział...

— Niech Bóg uchował podchwycił biskup.

— I, o ile możności, nikt też o tém wiedzieć nie powinien.

Mówili jeszcze, układając się, gdy do dworku wpadł zdyszany i złękły sekretarz szambelana.

— Panie generale, na miłość Boga. niech pan spieszy do naszego pana, jakiś list przyszedł z poczty. Pan go tylko rozpieczętował, rzucił okiem i w okrutnym gniewie padł w krzesło, tak że chcąc mi coś powiedzieć, dla trzęsących się ust i wielkiej pasyi która go ogarnęła, słowa już wymówić nie mógł. W końcu zrozumiałem tylko że wołał: „gdzie generał? prosić ks. biskupa!“ Przy panu został kamerdyner; a ja tu co tchu przybiegłem. Niech książęta spieszą! Jeszczem, jak żyję, w tym stanie ks. jegomości nie oglądał.

Można sobie wyobrazić, jaki wszystkich przestrach ogarnął. Biskup pierwszy rzucił się, biegnąc co tchu, generał wyleciał bez czapki. Robert musiał sufraganowi podać rękę, bo zaraz we drzwiach się zachwiał. Gozdowski i Zenon, nie mając prawa iść, pozostali osłupieli.

Wszyscy tak byli nawykli szanować spokój głowy domu i utrzymywać ją zdala od powszednich trosk, interesów i gospodarstwa — że wiadomość o czémś tak nadzwyczajném, jak gniew i oburzenie szambelana, obudziła popłoch w domu niesłychany. Od niepamiętnych czasów nie się nigdy podobnego tu nie przytrafiło; nie pojmowano nawet, co zająć mogło i kto był tak zuchwałym, ażeby

wprost do samego księcia miał się udać. General i biskup weszli razem do pokoju, przed którym zgromadzona służba niespokojna, szepcząc coś, stała, widocznie pomieszana wypadkiem.

Księżę szambelan na odgłos kroków i otwierających się drzwi, zerwał się z krzesła drżący, trzymając papier jakiś w ręku, który do góry podnosił; oczy miał krwią nabiegłe i twarz strasznie zmienioną, Piérwszy ks. biskup podstąpił ku niemu.

— Co się stało, co się stało, kochany bracie? uspokój się—na rany Boskie!

Szambelan trząsał się tylko, wskazując na list, który rzucił na stół.

— Wody! wody! zwołano, widząc że prawie mowę postradał.

Służba cała rzuciła się po wodę, którą w téjże chwili podano. Ledwie ją do ust mógł donieść księżę, napił się i położył w krzesle.

— Zniewaga! okrutna zniewaga! krzyknął naostatok, bijąc ręką o list—ten nیکczemny hrabia.

— List od hrabiego? wyciągając ręce, zapytał ks. biskup—czegóż ten człowiek chce?

— Czytajcie! dawać mi myśli nauki i pisze potworne kłamstwa! mówił księżę — przeczytajcie. Utrzymuje że myśmy go podejść chcieli, że jesteśmy zrujnowani, tylko że nie użył wyrazu—bankruci! Ks. ks. Brańscy zrujnowani! my, my... to nیکczemna potwarz!

To mówiąc, oczyma wodził po twarzach biskupa i generała, a ci wzrok spuściwszy, stali niemi.

— Daje do zrozumienia w liście, żeśmy dla wydłużenia jego milionów, nie okazując stanu w jakim jesteśmy, zabiegali o rękę jego córki. Ależ czytajcie sami, czytajcie sami, ten człowiek obraził nas osobiście, całą rodzinę—to niemoże mu być przebaczonem.

Biskup wziął w rękę pismo hrabiego i czytał je drżący. Forma jego była przyzwoita i grzeczna; hrabia wymawiał tylko brak zaufania księżętom, mówiąc, że się dopiero w Warszawie o istotnym stanie ich interesów dowiedział, interesów których podźwignąć nigdyby nie był w stanie. Tłumaczył obszernie swój stan finansowy, niemożność sprzedania dóbr i radził na innych drogach szukać ratunku. Więcej tam było niezgrabności niż złej woli—dnma jednak Brańskiego czuła się śmiertelnie obrażoną.

— Chciejcież mi wyłumaczyć, co mogło dać powód do podobnych wieści, zawołał książę, — iż jesteśmy zachwiani, iż łaską tylko wierzycieli trzymamy się? To nie może być prawdą! to potwarze niegodziwe ludzi zazdrosnych, to podła intryga! Zdałem ks. Robertowi dobra nasze z ciężarami niewielkiem. mógł przez niedoświadczenie popełnić pewne błędy, lecz nie marnowaliśmy grosza, uczciwosci Gozdowskiego wszyscy jeste-

śmy pewni, nigdy stan taki interesów uczuć się nam nie dał. Zkąd-że te kłamstwa?

General i biskup stali ciągle milczący; książe zwrócił się do Roberta, który nie chciał w stanowczej chwili brać na siebie odpowiedzialności za obrót jaki ta sprawa przybrać mogła. Biskup, widząc nadzwyczajne wzburzenie w starcu, do tak gwałtownych wrażeń nienawykłym, począł go zwolna mitygować.

— Niepotrzebnie to tak uczuleś, kochany Norbercie—nadto bierzesz do serca niezgrabność hrabiego, który pochwytał tam jakieś złośliwe plotki i szukał w nich wymówki dla swego nietrafnego postępowania. Całą tę rzecz pogardą i milczeniem pokryć należy, to będzie najwłaściwiej.

General, trochę inaczej pojmując położenie, myślał że należało może skorzystać z uczynionego wyłomu i nie zawadziłoby brata na wszelkie możliwe ewentualności przygotować.

— Być bardzo może—dodał, iż hrabia tu w naszych stronach zasłyszał o ogólnym złym stanie interesów wszystkich ziemian, który nie bez tego ażeby i na interesa brańskie nie oddziałał. I Gozdowski i ks. Robert w istocie się użalają, że z dnia na dzień ciężiej idzie gospodarstwo, kredytu brak... O tém, kochany bracie, nie było ci potrzeby mówić i niepokoić cię przemijającymi trudnościami; to są zwykłe koleje rzeczy ludzkich.

Wzrok szambelana z przerażeniem jakięms wlepiony był w brata, gdy to mówił.

— Więc—więc — przerwał — jest jakaś podstawa?

Zwrócił się do ks. Roberta.

— Cóżście zrobili z interesami? co się dzieje? mówcie!

— Interesa są w istocie ciężkie, chociaż nie poczuwam się do winy i nie popełniłem żadnej omyłki, którąbym sobie mógł przypisać — zaczął Robert; ale niech się ojciec uspokoi, niema nic groźnego.

— Przy pomocy Bożej, wtrącił biskup—załatwi się to, załatwi — będziemy wszyscy nad tém pracowali; tylko brat tego nie bierz do serca, zdaj już to na nas... spokojnie, spokojnie!

Szambelan z tych wszystkich po sobie następujących wyznań, półgębkiem czynionych, dorozumiał się wszakże iż coś złego, co przed nim starano się utaić, istnieć musiało. Trwoga i niepokój odmalowała się na twarzy starca.

— Tak więc—odezwał się cichym głosem—to cośmy za szczęśliwe poczytywali zdarzenie, bytność hrabiego, odnowione z nim stosunki—miało nas tylko napaść goryczą. Niech-że się dzieje wola Boża, korzę się przed nią... Wy myślcie o jak najprędzszym załatwieniu trudności. Nie godzi się aby Brańscy byli na czyjéjkolwiekładź łasce; należy

to załatwić, należy wszystko skończyć jaknajprędzej.

— To się zrobi, wtrącił sufragan—nie mówmy już o tém, uspokój się, uspokój!

— Nie tak to łatwo, westchnął starzec—sama myśl ta że grozić może niebezpieczeństwo czystemu i świętemu imieniowi, któreśmy wzięli w spuściznie, że cios może paść za dni naszych, a przypisany będzie winie naszej, że zamiast podnieść ją wyżej, my daliśmy złotej tarczy herbowej poczernić, napawa niewymowną trwogą. Ale możeż być ażeby ofiary wasze, moje, troskliwość nieustanna, poszły marnie?—żebym ja miał dożyć sromotnego dnia?...

I nie mógł dokończyć; ks. sufragan chwycił go za rękę.

— Kochany bracie—proszę cię, błagam, spokojności! ufności w Opatrzność. Niéma nic jeszcze tak złego, niéma nic. Nie mów o tém, pomódl się, ukołysz to wzburzenie wywołane nieszczęsnym listem.

— Ale ten sam list wymaga odpowiedzi! Imperzynencyi tego głupiego półpanka nie można tak bezkarnie przepuścić.

— Ukarać go pogardliwém milczeniem, rzekł biskup.

— Jeśli chcesz, to ja za was odpiszę jak należy—wtrącił generał, a że mu dam pieprzu i odprawę jak zasłużył—za to ci ręczę.

— Ale nie, nadto by było honoru dla niego— przerwał szambelan; dość będzie ażeby z kancelaryi mojej wystosowano kilka słów do hrabiego, nie wdając się z nim w żadne rozprawy.

— I tak dobrze! mógłby też napisać ks. Robert.

— Rozumiałby żeśmy nadto jego głupstwo uczuli; niech sekretarz mu odpisze... i dosyć.

Stało na tém, chociaż w istocie można było odpowiedzieć tylko milczeniem.

Wzburzenie jakie list wywołał, w końcu łagodnemi słowy biskupa i perswazyami generała ukołysać się jakoś dało; szambelan się uspokoił, ślady wszakże gniewu i przebytego rozdrażnienia pozostały na jego zdrowiu. Nie miał siły wyjść tego dnia do stołu i z ks. biskupem obiadował u siebie, nie mogąc prawie nic jeść, siedząc pónury i zamysłony. Zaraz po obiedzie nadeszła ks. Stella niepokojna o ojca, i widok jęj skuteczniej nad wszystko wpłynął na ukojenie starca, który córki trwożyć ani zasmucać nie chciał. Zmusił się do dobrego humoru, aby jęj nie dać poznać że cierpiał, zaręczył nawet że zapewne wyjść będzie mógł wieczorem na herbatę i że lekkie niezdrowie pochodzić musiało z zaziębienia na przechadzce. Cały jednak dwór wiedział, oprócz ks. Stelli, o nadzwyczajnym wypadku.

Jak wszyscy ludzie słabego charakteru a żywój fantazyi, czcigodny Gozdawa-Gozdowski, długo żyjąc złudzeniami, gdy nagle się z nich ocknąć musiał, przeraził się i począł zrozpaczony szukać środków najdziwaczniejszych, dla okazania że potrafi coś przecie. Lękał się nadewszystko, aby jemu nie przypisywano upadku, a w duchu sam czuł, że bezczynność i lekkomyślność jego wiele się doń przyłożyć mogły.

Stosując się do zdania przyjętego, natychmiast wyprawił wezwanie do wierzycieli, ażeby dla układow, sami lub przez pełnomocników, raczyli zjechać do Brańska; nie poprzestając jednak na tém, nie mówiąc nikomu nic, po długich rozmyślaniach, postanowił pojechać jeszcze na inny sposób szczęścia próbować. Dziwna myśl przyszła mu po bezsenności długiej nad ranem. Przypomniał sobie dawnego znajomego i krewnego swojego, niejakięgo Garbowskiego, którego od bardzo dawna nie widział, lecz słyszał o nim, że się znakomitej dorobił fortuny. Garbowski mieszkał pod samym Lublinem. Mówiono o nim powszechnie, iż począwszy od handlń karmnemi wieprzami, potem tuczniemi wołami, z któremi chodził aż do Wiednia, później biorąc znaczne dzierżawy, w stosunkowo krótkim czasie przyszedł do milionowego majątku. Gozdowski znał go tak ograniczonym i prostym człowiekiem, że z nim dawniej mówić nie chciał. Garbowski bowiem ledwie trzecią kla-

sę skończywszy z biedą, a po dwu latach nie mogąc z niej dostać promocyi, wprost z ławy szkolnej przeniósł się do małego folwarczku, który mu po ojcu pozostał. W sąsiedztwie znaczniejszego miasta, powziął szczęśliwą myśl karmienia wieprzów i wpadł na pomysł genialny dostarczania im pokarmu taniego a szybko tuczącego, na jaki nikt wprzód nie trafił. Kupował on stare konie za bezcen i mięso ich dawał swym wychowañcom, obrachowawszy się tak, że go ono prawie nic nie kosztowało. Odbywało się to jakoś tajemnie, bo Garbowski swojego sekretu wydawać nie chciał. Wieprze karmiły się doskonale, sprzedawały łatwo, a raz wszedłszy na szczęśliwą drogę robienia pieniędzy, pan Kacper Garbowski, chodzący w kozuchu, w kozłowych butach, jeżdżący prostym wozem, pijący tylko prostą wódkę, nie potrzebujący żadnych wygod, nie tracący na żadne przyjemności, gdyż największą miał w zbieraniu grosza — bardzo szybko bogacić się zaczął.

Pierwsze tysiące obudziły w nim tylko pragnienie większe jeszcze; spekulował na wołach, począł brać dzierżawy, kupił parę wsi. Potem już rosło to samo, zwiększało się i prosty ów człowieczyna ujrzał się prawie niespodzianie wielkim panem.

Zmiarkował teraz, że tę krwawicę swą powinien był jakoś zużytkować — zapragnął wejść w obywatelstwo, wydobył więc swe papiery szlacheckie potem, rozmyśliwszy się, pojął za żonę córkę do-

syć majątnego dorobkowicza. Nie zmienił jednak wiele trybu życia dawnego i pieniądze robił. Jéjmość była skrzętną gospodynią, on zabiegłym spekulantem... pieniądze i majątki rosły.

Pan Bóg dał syna, macierzyńska miłość i ojcowska duma postanowiły wychować go tak, ażeby wyższe niż rodzice zajął miejsce w społeczeństwie. Do tego majątek dawał mu zupełne prawo. Nie szczędzono nic na wychowanie, ale—niestety—jedynak się nie udał. O ile rodzice byli zabiegliwi i skąpi, o tyle on zawczasu okazał popęd do rozrzutności, hulanki i łotrostwa. Robił długi, przywłaszczał sobie rodzicielskie pieniądze, podpisywał weksle i tracił po szalonemu. Ani surowość ojca, ani łzy matki powstrzymać go nie mogły. Chłopak był żądny wszystkiego, a że sądził się niesłychanie, niewyczerpane bogatym, postępował sobie bez najmniejszego pomiarkowania. Garbowski płakał nad tém, zarzekał się że długów płacić nie będzie, a pomimo to, gdy synowi zagrażał wstyd i koza—ratował. Morały padały jak groch na ścianę. Matka, gryząc się nieustannie, umarła, został ojciec tylko i syn, w nieustannéj walce z sobą, która staremu życie truła.

Słyszając o fortunie Garbowskiego, której synowskie zbytki wyszczerbić nie mogły, niewiele wiedząc więcej—Gozdowski wbił sobie w głowę, że od niego na ratunek książętom pieniądze dostać potrafi. Całe to urojenie żadnej dotąd nie miało

pod stawy... Gozdowski wmówił sobie że to mogło być natchnienie Ducha świętego. Pojechał więc do Lublina, szukać kuzynka, którego lat dwadzieścia kilka nie widział.

Przybywszy tu, z wielką łatwością się dowiedział iż stary mieszka w lichym dworku, na tym samym małym folwarczku, który po rodzicach odziedziczył, a synowi wypuścił jedną wioskę z pięknym domem, gdzie wesołe towarzystwa, polowania i gry miały być nieustające. Gozdowski, dobrze się wywiędziawszy kiedy zastanie starego Garbowskiego w domu, ruszył przed południem. Niedaléj niż o milę ukazano mu w wiśniowych krzakach, bzach i topolach ukryty rodzaj staréj chaty, niepozornéj, lichéj, około którój kilkanaście stało domów włościańskich. Były to Skoki, dziedzictwo pana Garbowskiego. Przed gankiem o dwóch krzywych słupkach, w którym stało ze sześciu Żydów, czekając na posłuchanie, wysiadł wyelegantowany nasz plenipotent. Wskazano mu izbę na lewo.

Tu, przy okrągłym stole, zarzuconym papiérami, męczyzna otyły, opalony, w szaréj kapocie podpasanéj skórzanym pasem, z poza którój chustka kolorowa wisiała, żwawą się uciérał z trzema starozakonnymi o jakąś sprawę wołową. Piéniądze leżały na stole, rozprawiano krzykliwie, hałaśliwie, tak, że targ podobniejszy był do zażartéj

kłótni. Gdy Gozdowski wszedł, ustala wrzawa—Garbowski naprędcę Żydków odprawił.

— Będąc w Lublinie, wytrzymać już nie mogłem, abym się wam, kochany bracie, nie przypomniał i nie odwiedził was—jestem Gozdowski.

— A! jak Boga kocham! pan Maurycy. Mój Boże, tyle lat! siadajcież! Żydów zaraz się zbęde.

Tak rozpoczęła się rozmowa i odnowiona znajomość. Garbowski strasznie w oczach plenipotenty wydał się nieokrzesanym, ale sprytu w nim było wiele. O niczem mówić nie umiał, lecz zaczęwszy interes, okazywał roztropność i przebiegłość nadzwyczajną.

Gozdowski poświęcił parę godzin umiejętnemu badaniu człowieka; mimo wstrętu nawet, napił się z nim wódki i zakąsił zimną kielbasą i chlebem razowym, bo nic innego w domu nie było. Z gawędy zręcznie poprowadzonej dowiedział się Garbowski o położeniu kuzyna, o książętach, o wielkości ich, o dobrach, a troszeczkę o długach i chwilowo przykrych interesach. Gozdowski zdaleka dawał do zrozumienia, jak to się kapitaliści warszawscy ubiegali o lokowanie summ na dobrach książęcych i jakiby świetny można zrobić interes, skupując wierzytelności.

Wieprzarz słuchał z uwagą wielką, ale widoki te nie zdawały się go pociągać bynajmniej; nie odpowiadał ani słowa. Z całą swą umiejętnością Gozdowski, który mówić i malować umiał — nie

podziałął na kuzyna. Nie wyrzekł się jednak nadziei, oświadczył że parę dni jeszcze w interesach książąt zabawi w Lublinie i prosił żeby się z sobą widywać mogli. Garbowski nie odmówił. Najajutrz obiadek mieli zjeść razem w hotelu, w którym stał plenipotent.

Tak zasnuwszy pierwszą robotę, nie z bardzo wielką dotąd powodzenia nadzieją — Gozdowski odjechał. Nie było co w miasteczku robić, wałęsał się więc po ogrodzie publicznym, zachodził do cukierni na gazety i czas, ziewając, zabijał.

Pod wieczór szedł do restauracyi na dole, aby coś przekąsić. Zastał tu bardzo liczne i ożywione towarzystwo młodzieży, której przewodniczył chłopak wcale szykowny i piękny, wesoły i dowcipny blondynek. Zdawał się on królem pomiędzy rówieśnikami, których poił, żartował z nich, ucięrał się z nimi i naprowadzał na największe szaleństwa. Ściągnął na się uwagę Gozdowskiego, tém szczególnie, że mimo rozwiązłości w słowach i ruchach, zachowywał w obojgu wrodzoną jakąś form przyzwoitość, coś szlachetniejszego od swych towarzyszków. Miał naturalny wdzięk, zwiastować się zdający naturę raczej popsutą, niż złą, a nade wszystko sympatyczną. Wywierał téż widocznie na resztę młodzieży wpływ nadzwyczajny i miał nad nią wyższość widoczną, a o wiele przechodził ją bystrością umysłu i wykształceniem. Znać w nim było człowieka rozpasanego towarzystwem

zbyt poufałem, w którym sobie cugle mógł puszczać swobodnie, a razem mającego instynkt lepszego tonu... W niedorzecznościach nawet, które popełniał był pewien urok, pociągający ku niemu. Wyglądał na panicza wielkiego domu, który sobie pozwala, dla zabawy, rubaszości do zbytku.

Była to widocznie natura energiczna, bogata, rzucająca jeszcze z siebie wulkanicznie zbytkiem ogni wewnętrznych, z której mogło się w przyszłości coś wcale pięknego urobić—jeśli by ją własny płomień nie strawił.

Od chłopca dowiedział się, że to był pan Zygmunt Garbowski, syn jego przyjaciela, ów sławny, nicpoń, którego żadną siłą ojciec powstrzymać nie mógł. Pomimo licznego dosyć towarzystwa, Zygmunt, który dokazywał straszliwie, zdawał się nudzić. Towarzysze jego w niczem mu dorównać nie mogli, szydził też z nich nietościewie, żgając jednego na drugiego. Uchodziło mu wszystko.

Ukryty za drzwiami, jedząc swoje pieczone z kompotem, które mu się po kuchni brańskiej szkaradnym wydawało — Gozdowski patrzył, słuchał i prawie się pokochał w kuzynku.

Pod koniec wieczoru, gdy niektórzy się już pokładli, inni porozchodzili, a dwóch drzemiących zostało i Zygmunt jeszcze zimnym grogiem się krzepił—Gozdowski, wyszedłszy z ukrycia, zbliżył się ku niemu z wesołą twarzą.

— Darujesz mi — rzekł — że choć niebardzo

w miejscu a może i nie bardzo w porę ci się prezentuję, ale Bóg wiedzieć raczy, czy się drugi raz w życiu spotkamy. Nazywam się Maurycy Gozdawa Gozdowski, a jestem twojego ojca bratem ciotecznym.

— Al to mnie bardzo cieszył i cóż pan tu robi? śmiejąc się, odparł Zygmunt.

— Robię interesa i zmuszony jestem dla nich parę dni przesiedzieć.

— To się kochany stryjo-wujaszek, czy wujostryjaszek, dalipan nie jestem pewny jak się to nazywa—strasznie tu znudzi.

-- Miarkując z was, nie sędzę, tylko, że jam na to zastary, uśmiechnął się Gozdowski.

— My bo z desperacyi okazujemy, zawołał Zygmunt, słowo daję—nudy, stryjaszku, zabijające.

— Zajęcia nie masz żadnego?

— Cóż proszę wujaszka robić? kiedy czy tak, czy tak umrzeć trzeba.

— Przynajmniej nie spodziewam się, by to dla was mogło nastąpić tak prędko.

— Przytém na wsi ludzi niéma, a czas słotny, westchnął Zygmunt — gwałtowna więc taka rozrywka rozbudza, jak gimnastyka. Stryjaszek gotów muie wziąć za zbytnika, ale to środek higieniczny, metoda Hahnemanna, sławnego Hahnemanna.

-- I metoda młodości.

— Tak, dopóki się reumatyzmy i podagra nie odezwą o swoje prawa.

— Ojciec twój wszakże obojga nie ma, rzekł Gozdowski—to pracowita natura.

— Z nudy, wujaszku, pracuje, bo nie ma co robić, rzekł Zygmunt, a mając jeszcze takiego syna rozrzutnika jak ja, musi.

— Cóż waćpan, gospodarujesz? hę? spytał plenipotent.

— Gospodaruję najwięcej na bilardzie i między butelkami, mówił wesoło Zygmunt — na tém gospodarstwie znam się doskonale, czy intensywne na spirytusie, czy ekstensywne na mlęku z wodą... nie ma dla mnie tajemnic. Nie można stryjaskowi grogiem służyć? mają tu niezły.

— Dziękuję bardzo.

— Albo kieliszkiem czegobądź?

— Nie—nie.

— Jakto? i dwóch szlachciców, notabene kolidatów, spotyka się z sobą po raz pierwszy w życiu, a rozejdzie na sucho? E! wujaszku, toby było przeciwne wszystkim tradycjom narodowym.

— Ale proszę cię...

— Ale proszę stryjaska, honor domu ocalić muszę. Czy byłeś wujaszek u papy w Skokach?

— Dziś rano.

— I poczęstował wódką z kielbasą? nieprawdaż, zawołał Zygmunt—i wódkę tę piłeś... i jeszcze ci usta pali, a ja miałbym... nigdy w świecie!

Zaczął gwałtownie dzwonić i tłuc w szklanki; kelnerowie się zbiegli ilu ich było.

— Słuchaj ty, Żuku — rzekł do jednego mocno czarnego — macie to węgierskie wino gęste, stare, słodkie, tokaj, ten co wiész?

— A jakże, jasnie panie.

— Podaj butelkę i kieliszki. Kieliszki raz w życiu daj umyte, a tokaj nieś z uszanowaniem, abyś go nie strząśł... Stryjaszku — dodał, odwracając się do Gozdowskiego — kobyłka stoi u płotu, nie wykręcisz się, siadajmy. Ci panowie drzemią, nie będą ich budził, gęby ich tego nektaru nie warte; to jest wino, którego wynalezieniem pochwalić się mogę.

Gozdowski oprzeć się nie mógł, prawdę rzekłszy chłopak mu się bardzo podobał, a kapkę też lubił, zwłaszcza starą.

— Gdzież kochany wujaszek mieszka? spytał szalencie — we własnych dobrach?

— Nie, bo ich nie mam — ale oddawna zarządzam interesami ks. Brańskich.

— Aha! wiem! Widziałem raz księżniczkę Stelę z przyjaciółką jej Antoniną; księżniczka śliczna, ależ śliczna! a panna Antonina pokusliwa, jak dojrzała wisienka. Czy stryjaszek żonaty? przepraszam.

— Nie.

— I nie kocha się w żadnej z nich?

Gozdowski począł się śmiać.

-- Zmiłuj się! jam stary, a księżniczkę kochać można chyba, jak gwiazdę na niebie — zdaleka. Panna Antonina zaś dla mnie za młoda.

— O zawsze, kochany wujaszku — odezwał się Zygmunt, zawsze kochać się można i trzeba. To czas bardzo przyjemnie skraca, nikomu nie szkodzi i wielce jest nauczającym.

— Jako nauczającym? rozśmiał się Gozdowski.

— A tak! uczymy się razem serca kobięcego i siebie samych.

Wtém podano tokaj, a był złocisty, gęsty i wonny.

Zygmunt wstał.

— Naszém staroświeckim winem zdrowia i pomysłności kochanego — wujaszka!

— Dziękuję, ja piję za twoje, panie Zygmun- cie, aby ci Pan Bóg dał...

— Upamiętanie, nieprawdaż? zgadłem! westchnął młodzieniec. Nawet Panu Bogu, który, jak wiemy, jest wszechmogący — trudno będzie tę szaloną pałkę wystudzić. Taką mam naturę, kochany stryjaszku. Już pono przyjdzie niepoprawnemu pójść *ad patres*.

— Ja tak źle nie sędzę.

— Niech-że za dobrą opinię ucałuję szanownego kuzyna — zawołał Zygmunt — ale prawda, że drugą butelczynę wysuszymy?

— Nie mogę! za nic!

— Stryjaszek nie zechcesz nadziei rodziny,

młodzieńca w kwiecie wieku, narażać na to, aby pił sam, dostał apopleksyi i osierocił najczcigodniejszego z ojców. Nie, po kieliszeczku wysmokczemy. Żuk, podaj drugą, a prędko, póki ochotę mamy.

Zygmunt westchnął.

— Pewnie wujaszek już słyszał, jak mnie ohydnie ogadano za ostatniego urwisa? Niesprawiedliwość ludzka! Proszę byś temu wuj dobrodziej nie wierzył: mam naturę szlachecką, nic więcej. Pracować bardzo nie lubię, hałas mi smakuje, piję dobrze, jem nieźle, umizgać się, to moja rozkosz... ale zresztą mam wszystkie cnoty możliwe w mym wieku i położeniu.

Śmiał się tak, żartował, śpiewał, skakał i zabawiwszy do północy p. Gozdowskiego, ledwie go z rozczulonych objęć wypuścił.

Rozstali się najlepszymi przyjaciółmi w świecie.

Téjże nocy p. Zygmunt, jakby przeczuwając przybycie ojca swego na wieś, zabrawszy dwóch przyjaciół—odjechał.

Punkt o godzinie obiadowój zjawił się stary Garbowski, zamiast szarej, ubrany w kapotę czarną i z wywieszonemi na niej dewizkami od zegarka. Gozdowski wystąpił z obiadem, o ile restauracya zdobyć się mogła. Kuzyn jednak, nawet po wódce, został milczącym, jakby się chciał mieć na ostrożności. Zagajono znowu rozmowę o Brańskich.

— Miałem przypadkiem sposobność wczoraj poznać tu waszego syna—odezwał się Gozdowski. Stary ręką machnął.

— Miły, żywy, prawda że trochę roz hulany chłopiec—ale to się utemperuje.

— Już nie wiem jak—nie wiem, mruzczał stary Garbowski—nie mogę mu żadną miarą rady dać, desperuję, powiadam że... a kocham tę bestyjkę.

— Byłby na to sposób.

— Jaki?

— Wprowadzić go w lepsze towarzystwo, gdzieby się musiał trochę żenować i na poważniejsze osoby oglądać. Między takimi ludźmi jak nasz młody książę, jak Zenon Żurba, książę generał, musiałby inaczej się znajdować i umiarkować. Wprawdzie niełatwo go tam wprowadzić, bo do naszych książąt przystęp jest... dosyć obwarowany wielu warunkami, lecz na wszystko są sposoby. Gdybyś ty, Garbowski, mnie posłuchał,—wszedł z nimi w interesa, na których nigdy straty mieć nie możesz, synby się tam łatwo wkreślił. Któż to wie? przy księżniczce jest przyjaciółka jej, panna Antonina Żurbianka, wychowana jak księżniczka i nieuboga, możnaby go z nią wyswatać, a jakby się z nią ożenił, toby się odmienił.

— To go znasz! chmurno rzekł Garbowski—to taki chłopiec, że trzeciego dnia by oknem do księżniczki samej wleźć gotów. Gdzie jego ożenić! to szalona pałka! pocziwy w gruncie—ale szalony

— Tak ci się zdaje kochany Garbowski, szaleje tam, gdzie bezkarnie można. Są przecie towarzystwa, które najśmielszym imponują. Ho! ho! inaczejby on u nas znajdować się musiał.

Stary głową trząść zaczął i urwał. Po obiedzie wszakże począł bliżej, z przełają zawsze, rozpytywać o interesa. Gozdowski mu mniej więcej jasno je przedstawił, nie tając że są dosyć zawikłane. Począł go też żywiej namawiać, żeby, rozpatrzwszy się, wszedł w robotę, zapoznał się z rodziną Brańskich i korzystał z jedynej może sposobności razem wnijscia w świat, wprowadzenia syna i ulokowania kapitałów na najpiękniejszych dobrach w kraju.

Garbowski milczał, nie wrywał się, nie obiecywał nic, lecz zadawał pytania i docierał do gruntu. Plenipotentowi zdawało się że go tak na lekką weźmie przynętę, ale przekonał się teraz, iż to była próżna nadzieja. Garbowski nie odrzucał projektu, lecz potrzebował widzieć jasno.

Poszli nad wieczór do adwokata, który utrzymywał interesa prawne majątku w Lublinie. Garbowski zażądał wyciągów hipotecznych i nie zląkł się ich wcale, kiwał tylko głową.

— Hm, rzekł w końcu — ja pieniądze na wykupno z długów mógłbym dać — czemu nie — ale co to wam pomoże? Poczekam rok, dwa, dajmy trzy, potem mnie musicie spłacić, a nie, to ja dobra zabiorę.

— My we trzy lata nieochybnie się splącimy
zawołał uradowany Gozdowski.

— Z czego?

— To nasza rzecz! a jak nie, ma kto inny brać
majątki, weźmiesz ty.

Garbowski w głowę się skrobał.

— Zobaczymy, rzekł, to potrzebuje namysłu,
ale — nie jestem od tego. Zjadę na grunt, rozpa-
trzę się, zobaczymy—może się co uprojektuje.

— Wiesz co, dodał Gozdowski—wierzyciele są
wzewani dla układów do Brańska, przyjedź-że i ty
w tym samym terminie, to ci najlepiej da poznać
interesa... księżęta będą ci prawdziwie wdzięczni
—daj mi słowo!

— Będę—rzekł prosto Garbowski — i wezmę
z sobą pieniądze na wypadek wszelki.

— Weź z sobą i syna także,—dołożył Gozdow-
ski, mnie ten chłopiec interesuje. To twoje dziec-
ko jedyne; puszczone tak samopas, gotowe się
zinarnować, możemy je powstrzymać i uratować.

— Byle chciał i głupstwa mi jakiego nie zma-
lował, bo nie stąpi bez tego — wzdychając, rzekł
Garbowski—czemu nie, czemu nie! Nie żałował-
bym już i na interesie coś poświęcić, żeby Zygmun-
ta na ludzi wyprowadzić. Toż to moja troska i bez-
senność, ten nieukrócony szalawiła!

— Ja ci powiadam, dokończył Gozdowski —
wpływ lepszego towarzystwa go uratuje.

— Żeby tylko frak chciał włożyć! mruknął oj-

ciec — bo i z tém bięda będzie. Gotów się ubrać jak do stajni, naprzekór, i wstydu nam narobi — powiadam ci że szalony.

— Dasz go mnie, nie bój się.

Na tém tedy szczęśliwie stanęło i po jeszcze jednej naradzie, plenipotent wyruszył napowrót do domu, tak rad z siebie, jak jeszcze nigdy w życiu nie był.

— Otóż ja im pokażę, powtarzał przez całą drogę—co może ten niedołęga Gozdowski. Ja ich uratuję, nie kto inny—ja!

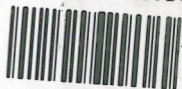


KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

106312

Biblioteka WSP Kielce



0149226